

**NIE MILCZMY
O PORONIENIACH**

**KTO WAŻY
GRZECHY**

**FRANCJA: MUNDURKI
ZAMIAST HIDŻABÓW**

**MŁODOŚĆ WRACA
DO UZDROWISK**

Kraków 13 – 19 grudnia 2023 nr 51 (3884)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Największe wyzwanie Tuska

**ALEKSANDER
SMOLAR NA START
NOWEGO RZĄDU**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

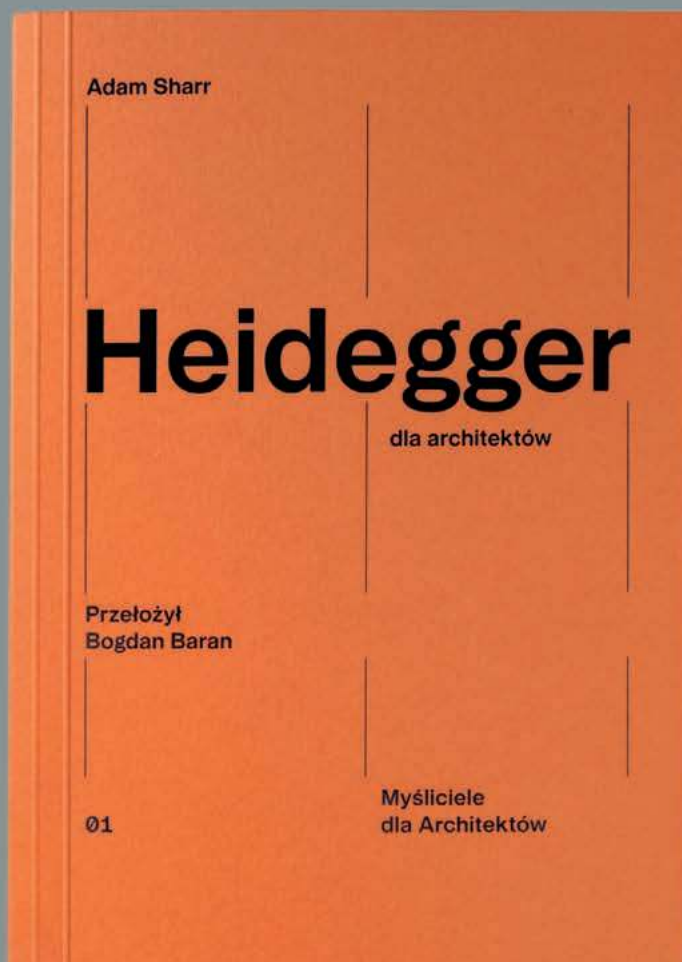


**STRONY SPECJALNE
HOSPICJUM ELIASZ
SPORTOWCY
DLA NIEPODLEGŁEJ**

Nowa seria

Myśliciele dla Architektów

NARODOWY INSTYTUT ARCHITEKTURY I URBANISTYKI



niaiu.pl

W przygotowaniu:

„Lefebvre dla architektów” wiosna 2024

„Derrida dla architektów” jesień 2024

KS. ADAM

Boniecki: *Dobry rachunek sumienia*

PUBLIKOWANY W TYM NUMERZE ARTYKUŁ JAREMY Piekutowskiego – nie księdza, który spowiada, ale autora, który wie, o czym pisze – pt. „Grzesznik na manowcach” jest ważny dla wszystkich, którzy do spowiedzi przystępują lub z jakichś racji przystępować przestali. Wart jest uważnej lektury, a ja na jego marginesie chcę napisać o (moich) doświadczeniach spowiednika.

Najcięższe to te, w których nie mogłem udzielić rozgrzeszenia. Nie mówię o wszystkich spowiedziach, po ludzku biorąc niepełnych, bo bez rozgrzeszenia. Ale pytam, czy na pewno i zawsze takie było życzenie Pana Boga? Czy każde małżeństwo cywilne (gdy nieważności pierwszego nie dało się udowodnić) z samej definicji stawia człowieka w sytuacji niezdolności do nowego związku, a jeśli taki zostaje zawarty, czy zawsze jest grzechem? Czy automatycznie zawsze muszę odmówić rozgrzeszenia... Muszę, bo takie ograniczenia stawia mi otrzymana od Kościoła władza, ale czasem nie jestem o tym bynajmniej przekonany. Cieszą mnie próby papieża Franciszka, by z tym problemem jakoś się uporać.

Rachunki sumienia produkowane przez różnych duszpasterzy (sam się do nich zaliczam, niestety) wprowadzają czasem – przy całej dobrej woli autorów – wiele zamieszania, polegającego na niebezpiecznym materii wymieszaniu. Obok ewidentnych grzechów, np. usunięcia z życia miłości bliźniego, niewrażliwości na jego sytuację i różnych form egoizmu, znajdujemy tam pytania dotyczące form miłości bliźniego, które dla jednego mogą być obowiązkiem, a dla innego nie. Żaden rachunek sumienia nie opíše nieskończonej ilości sytuacji, w jakich znajduje się człowiek. Dlatego zbyt szczegółowe rachunki sumienia bywają niebezpieczne. Dla jednych mogą stać się źródłem skrupułów, dla innych powodem wyrzucenia wszelkich rachunków sumienia do śmieci. Dlatego dziś jestem za krótkim tekstem rachunku sumienia otwierającym drogę refleksji nad własnym życiem.

Ten krótki tekst musi człowieka otwierać na sytuacje, które tak naprawdę zna tylko on sam, może w jakimś stopniu niekiedy i jego bliscy. W naszych rachunkach sumienia na pierwsze miejsce wysuwają się zwykłe praktyki pobożne. Jest to nie całkiem zgodne z nauczaniem Jezusa, który ostrzegał przed nadmiernym mówieniem „Panie, Panie...” (Mt 7, 21). A co mają



robić osoby, które straciły wiarę, cokolwiek to określenie znaczy? Czy zawsze brak udziału we mszy św. niedzielnej ma ten sam sens i to samo znaczenie? Lata w konfesjonale pozwalają odpowiedzieć na to pytanie i na wiele innych. Wiem np., że jest wiele spowiedzi z punktu widzenia nauczania Pana Jezusa zbędnych. Gdzie wystarczałby żal, zmiana życiowa itd. Nigdy jednak nie powiedziałem nikomu „z czymś takim nie przychodź”. Bo wiem, że są ludzie, którzy nie mają z kim porozmawiać o sobie. Wiem też, że mówienie o czymś w moim

odczuciu absolutnie zbędnym jest przygotowaniem do innej rozmowy, ważnej. To są rozmowy jedyne, niepowtarzalne, zamknięte w tajemnicy spowiedzi. Wiem więcej: że w tych rozmowach odgrywam rolę zastępcy, przedstawiciela, sługi.

Sakrament pokuty, jak mało który sakrament, wymaga stałej renowacji. Dotyczy on życia, a życie jest bogate w niespodzianki i się zmienia. Dziś np. coraz lepiej wiadomo, czym są różne mechanizmy ludzkiego umysłu. Walka z niektórymi jest po prostu niemożliwa, podczas gdy inne pozostają poddane woli i są przedmiotem wyboru. Nie wiem też, czy z reguły powinno się namawiać ludzi do częstej spowiedzi, czy sakrament ten zostawić na konfrontację z prawdziwym grzechem. Połączenie duchowego kierownictwa z sakramentem pokuty ma swoje plusy, ale i minusy, takim może być np. zacieranie różnic między grzechem i niegrzechem.

Piekutowski omawia kwestie dla sakramentu pokuty ważne, może nawet najważniejsze, nie omawia – w jednym artykule to niemożliwe – mnóstwa drobiazgów, które w sumie stwarzają całość przeżycia określanego jako „przystąpienie do spowiedzi”. Pomijając różne inne podziały ludzi, chciałbym tu zwrócić uwagę na tych, którzy chętnie mówią o swoich problemach, i tych, którzy o nich nie cierpią mówić. Czy w tym drugim przypadku spowiednik ma się domagać wpuszczenia w zamknięte rewiry? Sądzę, że nie. Spowiednik nie jest terapeutą. Nie jego sprawa, czy ma obraz pełny, czy tylko wycinek obrazu. Przy spowiedzi ważny jest żal i postanowienie poprawy. Żal nie musi być doskonały, postanowienie zaś musi być szczerze w danym momencie. Bo postanowienie to nie gwarancja wykonania. Ze złych nawyków często wychodzi się powoli. © ©

TP MOC CZYTANIA NA BOŻE NARODZENIE

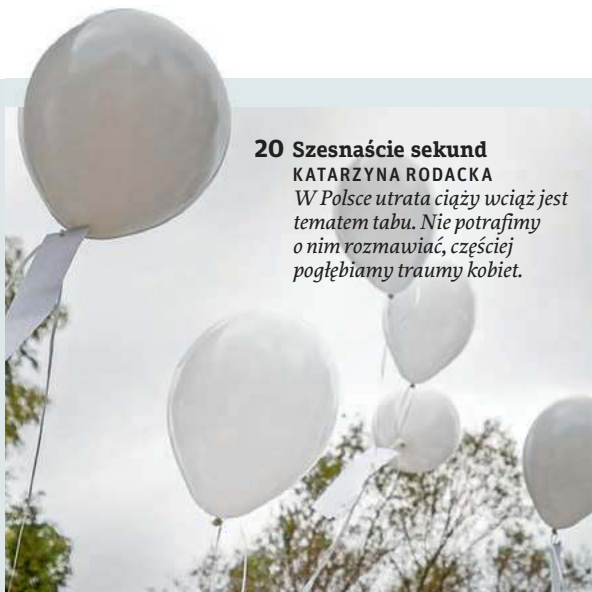
Zwyczajne Wcielenie ■ Ewangelie niezwykłego dzieciństwa
Gdy rodzi się człowiek: historie położnych ■ Pasterze są wśród nas
Muzyka z tamtej Stajenki ■ Bizancjum nigdy nie upadło ■ Jak przetrwać święta
Gdy leczono piernikiem ■ Opowieść wigilijna Sabiny Jakubowskiej

A także:

ks. Adam Boniecki ■ Fisz ■ Anna Goc ■ Wojciech Jagielski
Ryszard Koziotek ■ Jan Mela ■ Włodzimierz Wróbel

Podwójny, bożonarodzeniowy numer „Tygodnika” w sprzedaży od środy 20 grudnia



**20 Szesnaście sekund****KATARZYNA RODACKA**

W Polsce utrata ciąży wciąż jest tematem tabu. Nie potrafimy o nim rozmawiać, częściej pogłębiany traumy kobiet.

**39 Odsunięte od ołtarza****ESTERA
BAKSIK-
MAJNUSZ**

Przez środek ulicy przebiega granica dziewczyńskich perspektyw w Kościele, która kształtuje duchowość, poczucie misji i bycia potrzebną. Granica poglądów proboszcza.

44 Pozdrowienia od Orwella**PATRYCJA
BUKALSKA**

Nie tylko lawirowanie w polityce zagranicznej, ale i to, co dzieje się w instytucjach państwa, powinno niepokoić Europę. Nowy rząd Słowacji zaprowadza swoje porządki.

**60 Drugie okrażenie****AGATA
KAŹMIERSKA,
WOJCIECH
BRZEZIŃSKI**

Wyścig technologicznych gigantów po sztuczną inteligencję nabiera rozpędu. Nadal jednak mało wiemy, jak te systemy działają.

**72 Samo życie****MICHAŁ SOWIŃSKI**

Pod koniec roku prześcigamy się w rankingach i klasyfikacjach. Najlepsza książka – pytamy. A gdyby tak zapytać: kto i dlaczego najbardziej jest pisarzem?

**86 Zielone wzgórza nad nostalgią****BEATA CHOMĄTOWSKA**

Dla niepomnych realiów leczniczego turnusu w Polsce Ludowej są osobliwością, kapsułami czasu.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Uczniowie z zadyszka
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA
KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ,
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Szesnaście sekund
KATARZYNA RODACKA

24 Szkodliwa iluzja
PAWEŁ MUSIAŁEK: Misja
Morawieckiego traktowana była
w PiS jak demonstracja siły

27 Iskry się posypią
PIOTR ŚMIŁOWICZ: Wręczając
nominację dla rządu Donalda
Tuska prezydent rozpoczyna
kolejny w dziejach Polski okres
kohabitacji

■ ■ WIARA

32 Grzesznik na manowcach
JAREMA PIEKUTOWSKI:
Jak mierzyć życie sztywnym
podziałem na grzech ciężki
i lekki?

**36 Nie klęknął przed
Führerem**
BARTEK DOBROCH: Austriacki
chłop, błogosławiony Franz
Jägerstätter, wciąż jest
wyrzutem sumienia dla rodaków
i austriackiego Kościoła

39 Odsunięte od ołtarza
ESTERA BAKSIK-MAJNUSZ

■ ■ ŚWIAT

44 Pozdrowienia od Orwella
PATRYCJA BUKALSKA

TEMAT TYGODNIKA



12 Szanujmy się

ROZMOWA Z ALEKSANDREM SMOLAREM:

Nowy rząd startuje w bardzo trudnych warunkach. Ludzie dali mu władzę, ale w ich życiu nic się nie zmieniło. Powyborczy entuzjazm opadł, a PiS nie powtórzy już błędów z kampanii.

■ STRONY SPECJALNE ■

54 HOSPICIUM ELIASZ

65 SPORTOWCY DLA NIEPODLEGŁEJ

■ FELIETONY ■

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI **41** WOJCIECH BONOWICZ
64 JACEK PODSIADŁO **84** OLGA DRENDĄ **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
DONALD TUSK, sierpień 2023 r.
ANDRZEJ IWAŃCZUK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

46 Co się stało z naszą energią
ROZMOWA Z MICHAŁEM
HVORECKÝM o rządach
autorytarnych na Słowacji

48 Podaj drinka, ale nie pij
MARTA ZDZIEBORSKA:
Ameryka robi cywilizacyjny
krok w tył

50 Belfer na cenzurowanym
SZYMON ŁUCYK Z FRANCJI:
O czym lepiej nie mówić uczniom
na lekcji?

■ ■ HISTORIA

**56 Od Mickiewicza
po Szewczenkę**
STANISŁAW CALIK: 165 lat
temu otwarto w Kijowie polską
księgarnię

■ ■ NAUKA

60 Drugie okrażenie
AGATA KAŻMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

■ ■ KULTURA

72 Samo życie
MICHAŁ SOWIŃSKI

76 Mapy niewiedzy
MACIEJ TOPOLSKI o podróży
Agnieszki Pajczkowskiej
do chłopskiej fotografii

79 Uporczywość przeszłości
JAKUB MAJMUREK o serialu
„Sherwood”

82 Lawendowa legenda
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Maestro” Bradleya Coopera

83 Z innego świata
Lektor o „Księdze przyjaciół
i szkicach wybranych” Hugona
von Hofmannsthal

■ ■ ZMYŚŁY

**86 Zielone wzgórza
nad nostalgiją**
BEATA CHOMĄTOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Zhakowane pociągi Newagu

Niewyjaśnione awarie, zaangażowanie najlepszych hakerów w kraju, poważne zarzuty i wielki biznes – historię jak z filmu akcji opisuje **MAREK RABIJ** | powszech.net/newag

➔ Najstarsza whisky na świecie

W szkockim zamku znaleziono butelki z 1833 roku. Jak smakuje trunku, który mogła pić sama królowa Wiktoria? O tym pisze **PATRYCJA BUKALSKA** | powszech.net/whisky



„Tygodnik” pod choinkę

Szukasz najlepszego prezentu pod choinkę?
Podaruj „Tygodnik” swoim najbliższym.
Szczegóły świątecznej oferty znajdziesz na stronie 31.

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

UCZNIOWIE Z ZADYSZKĄ

Wyniki nowej edycji międzynarodowych badań PISA każą włożyć między bajki snutą przez ostatnią dekadę opowieść o polskim edukacyjnym cudzie.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

POWYŻEJ:

Nowa matura z matematyki w gdańskim liceum.
8 maja 2023 r.

JEST NADAL NIEŻŁE: TAK BY MOŻNA powiedzieć, analizując – w odezwaniu od kontekstu – wyłącznie tegoroczną odsłonę tych uznawanych za miernik efektywności systemów edukacyjnych badań. Przecież polscy piętnastolatki (badacze „wyłapują” w różnych krajach świata reprezentatywne, kilkutyśięczne grupy uczniów właśnie w tym wieku, bo chcą tuż przed ich wejściem na rynek pracy sprawdzić, jak opanowali kluczowe umiejętności) wypadają wciąż wyraźnie lepiej niż średnia OECD. Co więcej, zarówno w rozumowaniu matematycznym, które stanowiło wiodącą dyscyplinę tej edycji PISA, jak i w czytaniu oraz naukach przyrodniczych jesteśmy w drugiej dziesiątce stawki złożonej z 81 krajów. Co mają

począć np. Niemcy i Francja, zdegradowane do pułapu światowych średniaków?

Tyle tylko że właśnie ten kontekst jest kluczowy – a są nim nasze osiągnięcia w poprzednich edycjach PISA. Nie licząc odsłony pierwszej, tej z 2000 r. (wtedy to my byliśmy średniakami), rezultaty polskich nastolatków były co trzy lata niezłe, a począwszy od roku 2012 aż do 2018 r. – wybitne. Krążąc w każdej z trzech dyscyplin w okolicach 10. miejsca na świecie, polscy uczniowie w Europie dawali się istotnie wyprzedzić tylko Estończykom, nic dziwnego więc, że o „polskim edukacyjnym cudzie” zdarzało się donosić zagranicznym mediom (za chwilę jeszcze mocniej wybrzmi opowieść o „cudzie estońskim”, sko-

ro pozycja tego kraju w rankingach PISA jest nadal świetna). Teraz – choć polskie lokaty nie są wcale dużo niższe niż w edycji z 2018 r. – nasz dystans do ścisłej czołówki krajów znacznie się zwiększył. Owszem, na pandemii, która spowodowała zresztą roczne opóźnienie w realizacji odbywającego się zwyczajowo co trzy lata badania, stracili niemal wszyscy – eksperci mówią nawet o wyrwie będącej odpowiednikiem roku nauki – ale Polska straciła ponadstandardowo. W matematyce przeciętny polski piętnastolatek uzyskał wynik słabszy od tego sprzed czterech lat o 27 pkt (średnia dla innych krajów to ubytek 17-punktowy), w rozumieniu tekstu czytanego 23 (inni 11), a w przyrodzie 3 (pozostali średnio trzykrotnie więcej).

A przecież główne, obiegujące światowe media rezultaty PISA nie dają pełnego obrazu tego, jak się mają w różnych krajach szkoły i uczniowie (krytycy przeceniania tych międzynarodowych badań powiedzą nawet więcej: nie tylko nie dają pełnego obrazu, ale nakręcają zgubne dla edukacji tendencje – do rywalizacji i przeliczania wszystkiego na punkty oraz rankingowe lokaty). O niskim poczuciu przynależności do swojej szkoły można przeczytać w wynikach ankiet PISA – i tu od lat nie mamy się czym chwalić, lądując na szarym końcu zestawień. O tym, że polscy uczniowie byli w pandemii osamotnieni bardziej niż ich rówieśnicy z innych krajów, nie mogąc za bardzo liczyć na wsparcie – można wyczytać z wyników ankiet bieżącej edycji badania. O tym, że mamy falę psychicznych kryzysów, a polski uczeń nastawiony jest raczej na indywidualne osiągnięcia, a nie na współpracę – wiemy od lat sami. Gdyby więc dziś spojrzeć na badania PISA, zestawić je z tym, co o polskiej edukacji wiadomo bez nich, a system oświaty porównać obrazowo do – powiedzmy – trzydziestoosobowej klasy, to opowieść o niej mogłaby wyglądać tak. Przez lata wybitna i pokazywana w szkole jako wzór, teraz dużo słabsza, choć nadal niezła: uczniów z kłopotami jest o kilkoro więcej niż kiedyś, tych tzw. wybitnych o kilkoro mniej (te „przesunięcia” w proporcji najslabiej i najlepiej sobie radzących piętnastolatków to jeden z ważniejszych wniosków tegorocznej edycji PISA w odniesieniu do Polski). Duża część klasy chodzi do szkoły trochę jak na skazanie, średnio ją lubiąc i jeszcze słabiej się z nią utożsamiając; sporo uczniów – w związku z natłokiem zajęć i zadań – goni resztkami sił.

Co w takim razie, poza lockdownem, stało się z tą naszą klasą? Eksperci zwraca-

Szkoła do zmiany

Politycy tworzący nowy rząd obiecali nauczycielom znaczące podwyżki. Koalicja Obywatelska w swoich „stu konkretach na pierwsze sto dni rządów” pisała o 30 procentach, co miałyby się przełożyć na co najmniej 1500 zł brutto więcej. W sprawie podwyżek zarysował się jednak w ostatnim tygodniu pierwszy spór: Donald Tusk po wyborach mówi już tylko o 30 procentach, Związek Nauczycielstwa Polskiego nie tylko przypomina o minimalnej kwocie, ale domaga się również powiązania nauczycielskich płac ze średnią krajową. Pewne jest jedno: zgodnie z niedawną zapowiedzią przyszłego premiera podwyżka będzie obowiązywać od 1 stycznia, nawet jeśli formalna decyzja na jej temat zapadnie dopiero w lutym lub marcu.

Nowa koalicja chce uwolnić szkoły od polityki (temu ma m.in. służyć wycofanie przedmiotu historia i teraźniejszość), a uczniów od nadmiaru zajęć i zadań. Służyć ma temu odchudzenie podstaw programowych, a także likwidacja zadań domowych. Druga z obietnic zdążyła się spotkać z krytyczną reakcją części ekspertów, którzy wskazywali, że taka rewolucja nie jest realna w krótkim czasie – zwłaszcza w ciągu stu dni po objęciu władzy. Politycy nowej koalicji chcieliby ponadto przestawić polską szkołę na tryb jednogimnazjowy, co miałyby się ostatecznie dokonać od 1 września 2025 r.

Przed wyborami wiele mówiło się o możliwym wyprowadzeniu ze szkół religii, ale punkt ten nie znalazł się w umowie koalicyjnej. Niepewne jest też – ze względów prawnych, tzn. zapisów konkordatu – zaprzestanie finansowania religii, czego domagała się głównie Lewica. Najbardziej realistycznym postulatem dotyczącym szkolnej katechezy jest twarde zadekretnowanie zakazu organizowania jej w środku dnia nauki. Praktyka ta dyskryminuje uczniów niechodzących na religię. © © PW

ją uwagę na nieszczęśliwy moment przeprowadzania badania – ankieterzy PISA byli w polskich klasach w marcu i kwietniu 2022 r., w samym apogeum chaosu i niepewności wojennej – ale dominuje hipoteza wiążąca regres naszych uczniów z reformą edukacji PiS. W tej edycji po raz pierwszy od 2000 r. badano nie polskich gimnazjalistów, ale – po likwidacji tych szkół – uczniów szkół ponadpodstawowych. Tymczasem, jak oceniała na gorą-

co tuż po ogłoszeniu wyników badania na naszej stronie internetowej Agnieszka Sułowska, matematyka sama sprawdzająca zadania PISA, „gimnazjum oferowało coś unikatowego: przejście po sześciu latach szkoły podstawowej do nowego środowiska – z nowym otwarciem, nowymi uczniami i nowymi impulsami do pracy. A także nowymi nauczycielami, którzy naprawdę stanowili dobrą, wyspecjalizowaną w pracy z nastolatkami kadrę”. Ekspertka dodawała, że „w gimnazjach matematyka była zdecydowanie bardziej życiowa, a więc bliższa temu, jak się na nią patrzy w PISA”, badaniu sprawdzającym przecież nie wiedzę, ale praktyczne umiejętności. Podobnie, tyle że w odniesieniu do testu z czytania, mówi o sytuacji sprzed i po likwidacji gimnazjów prof. Krzysztof Biedrzycki, literaturoznawca UJ, od lat członek zespołu opracowującego polski raport PISA. – Reforma nie tylko zlikwidowała gimnazja, ale też zmieniła programy nauczania, znacznie zwiększając liczbę lektur obowiązkowych – mówi „Tygodnikowi”. – W gimnazjum było ich niedużo, nauczyciele mieli swobodę dobierania książek wedle swego uznania. Dydaktyka gimnazjalna była nastawiona na rozumienie tekstu, literackiego i nieliterackiego, a więc na to, co bada PISA.

Odchodząca oświatowa władza tę ostatnią przyczynę regresu spektakularnie wypiera. Anna Zalewska, czyli autorka niesławnej reformy, w wypowiedzi dla Polsatu News stwierdziła, że Polska nie straciła w PISA więcej niż inni (choć przeczą temu fakty), zaś wśród przyczyn punktowego ubytku wymieniła... nauczycielski strajk, odbywający się trzy lata przed wejściem ankietatorów PISA do szkół. Z kolei wysłany na konferencję ogłaszającą wyniki badań wiceminister edukacji i nauki Dariusz Piontkowski powiedział, że „PISA nie jest badaniem, które mówi o tym, czy taki lub inny model edukacji jest lepszy lub gorszy”. Ten sam Piontkowski poprzedni, wybitny wynik międzynarodowego pomiaru fetował jako minister (w MEN), zaś na bliźniaczej konferencji stwierdził m.in., że ów wynik „to wyrażana wskazówka, że dzieje się dobrze w polskiej edukacji”.

Nowa władza gimnazjów nie przywróci, ale do zrobienia ma i tak dużo (o głównych obietnicach złożonych przez koalicjantów piszemy obok w ramce). Na czele z przywróceniem rujnowanego – i to solidarnie przez większość ekip III RP – prestiżu zawodu nauczyciela. Bez tego o lepszy wynik w kolejnej edycji PISA będzie trudno. © ©



Gabinet wojenny

MAREK KĘSKRAWIEC

NAJDIWACZNIEJSZY Z RZĄDÓW III RP na pewno zapisał się w historii jako najbardziej kobiecy (10:9 dla pań), ale nikt nie ma wątpliwości, że i tak ostateczne decyzje podejmował osobiście jeden mężczyzna, prezes PiS. I widać wyraźnie, że na poważnie potraktował tylko resort obrony, umieszczając w nim Mariusza Błaszczaka, co można uznać za objaw rozsądku w obliczu wojny w Ukrainie.

Kij wsadzony w szprychy większości sejmowej złamał się po dwóch tygodniach, by mógł powstać prawdziwy rząd: Donald Tuska. Formuła jest oryginalna; strony koalicji nie dostały ministerstw, by rządzić w nich niepodzielnie. Jeśli szefem resortu będzie ktoś z KO, na ręce będą mu patrzeć wiceministrowie z Trzeciej Drogi oraz Lewicy – i odwrotnie. To ciekawe rozwiązanie, może jednak być zarzewiem konfliktów w związku z różnicami programowymi układu rozpiętego między konserwatystami z PSL a radykalnym skrzydłem Lewicy. Jeśli do tego spotkają się osobowości z dużym ego, choćby Bartłomiej Sienkiewicz z Joanną Scheuring-Wielgus w resorcie kultury, może być kłopot.

Po składzie gabinetu Tuska wiadać, że trzymano się zasady: bie-

rzemy osoby doświadczone i silne charakterem, połowę miejsc zgarnia KO, a resztą proporcjonalnie dzieli się PSL, Polska 2050 i Lewica. Kilku ministrów przewidziano jako mocne zderzaki na okres przejściowy. Taką funkcję ma pełnić Radosław Sikorski w MSZ (koalicjanci mają jednak obawy, że zbyt kojarzy się z wizerunkiem PO sprzed 2015 r.) oraz wspomniany już Sienkiewicz w resorcie kultury, który ma ustąpić (wystartuje potem do europarlamentu) zaraz po zakończeniu porządków w mediach publicznych – na rzecz kobiety. W sumie w rządzie jest ich 9 na 26 stanowisk, ale są to w dużej mierze mocne osobowości, jak Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz z Polski 2050 czy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk z Lewicy.

To będzie rząd, który zetknie się z najsilniejszą w historii opozycją: posiadającą niemal 200-osobowy klub i prezydenta. Tym bardziej jest ważne, by silnik w tym pojeździe był dobrze spasowany. Usterki przy tak ciężkich warunkach pracy mogą bowiem doprowadzić do trwałej awarii. A na to bardzo liczy PiS. Ale i jemu łatwo nie będzie, biorąc pod uwagę, że inaczej niż w roku 2007, tym razem Tusk poważnie myśli o rozliczeniu odchodzącej władzy. Szykuje się nam gabinet niemalże wojenny. ©

Donald Tusk w drodze na spotkanie z członkami przyszłego rządu, Senat, Warszawa, 8 grudnia 2023 r.



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER



Straceńcza misja

MAŁGORZATA SOLECKA

PODOBNO TAK BARDZO CHCIAŁA WEJŚĆ DO RZĄDU, ŻE wzięła tekę, której nikt nie chciał. Izabela Leszczyna pokieruje Ministerstwem Zdrowia, choć nie jest ani lekarzem, ani menadżerem ochrony zdrowia i z systemem nie miała do tej pory nic wspólnego. „Straceńcza misja” – w komentarzach podziw dla polityczki miesza się z po-dejrzeniami, że nie wie, na co się pisze.

Leszczyna miała, według spekulacji, objąć tekę ministra finansów, choć nie jest ekonomistką i sama mówi, że na finansach się nie zna: skończyła filologię polską. Ale jej doświadczenie w tym obszarze nie ogranicza się do pełnienia funkcji wiceministra finansów w poprzednim rządzie PO-PSL. Jest wieloletnią posłanką Komisji Finansów Publicznych i, jeśli przejrzyć archiwum Sejmu tylko z poprzedniej kadencji, okaże się, że lwia część jej wystąpień dotyczyła finansów. Wiele razy zabierała w tych sprawach głos w imieniu klubu.

Donald Tusk kilka dni przed powstaniem rządu sam zresztą zdradził, skąd Leszczyna. „Nie ma zasady, żeby ministrem zdrowia był lekarz. To jest przede wszystkim zarządzanie gigantycznym budżetem. Chcemy mieć lekarzy w szpitalach, a do zarządzania potrzebujemy ludzi, którzy mają niemal kompetencje ministra finansów” – stwierdził lider KO w wypowiedzi dla branżowego portalu Rynek Zdrowia.

Zna się więc Izabela Leszczyna na finansach, jak mówi Tusk, czy nie? Na pewno zna się na pilnowaniu finansów publicznych i ma być ich strażnikiem w zdrowiu.

To konieczne, bo wszystko wskazuje na to, że nowy rząd nie podniesie wydatków na zdrowie tak bardzo, jak domagają się eksperci i jak wynikałoby z potrzeb.

A koszty systemu będą rosnąć. Ministerstwo będzie musiało rozprawić się np. z „żabą” w postaci projektu ustawy o podwyżkach dla pielęgniarek, który Szymon Hołownia dopuścił – zaraz po projekcie ws. finansowania in vitro – do pierwszego czytania. Koszty zmian, jakich chcą pielęgniarki, to minimum 10 mld zł rocznie.

Ale to przyszłość. Tu i teraz nowe kierownictwo zderzy się przede wszystkim z chaosem w obszarze covidowym. Kwestia szczepień (brak preparatów, punktów szczepień, chaos informacyjny), brak leków dla pacjentów (zarówno tych do stosowania w domu, jak i szpitalnych). Odchodząca ekipa zastosowała strategię spalonej ziemi. ©

NA PUNKTY

PUSTO

PKP Intercity uruchomiła nocne połączenie z Warszawy do Monachium. Pierwszy pociąg obsługujący tę trasę nie zabrał ani jednego pasażera: spółka – na skutek problemów ze współpracą z przewoźnikiem austriackim – nie była w stanie uruchomić na czas systemu sprzedaży biletów.

PUŚCIEJ

Przez 164. miesiące od katastrofy smoleńskiej PiS (większość tego czasu przypadła na czas jego rządów) nie był w stanie udowodnić zamachu, a nawet odzyskać wraku samolotu. Jarosławowi Kaczyńskiemu w obchodach miesięcznicy towarzyszyło kilkadziesiąt osób, m.in. członkowie ustępującego rządu.

NAJPUŚCIEJ

Przekroczono o kilkaset procent normy pyłów i alerty RCB na temat smogu – to polska rzeczywistość kolejnej zimy. W Warszawie, po burzliwej debacie tamtejszych radnych, udało się przegłosować wprowadzenie Strefy Czystego Transportu, ograniczającej możliwość wjazdu do centrum najstarszych, najbardziej zanieczyszczających powietrze aut. ©



Reguły dla algorytmów

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

UNIA EUROPEJSKA TWIERDZI, ŻE rozbroiła technologiczną bombę zegarówą. Po trzydniowym maratonie negocyjnym przedstawiciele Parlamentu Europejskiego, Komisji i Rady Europejskiej (tj. poszczególnych krajów) sfinalizowali ramy przepisów, które mają regulować wykorzystywanie we Wspólnocie sztucznej inteligencji (AI).

Wprawdzie to nie pierwsza tego typu regulacja (Chiny swoje przepisy o AI ogłosiły w lipcu), ale zdaniem Brukseli nigdzie na świecie kwestii bezpieczeństwa inteligentnych algorytmów nie potraktowano tak kompleksowo. „W ustawie określono zasady dotyczące potężnych modeli sztucznej inteligencji, dbając o to, by nie stwarzały systemowego ryzyka dla Unii i zapewniały obywatelom i demokratom silne zabezpieczenia przed nadużyciami” – podkreśla rumuński europoseł Dragos Tudorache, jeden ze sprawozdawców.

Zakazane będzie więc stosowanie w Unii systemów klasyfikujących ludzi na podstawie przekonań, orientacji seksualnej czy rasy oraz systemów rozpoznających emocje. Nie będzie wolno tworzyć

systemów „punktacji społecznej” (jak w Chinach) czy „manipulujących ludzkimi zachowaniami w celu obejścia ich wolnej woli”. Z kolei systemy „wysokiego ryzyka”, np. wykorzystywane w sektorze bankowym czy ochronie zdrowia, będą musiały przejść audyt, czy wpływają na prawa podstawowe obywateli, demokrację lub zdrowie.

Założenia prawne nie budzą jednak entuzjazmu organizacji praw człowieka. Wskazują one, że luki pozwalają tworzyć systemy cyfrowej inwigilacji. Dla zwalczania terroryzmu i najpoważniejszych przestępstw państwa będą mogły bowiem stosować systemy, które w czasie rzeczywistym rozpoznają ludzi. W „pilnych przypadkach” organy ścigania będą mogły stosować narzędzie AI wysokiego ryzyka, nawet jeśli nie przeszło ono procedury oceny zgodności z unijnym prawem. W żaden sposób nie będą ograniczane systemy AI stosowane przez wojsko. „Trudno ekscytować się ustawą, która legalizuje publiczne rozpoznawanie twarzy na żywo” – ocenia Ella Jakubowska z organizacji European Digital Rights. ©



Scenariusze naszej klęski

WOJCIECH PIĘCIAK

WYOBRAŻMY SOBIE, ŻE Ukraina przegrywa bój o niepodległość. Scenariusz taki – realny w sytuacji, gdy politycy w USA nie mogą porozumieć się co do finansowania pomocy dla Kijowa na rok 2024 (temat stał się zakładnikiem sporu o ochronę granicy USA przed masową imigracją) – może realizować się na różne sposoby. Gwałtowny (obrona załamuje się, bo nie ma już czym strzelać) lub powolny, gdy wyniszczony materialnie i po ludzką kraj zmuszony jest do rozmów na warunkach Rosji. Przypomnijmy: Putinowi

zależy nie na kolejnym kawałku Donbasu, lecz na kontroli nad całą Ukrainą, na zniszczeniu jej niezależności politycznej i tożsamościowej.

Niezależnie, jaki kształt przybrałby proces „białorusyzacji” Ukrainy, skutki można sobie wyobrazić. To nie tylko rosyjskie bazy na wysokości Przemysła i Lublina. To też emigracja kolejnych kilkunastu milionów ludzi, którzy nie chcą żyć pod rządami Rosji i jej kolaborantów. Emigranci kontynuują zbrojną walkę, dla której kraje sąsiadujące z neosowieckim imperium są ope-

racyjnym zapleczem.

Unia Europejska – porzucona przez prezydenta Trumpa – staje wtedy przed dramatycznym wyborem. Albo wspiera lub choćby toleruje tę walkę, narażając się na konflikt z Rosją (konflikt może nawet pożądanym przez Kreml, który nie kryje, że jego celem jest też rewizja ładu bezpieczeństwa w Europie Środkowej; Putin powiedział to otwarcie w grudniu 2021 r.). Albo Unia ugina się i zwalcza ukraiński ruch wolnościowy, ze skutkami także dla swej demokracji i wolności.

W każdym wariantcie ukraińskiej klęski jej skutki byłyby dla Unii fatalne. I nieporównanie większe – nie tylko w wymiarze materialnym – niż wysiłek, jaki Europa dziś podejmuje, by podtrzymać Ukrainę. Jak dotąd jest on skromny w relacji do potencjału np. Niemiec czy Francji. Wymierny podjęły tylko kraje wschodniej flanki, w tym Polska, która oddała jedną trzecią zasobów militarnych (w swoim interesie).

Tymczasem politycy w Unii sprawiają wrażenie, jakby nie zdawali sobie sprawy, w jak dramatycznym punkcie jesteśmy. I jak wiele zależy od tego, co zrobią lub nie zrobią – nie jutro, a dziś. Nowy rząd Polski jest tu od razu wrzucony na głęboką wodę. Czy podejmie się roli bijącego na alarm? ©

Rządowe potyczki z prądem

ENERGIA ■ Sejm przyjął ustawę o ochronie odbiorców energii, która ma obowiązywać przez pierwszych sześć miesięcy przyszłego roku. Na ostatnim etapie prac dodano do niej poprawkę, która wprowadza maksymalną cenę prądu dla małych i średnich firm oraz gospodarstw rolnych.

Do końca czerwca za energię zapłacimy zatem tyle samo, ile dotychczas i na takich samych warunkach (pozostają limity zużycia objętego zamrożoną stawką). W głosowaniu wstrzymali się posłowie odchodzącego obozu władzy, który w ostatniej chwili przygotował rządowy projekt ustawy o zamrożeniu cen energii na cały rok 2024. Przedstawiciele gabinetu Donalda Tuska unikają na razie deklaracji, co stanie się z kosztami energii w połowie przyszłego roku, wszystko wskazuje jednak na to, że nowy rząd nie będzie miał wyjścia i przedłuży zamrożenie cen energii do grudnia. Powód? Ich urealnienie, choć zasadne z ekonomicznego punktu widzenia, oznaczałoby podwyżki rządu 60-70 proc., doprowadziłoby więc do skokowego spadku jakości życia setek tysięcy najuboższych obywateli.

Statystyczna polska rodzina na rachunki za prąd przeznaczą 12,1 proc. swojego budżetu i jest to największa po żywności pozycja na liście jej wydatków. Trzy lata temu na ten sam cel wydawaliśmy niespełna 8 proc. domowego budżetu. W porównaniu z innymi państwami Unii prąd w Polsce nie należy do najtańszych, choć są też kraje, w których za energię płaci

się więcej. W pierwszym kwartale tego roku, jak wynika z danych zaprezentowanych w październiku przez Komisję Europejską, za prąd najwięcej płacili Włosi i Grecy – odpowiednio po 158 i 157 euro za megawatogodzinę (ceny na rynku hurtowym). Najtańszą energią cieszyli się w tym czasie Szwedzi, których megawatogodzina kosztowała zaledwie 68 euro – czyli niemal dwa razy mniej niż Polaków (130 euro).

Od wybuchu wojny w Ukrainie, co zmusiło europejską energetykę do szybkiego zastąpienia rosyjskiego węgla i gazu węglowodoraми z innych źródeł, ceny energii elektrycznej w Polsce spadają, ale wciąż utrzymują się na poziomie, który wielu odbiorców zmusza do oszczędzania. Średnia cena kontraktu rocznego z dostawą w roku 2024 wyniosła we wrześniu 629,20 zł za megawatogodzinę, była więc niemal trzy razy niższa niż we wrześniu 2022 r. Można jednak zaryzykować stwierdzenie, że to wszystko, na co dziś stać polską energetykę, zasilaną nadal głównie węglem – a więc skazaną na ponoszenie kolosalnych kosztów związanych z opłatami za emisję CO₂. Nawet jeśli nowy rząd zniesie ograniczenia dla rozwoju źródeł odnawialnych, problemem pozostanie pojemność przestarzałej polskiej sieci przesyłowej. Energia jądrowa to z kolei pieśń z połowy przyszłej dekady, a i tak na początku będzie źródłem relatywnie drogim.

© MAREK RABII

Osiedle mieszkaniowe Retkinia. Łódź, 23 października 2023 r.



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Zakonnice kontra producenci broni

STRZELANINY ■ Koalicja czterech zakonów żeńskich w Stanach Zjednoczonych (dominikanek, sióstr Bon Secour, tercjarek i sióstr Najświętszych Imion Jezusa i Maryi) złożyła pozew przeciwko producentowi broni Smith & Wesson. Ich pozew należy do nowatorskich strategii prawnych, jakimi aktywiści próbują doprowadzić do ograniczenia liczby ofiar masowych mordów dokonanych z użyciem broni palnej.

Nowatorstwo polega na tym, że zakonnice w pozwie występują w roli nie aktywistek, ale... akcjonariuszek. Wspólnie kupiły ponad tysiąc akcji Smith & Wesson, co pozwala im wystąpić w sądzie w roli obrońców interesów słynnego producenta broni. W pozwie zarzucają bowiem zarządowi firmy, że sposób, w jaki produkuje, reklamuje i sprzedaje jeden z modeli broni, naraża firmę na pozwy, a akcjonariuszy – na straty.

Chodzi o niesławny półautomatyczny karabin typu AR-15 (w Stanach kosztuje równowartość nieco ponad 2 tys. złotych). Do 2004 r. sprzedaż broni mającej charakterystykę wojskowej (m.in. z magazynkiem na więcej niż 10 naboji) była zabroniona. Smith & Wesson rozpoczął sprzedaż karabinu dwa lata później. Od tamtego czasu mordercy wielokrotnie dowiedli skuteczności broni jako narzędzia masowego mordu (ostatnio w październiku, kiedy w Lewiston w stanie Maine zginęło 18 osób).

Do niedawna producentów broni przed pozwami (i wysokimi odszkodowaniami) chroniło wprowadzone w 2005 r. prawo. Jednak w zeszłym roku rodziny ofiar strzelaniny w szkole podstawowej w Sandy Hook wywalczyły 73 miliony dolarów na postawie ugody z innym koncernem, firmą Remington, której karabin tego samego typu został użyty w zbrodni, w której zginęło 20 dzieci i 6 dorosłych.

Według Gun Violence Archive, organizacji non-profit dokumentującej przestępstwa z użyciem broni, liczba dzieci będących ofiarami masowych strzelanin wzrosła z 582 (w 2014 r.) do 886 (w tym roku), a liczba masowych strzelanin wzrosła z 272 do 635.

Zakonnice domagają się zmiany w sposobie produkcji broni (by nie można było jej łatwo przekształcić w bardziej śmiertelniejszą) i w sposobie jej reklamowania (by nie prezentowano jej, szczególnie młodym mężczyznom, jako przedmiotu wartego pożądania). A jeszcze bardziej chciałyby, by firma wróciła do swojej tradycji, kiedy „przez pierwsze 153 lata swojego istnienia nie produkowała broni o charakterystyce wojskowej”.

W latach 2012-21 Smith & Wesson na sprzedaży tego typu broni zarobił równowartość blisko 3 mld złotych.

© PATRYK STANIK

Korzystałem z „Wall Street Journal” i „New York Timesa”.



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

W Wielkiej Brytanii zwalczaniem cyberspiegów zajmuje się głównie służba wywiadu elektronicznego CGHQ. Jej siedziba w miejscowości Benhall w hrabstwie Gloucestershire nazywa się Doughnut, czyli Pączek.

Wielka Brytania: hakerzy FSB od lat szpiegują polityków

SŁUŻBY SPECJALNE ■ Mechanizm był zwykle podobny: Rosjanie najpierw wybierali cele, głównie brytyjskich polityków, działaczy społecznych czy naukowców. Potem, korzystając z informacji w internecie, poznawali ich środowisko. Podszycując się pod znajomych, wysyłali maile, a nawet prowadzili krótkie rozmowy. W końcu w wiadomości ukrywali oprogramowanie, przy pomocy którego uzyskiwali dostęp do skrzynki mailowej „celu”.

Nie są to nowe metody, lecz działająca w ten sposób od co najmniej 2015 r. grupa hakerów z rosyjskiej FSB była tak profesjonalna, że w skali zjawiska brytyjskie służby zorientowały się dopiero niedawno. W miniony czwartek szczegóły rosyjskiego szpiegostwa cyfrowego ujawniono posłom Izby Gmin; na dywanik wezwano też rosyjskiego ambasadora.

Brytyjczycy byli dla hakerów głównymi celami, jednak „Gwiezdna Zamieć” – bo m.in. pod taką nazwą szpiegdy znani byli zachodniemu kontrwywiadowi – miała być aktywna także w Stanach Zjednoczonych oraz w kilku niewymienionych z nazwy państwach graniczących z Rosją. Kilka dni temu w Finlandii ujawniono próbę zainicjowania przez FSB kampanii antymuzułmańskiej – zdaniem miejscowego wywiadu mia-

ła ona wpłynąć na negatywne postrzeganie Finlandii przez Turcję w okresie fińskiej akcesji do NATO.

W styczniu 2023 r. hakerzy z „Gwiezdnej Zamieci” mieli stać za cyberatakami na trzy laboratoria zajmujące się energią atomową w USA. W 2016 r., przed referendum ws. brexitu, uzyskali dostęp do komputerów brytyjskiego Foreign Office; stali także za wyciekiem maili byłego szefa brytyjskiego wywiadu. Według informacji agencji Reutera ataki odbywały się z miasta Syktywkar na rosyjskiej Dalekiej Północy, gdzie ma się mieścić zaplecze grupy.

Zachodnie służby coraz sprawniej śledzą działalność rosyjskich hakerów, ale wciąż są kilka kroków za nimi. Opublikowane na stronie brytyjskiego Narodowego Centrum Bezpieczeństwa Cyfrowego (NCSC) szczegóły dotyczące ich śledzenia przypominają biologiczną taksonomię – większość działań cyberspiegów to zacieranie śladów po sobie. To powód do coraz większego niepokoju: w 2024 r. podczas kampanii prezydenckiej w USA można się spodziewać nasilenia ataków.

Rząd w Londynie utrzymuje, że działalność „Gwiezdnej Zamieci” nie przyniosła krajowi wielkich szkód. Jednak przypomnijmy, że raport brytyjskiego parlamentu z 2019 r. poświęcony bezpieczeństwu cyfrowemu kończył się konkluzją, że tego, które informacje udało się Rosji w ten sposób pozyskać, być może nigdy się nie dowiemy. © © MARCIN ŻYŁA

Bursztynowe odkrycie: najstarszy komar był krwio pijcą

PALEONTOLOGIA ■ 125 mln lat temu panujące na Ziemi dinozaury mogły już zachwycać się widokiem łąk i drzew, mieniących się wieloma kolorami. Kilka milionów lat wcześniej wyewoluowały bowiem kwiaty, wprowadzając do ekosystemów nowe zasoby – zwłaszcza wabiący owady nektar. Niektóre grupy owadów tak bardzo w nim zasmakowały, że wykształciły

adaptacje pozwalające go skuteczniej spijać – np. długą rurkę, umożliwiającą zasysanie płynnego pożywienia. W toku ewolucji samice tych owadów nauczyły się wykorzystywać tę samą strukturę do bardziej niecnym celów – przekłuwania skóry zwierząt i wysysania ich krwi. W ten sposób miały powstać komary takie, jakie znamy dzisiaj, u których samce odżywiają się wyłącznie płynami produkowanymi przez rośliny, a samice przeplatają posiłki wegańskie z tymi złożonymi z krwi (ich dieta staje się bardziej krwawa po zapłodnieniu, gdy więcej energii inwestują w produkcję potomstwa). A przynajmniej to głosiła najpopularniejsza teoria dotycząca ewolucji ko-

marów, którą być może trzeba będzie zrewidować.

W powstałym 125 mln lat temu na terenie dzisiejszego Libanu bursztynie Dany Azar z Chińskiej Akademii Nauk i współpracownicy zauważyli bowiem dwa uwieszone samce komarów, wyposażo-

ne w aparat ssący, który musiał pozwalać na odżywianie się krwią zwierząt. Ich płęć potwierdza obecność przydatków służących do przytrzymywania partnerek. Odkrycie jest podwójnie cenne. Po pierwsze, to najstarsze poznane przez nas komary. Po drugie, wskazuje ono, że samce komarów dawniej żywiły się krwią i dopiero z czasem straciły na nią apetyt – prawdopodobnie pod wpływem coraz większej dostępności produkujących nektar roślin. Ale może to także świadczyć o tym, że kierunek ewolucji komarów był odwrotny, niż myśleliśmy: to pierwotni krwio pijcy, którzy później po części przerzucili się na nektar.

© © ŁUKASZ KWIATEK



CURRENT BIOLOGY / MATERIAŁY PRASOWE

SZANUJMY SIĘ

ALEKSANDER SMOLAR, POLITOLOG:

Nowy rząd startuje w bardzo trudnych warunkach.
Ludzie dali mu władzę, ale w ich życiu nic się nie zmieniło.

Powyborczy entuzjazm opadł,
a PiS nie powtórzy już błędów z kampanii.



MICHAŁ OKOŃSKI: Mamy nowego premiera i...?

ALEKSANDER SMOLAR: I związane z tym nadzieje na odbudowę demokracji, przywrócenie państwa prawa, powrót do centrum Unii Europejskiej. Ale też sporo niepokoju, dotyczącego zarówno dziedzictwa odchodzącej władzy, jak również reakcji na zmiany dużej części Polaków.

Obóz zwycięski, ciesząc się z sukcesu, nie powinien zapominać, jak przed wyborami był on niepewny. Nie wszystkie źródła tej niepewności zniknęły. Chodzi nie tylko o partię, która zdobyła poparcie jednej trzeciej Polaków. Gotowość głosowania na to ugrupowanie, czy ze względów kulturowych (przywiązanie do Kościoła, obawa przed wpływami Zachodu w sferze obyczajowej), czy ze względu na politykę społeczną i gospodarczą, którą PiS prowadził, może być znacznie wyższa niż obecnie. Może obaj zarówno tych, którzy nie poszli do

wyborów, jak i część tych, którzy poparli wczorajszą opozycję.

Tusk będzie miał tego świadomość?

Sądzę, że tak. Uważam zresztą, że gdyby nie jego powrót, PiS rządziłby nadal. Polacy nie zdają sobie sprawy, jak trudna musiała być ta decyzja dla niego i dla jego rodziny. W Brukseli cieszył się dużym prestiżem i mógł liczyć na łatwe, przewidywalne życie. W Polsce zaś wystawił się na potężną falę agresji i upokorzeń, nie mówiąc o fizycznym zagrożeniu. Jego siła charakteru, determinacja w walce o głosy podczas licznych podróży po Polsce są godne najwyższego podziwu. Mówię to, bo kiedyś nieźle go znałem i nie zawsze wzbudzał we mnie entuzjazm.

Ja bym powiedział, że sukces opozycja zawdzięcza również temu, że – jak mówił w rozmowie z „TP”

Edwin Bendyk – ludzie mogli wreszcie głosować niestrategicznie. Kilka list spowodowało, że więcej osób poszło do urn i wybierano zgodnie z własnymi przekonaniem.

Nie bagatelizowałbym też faktu, że zwycięstwo opozycji zostało osiągnięte dzięki poważnym błędom PiS. I nie liczyłbym, że w przyszłości te błędy się powtórzą.

Jakie to błędy?

W 2015 r. PiS nie wygrał wyborów ze względu na sytuację ekonomiczną – mówił wprawdzie o „Polsce w ruinie”, ale 80 proc. Polaków deklarowało wówczas, że są zadowoleni z efektów transformacji. Podobnie jak wiele innych ruchów populistycznych, wygrał ze względu na kwestie kulturowe, zwłaszcza problem tożsamości i godności. Okres transformacji był czasem ostrych, choć częściowo ukrywanych konfliktów społecznych, żeby nie powiedzieć: klasowych. Nawet jeżeli retrospektywnie większość Polaków jest zadowolona z tamtych zmian, wcześniej musiała ponosić ich koszty. A grupy uprzywilejowane, symbolizujące sukces transformacji, wpisywały się w długą tradycję pogardy elit dla ludu. Nie będę tu wymieniał listy artystów, intelektualistów czy polityków, którzy wygłaszali wówczas zdania niefortunne, ale to przecież na łamach „TP” ks. Józef Tischner użył zino-wiewowskiego pojęcia *homo sovieticus* dla opisanego postawy ludzi pragnących pracy, bezpieczeństwa i szacunku.

To wszystko powodowało, że PiS ze swoim językiem empatii i identyfikacji z klasą ludową – nawet jeśli korzenie Porozumienia Centrum były inteligenckie – zdobywał punkty.

Zwłaszcza że dołożył jeszcze program 500 plus.

No właśnie: w ślad za tym poszła polityka redystrybucji, przede wszystkim 500 plus, które choć z upływem lat straciło sporo na wartości, było symbolem zwrócenia się ku ludowi. Wspominam o tym, bo to kontekst problemów, z którymi borykać się będzie nowy rząd, włącznie z wchodzącą w jego skład Lewicą. Trzeba pamiętać, że ugrupowanie to w ostatniej chwili usunęło z list kandydata za skandaliczne wypowiedzi nie tylko na temat

Podpisanie umowy koalicyjnej. Warszawa, 10 listopada 2023 r.



PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

→ pedofilii, ale także klasy ludowej. Elitaryzm i pogarda klasowa, jakie prezentował ów kandydat, w polityce zachodniej są już niemal nieobecne, a przynajmniej skrzętnie ukrywane – a na listach lewicy kompletnie niewyobrażalne.

A oprócz redystrybucji ekonomicznej jest jeszcze coś, co najciekawszy intelektualnie polityk początków PiS, Ludwik Dorn, nazywał redystrybucją godności. Wszyscy obywatele Polski powinni mieć prawo czuć się z siebie dumni i mają prawo do szacunku, nie tylko ci, którzy uważają się za elitę.

No dobrze, ale gdzie tu pułapki dla nowej władzy? Donald Tusk ślubił na jednym z marszów zakończenie wojny polsko-polskiej. Mówił o rozliczeniu zła, zadośćuczynieniu krzywdom, ale też o pojednaniu.

Donald Tusk zaczyna rządzić w bardzo trudnych warunkach ze względu na ograniczenia instytucjonalne. Ich przełamanie nie będzie łatwe. Władza sądownicza różnych szczebli to domena najtrudniejsza i zarazem najważniejsza do naprawy. Nierespektowanie zasad państwa prawa przez PiS to również najważniejszy punkt konfliktu z UE, a od jego rozwiązania zależy możliwość uruchomienia przyznanych Polsce poważnych środków finansowych. Do tego dochodzą inne wyzwania: uspołecznienie mediów publicznych, uzdrowienie polityki nominacji na odpowiedzialne stanowiska w administracji publicznej oraz w sektorze gospodarczym zależnym od rządu.

Wróć do tego, o czym już mówiłem: większość, którą uzyskiwały partie opozycyjne, jest krucha. Trzeba o nią cały czas zabiegać, co oznacza również konieczną ostrożność przy wszystkich poważnych próbach zmian.

Przy wrzutce dotyczącej wiatraków w ustawie o zamrożeniu cen energii trudno mówić o ostrożności.

Media od razu zaczęły podnosić, że nowa władza robi coś, co potępiała u poprzedników. Zapisy o bliskości wiatraków i możliwości wyłączeń muszą budzić opór dużej części społeczeństwa, zwłaszcza wiejskiego. Wnioskując z wypowiedzi Tuska i Hołowni, a potem wycofania tych zapisów, widać, że zdano sobie sprawę z niebezpieczeństwa związa-



GRAŻYNA MAKARA / TYGODNIK POWSZECHNY

ALEKSANDER SMOLAR jest politologiem i socjologiem. W czasach PRL działacz opozycji demokratycznej, po Marcu '68 więziony, a następnie zmuszony do emigracji, na Zachodzie wydawał kwartalnik „Aneks”. Po 1989 r. doradca premierów Mazowieckiego i Suchockiej, w latach 1991-2020 prezes Fundacji Batorego.

nego z przejmowaniem PiS-owskich wzorów zachowań.

Kampania wyborcza PiS była wprawdzie fatalna – skupiono się na osobistej walce z Tuskiem, atakowaniu Brukseli i Berlina, straszeniu utratą suwerenności – ale nie można liczyć na powtórkę błędów. Spodziewam się raczej powrotu języka, który dawniej zapewniał partii Kaczyńskiego sukcesy: obietnic masowej redystrybucji finansowej, ale przede wszystkim godności. To mnie zresztą zastanawia: dlaczego PiS porzucił strategię tak skuteczną dla wszystkich ugrupowań populistycznych – odwoływania się do pojęć sprawiedliwości i równości, walki o tradycyjne wartości, o tradycyjne wyznaczniki polskiej tożsamości narodowej, walki z elitami.

Może dlatego, że sami już się stali elitą, zwłaszcza pod względem finansowym.

To z pewnością częściowe wytłumaczenie.

Ale wracam do trudności nowego rządu. Otóż ja się nie zgadzam z komentatorami, którzy wyszydzały to, co robił PiS po wyborach, powołując ten dziwny dwutygodniowy rząd. Zapewne istotną rolę odgrywała tu potrzeba nachapania się jeszcze przez kilka tygodni i dokonania zmian w różnych przepisach, aby

ubezwłasnowolnić następców. Świadomie czy nie, wykorzystano jednak ten czas na podkopanie entuzjazmu, który pojawił się w momencie zwycięstwa, na złamanie dynamiki wypatrywanych zmian. Na dodatek zwycięzcy tu i ówdzie zaczęli odwoływać obietnice składane w czasie kampanii. Ludzie dali opozycji władzę, ale w ich życiu nic się nie zmieniło. Entuzjazm opadł.

Wjechał jednak marszałek Hołownia cały na białą. Ludzie oglądają obrady Sejmu, entuzjazmują się jego ripostami. Dostali igrzyska.

Tak, to z pewnością odświeżające. Te jego *zwischenruffy*, refleksy, a przede wszystkim pogoda, brak agresji. Nawet jeśli wbija Morawieckiemu szpilę, mówiąc, że obaj mają podobną sytuację, bo ich czas na stanowiskach jest ograniczony i znają swoich następców, robi to z rozbijającym uśmiechem. Ale nawet wspaniały spektakl demokratycznej debaty to nie są decyzje, których ludzie oczekują. W tym sensie uważam zresztą zniknięcie na ten czas Donalda Tuska za świadomy wybór: to już jest czas czynów, a nie słów.

Wśród tych czynów, których z pewnością oczekuje wielu komentatorów, jest rozliczenie PiS.

Rozliczenie PiS musi być ujęte w ramy prawa. Wiadomo, że winni przestępstw powinni ponieść odpowiedzialność karną, być może uda się postawić przed Trybunałem Stanu Morawieckiego, Glińskiego, Ziobrę, Sasina... W demokracji najważniejsze rozliczenia dokonują się jednak w debacie publicznej, w przedstawianiu wiarygodnej, wielostronnej oceny poprzednich rządów, w polityce nominacji nowych władz, a wreszcie w wyborach. W ten sposób można odebrać, a przynajmniej osłabić legitymację PiS do sprawowania władzy w oczach społeczeństwa.

Rozliczanie PiS-u jest konieczne, ale trzeba już teraz mówić językiem, który przekona społeczeństwo, że praktyki poprzedników były nie do przyjęcia, bo niszczyły wspólnotę, antagonizowały Polaków między sobą i z europejskimi partnerami, blokowały nie tylko rozwój, ale także kultywowanie najlepszych polskich tradycji. To nie jest tak, że tradycja jest przeszkodą dla modernizacji, a okazywanie innym szacunku jest oznaką słabości. Sprawą podstawową jest znalezienie

nowego języka, jakim się mówi do społeczeństwa. Powiedzenie, że nowa władza nie chce pogłębiać konfliktów. Że rozumie, iż spora część Polaków wyznaje inne wartości, jest związana emocjonalnie z Kościołem, obawia się nowinek i zmian. Tym ludziom trzeba powiedzieć, że będzie się ich szanowało. Że będzie się szukało kompromisów, uznając i próbując godzić różne, sprzeczne często wartości, spojrzenia wstecz i w przyszłość, modernizację i tradycję.

Kiedy patrzę na Tuska, np. odmieniającego 11 listopada przez wszystkie przypadki słowo „naród” na tle biało-czerwonej flagi, to myślę, że on to rozumie. Podobnie kiedy mówi o szczelności granicy. Inna sprawa, że kampania PO, polegająca na wzbudzaniu strachu przed migrantami, w zasadzie nie różniła się populizmem od kampanii PiS.

Mnie też ten język szokował. Wolałem już z pewnością świadomie zwrócić się ku symbolom patriotycznym, flagom biało-czerwonym na manifestacjach itp. Tylko że tu się z PiS nie wygra: podróbka nigdy nie będzie tak autentyczna jak oryginał.

Czyli to jednak podróbka?

Posłużyłem się drastyczną formułą. Chodzi mi o to, że patriotyzm tradycyjny, romantyczny, w którym dużą rolę odgrywały klęski i ofiary, jest zarazem patriotyzmem wspólnotowym. Jego wyznawcy mają nie tylko poczucie wspólnoty, ale również równości. Patriotyzm nowoczesny, który dominuje na Zachodzie i w dużej części Polski, tej bardziej nowoczesnej, jest indywidualistyczny, pragmatyczny, kojarzy się nie z ofiarą krwi, lecz z budowaniem nowoczesnych instytucji, demokracji, rozwojem gospodarczym etc. To nie jest typ patriotyzmu, który powoduje bicie serca.

Podam skrajny przykład. Usłyszałem niedawno pewną publicystkę, niewątpliwie należącą do zwolenników nowej władzy, która apelowała o zastąpienie święta 11 listopada, które dziś jej się kojarzy z bandyterką, racami i podpalaniem Warszawy, radosnym świętem 15 października, które utożsamia z radością na ulicach stolicy i zwycięstwem demokracji. Czy taka koncepcja patriotyzmu może wygrać z formą tradycyjną?

A może jedno ze źródeł sukcesu Tuska polega na tym, że on nie obsługuje baniek, z których wywodzi się ta publicystka? Widać to było choćby w zmianie języka dotyczącego wspólnej listy na finiszu kampanii.

Wcześniej jednak wywierał na te mniejsze partie dużą presję i nie hamował internetowych hunwebinów, którzy utożsamiali się z jego słowem jak ze Słowem Bożym i niszczyli Hołownię.

Doceniam elastyczność Tuska, ale mam na myśli coś innego. Żeby się zwrócić do tej drugiej strony Polski, uznać jej odrębność kulturową, jej odmienne lęki i nadzieje, nie trzeba straszyć migrantami. Trzeba powiedzieć, że będziemy też dla was, że będziemy szukali porozumienia między Polską wielkomięską a małomiasteczkową, młodszą i starszą – że obie są równoważnościowe. Oczywiście demokracja jest miejscem zderzenia i walki, ale można tę walkę toczyć z szacunkiem. A już na pewno demokracja nie może się obyć bez zaufania do instytucji i do siebie nawzajem.

W trakcie burzy wokół przepisów o wiatrakach Tusk mówił właśnie w tym duchu: „nie bójcie się, jesteśmy tu po to, żeby lęków o niesprawiedliwe działanie władzy już nie było”. Same słowa lęków nie wyeliminują, ale rozdziałając te przepisy na dwie ustawy i zmieniając ich treść, można lęki pomniejszać.

Wielu ustaw nowy rząd i tak nie zdola przeprowadzić.

Tu dochodzimy do wspomnianego już etapu trudności: PiS wciąż posiada wiele mechanizmów blokujących, poczynając od Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego, Krajowej Rady Sądowniczej, Narodowego Banku Polskiego, a na wywodzącym się z tego obozu prezydencie kończąc.

Czy rząd, który deklarował przywrócenie praworządności, może ją przywrócić w sposób praworządny?

To najciekawsza debata związana ze zmianą władzy: czy budując państwo prawa, można iść na skróty? Wybrać rewolucję czy ewolucję? Z jednej strony słyszymy, że trzeba myśleć w kategoriach państwa prawa, z drugiej o państwie prawa jako punkcie dojścia, do którego

idąc, trzeba unikać pułapek zastawianych przez panią Przyłębską czy przez prezydencie wet. Nawet umiarkowany Andrzej Zoll mówi o konieczności dokonania zmian w Krajowej Radzie Sądowniczej przy pomocy uchwał Sejmu, skoro wcześniej przy pomocy uchwał Sejmu bezprawnie mianowano tam 15 członków. Z drugiej strony Marcin Matczak mówi, że państwa prawa nie można budować przy pomocy łamania prawa. O tym, jaki będzie ostateczny kierunek zmian, nie chcę jednak spekulować, bo nie znam się na tym ani też nie znam stanowiska polityków. Wypowiedzi z czasu kampanii są zwykle ostrzejsze niż późniejsza praktyka.

Adam Bodnar, który obejmuje resort sprawiedliwości, nie należy do jastrzębi.

Tak, jego stanowisko jest subtelne i ciekaw jestem, jaki model kompromisu zaproponuje.

Podobny, choć z pewnością łatwiejszy do rozwikłania problem wiąże się z przywracaniem publicznego charakteru TVP. Upartyjnienie tego medium przekroczyło wszelkie znane w demokratycznych krajach normy.

Wszystko to trzeba będzie robić w ogniu kolejnej kampanii: wybory samorządowe i europejskie odbędą się w przyszłym roku, a w 2025 r. będziemy wybierać prezydenta. Rosnąca popularność Hołowni nie będzie problemem dla spójności koalicji?

To nie jest nieuchronne. Jeśli sondaże będą jednoznaczne, nie wykluczam zresztą, że większość rządowa wyłoni wspólnego kandydata. Natomiast między wyborami europejskimi a prezydenckimi będzie jeszcze sporo czasu. Większym problemem jest najbliższe pół roku. Tu władza – której politycy byli przez lata demonizowani przez propagandę PiS – musi być bardzo ostrożna wobec tych, którzy się jej boją.

Z tego wszystkiego wynika, że zmiany nie mogą być radykalne.

Wiele rzeczy da się przeprowadzić, odwołując się do poczucia sprawiedliwości społeczeństwa. Opinia publiczna przyjdzie ze zrozumieniem dymisje ludzi, którzy uwłaszczyli się na spółkach Skarbu

→ Państwa, albo cofnięcie groteskowych decyzji o przekazywaniu majątku różnym fundacjom przez ministrów Głińskiego i Czarnka.

Nie ma demokracji bez poczucia sprawiedliwości – co nie znaczy równości. Ludzie mogą uznawać nierówności, nawet ich konieczność związaną z różnicą kompetencji czy kwalifikacji, ale muszą mieć poczucie, że one są sprawiedliwe.

„Szacunek”, „sprawiedliwość” to wszystko są duże słowa.

Nie mamy zaufania do języka, prawda? To nie jest tylko problem polski. Wielość nakładających się kryzysów spowodowała duży wzrost niepewności, a co za tym idzie: ograniczenie naszego zaufania do kręgu najbliższych ludzi. No i do wodzów, których obdarza się kultem. To jedna z cech definiujących populizm. Mamy to z nadmiarem w PiS, ale jest to też obecne w PO.

Zwłaszcza w świecie wzmacniających polaryzację mediów społecznościowych, postpolityki i fake newsów.

Problemy z prawdą wynikają też ze skomplikowania dzisiejszego świata. Podobne przyczyny ma powszechne wotum nieufności w stosunku do elit. Kiedyś można ich było nie lubić, ale miały one pewne obowiązki w stosunku do społeczeństwa. Rozwiązywały podstawowe problemy. Zapewniały pokój społeczny, pokój na granicach i poczucie sprawiedliwości. W ostatnich latach widzieliśmy nieraz, że elity są równie bezradne, jak zwykli obywatele.

Czy potrzeba szacunku dla tamtej strony oznacza rezygnację ze światopoglądowej części programu? Wśród stu konkretów na sto dni nowego rządu PO umieszczała m.in. liberalizację ustawy aborcyjnej. Zwłaszcza dla młodego elektoratu kobiecego to punkt kluczowy.

Propozycja Trzeciej Drogi, by tę kwestię rozstrzygnąć w referendum, wydaje mi się rozsądna. Sondaże wskazują zresztą, że ponad 70 proc. Polaków jest za liberalizacją prawa aborcyjnego.

Wspierająca dotąd Tuska, wzmocniona światopoglądowo grupa komentatorów będzie mu zarzucać, że nie dotrzymuje słowa.

Myszę, że lata obecności w polityce zmieniły Donalda Tuska. Epizod brukselski sprzyjał kulturze kompromisu. Wcześniej we własnej partii eliminował często ludzi zdolnych jako nadmiernie mu zagrożących. Myszę, że to przeszłość i że wie, iż musi się liczyć z koalicjantami. Będzie człowiekiem unikania skrajności.

W kwestiach światopoglądowych są rzeczy niemożliwe i możliwe do załatwienia. Na usunięcie religii ze szkół nie ma co liczyć, ale to, że jej lekcje muszą się odbywać na pierwszej lub ostatniej godzinie, wydaje się oczywiste. Koalicjanci nie będą tego blokować. Hołownia jako człowiek wierzący nie ma żadnych kompleksów i często wypowiada się w sposób bardziej antyklerykalny niż PO. Muszą też być załatwione problemy finansów Kościoła. Państwo nie może być tym obciążone.

Gdy patrzę na niektórych ministrów, to takie słowa jak kompromis czy szacunek słabo mi się z nimi kojarzą. Radosław Sikorski ma opinię aroganta nie tylko w Polsce, a jego różne wypowiedzi na Twitterze trudno nazwać dyplomatycznymi.

Ja go pamiętam jednak z dwóch znakomych inicjatyw – wspólnej wyprawy do Kijowa z szefami dyplomacji Niemiec i Francji, która przyczyniła się do pokojowego rozwiązania kryzysu na Majdanie, oraz wprowadzanego z Carlem Bildtem Partnerstwa Wschodniego, stwarzającego krajom postsowieckim perspektywę europejską. Pamiętam też, że z rządu PiS został wyrzucony przez Kaczyńskich, bo chciał bardziej twardo negocjować z USA. Generalnie bronię nominacji ludzi ze starej ekipy Tuska – i Sikorski, i oddelegowany do zrobienia porządków w mediach publicznych Bartłomiej Sienkiewicz mają wady, ale posiadają też siłę przebicia, która w pierwszym okresie będzie bardzo potrzebna.

Jakie stanowisko nowe władze mają zająć w kwestii przyszłości UE?

Tusk wie, że do ewentualnych zmian traktatów regulujących funkcjonowanie Unii droga jest bardzo daleka, a uchwała Parlamentu Europejskiego nie jest na niej aktem najważniejszym. Wie też, że na uzyskanie jednomyślności w tej sprawie nie ma obecnie szans, więc nie musi tracić na nią energii. To, że mówi o niej językiem zbliżonym do PiS, może być kwe-

stią taktyki, choć nie wykluczam, że rzeczywiście tak myśli.

O samym usprawnieniu procedur decyzyjnych w UE, zwłaszcza po kolejnym rozszerzeniu, warto jednak rozmawiać. Unia od dawna nie jest, jak powiedział kiedyś de Gaulle, sojuszem państw narodowych, i nawet w ostatnich latach – mimo kryzysu finansowego i pandemii – integracja została zacieśniona. Federacja europejska szybko nie powstanie, ale współpraca między poszczególnymi krajami, choćby tymi należącymi do strefy euro, będzie postępować. Różne kraje będą też pogłębiać współpracę obronną, zresztą również z pozostającą poza UE Wielką Brytanią.

Rozumiem, że z racji na swoje brukselskie doświadczenia Tusk nie będzie patrzył na UE tylko jak na bankomat i uczyni Polskę podmiotem gry w łonie wspólnoty.

Oczywiście, nawet jeśli takie głosy jak osławiony artykuł w „Politico”, który przedstawił go jako najpotężniejszego człowieka Europy, są przesadzone. Bruksela i inne stolicy niepokoją się wynikami wyborów w Holandii czy na Słowacji, obawiają się powrotu Trumpa w USA, więc zwycięstwo opozycji w Polsce przyjęły entuzjastycznie, jako dowód, że sukcesy populistów są odwracalne. Pytanie tylko – wróć do głównego wątku tej rozmowy – na jak długo?

Ja się zastanawiam, czy człowiek, którego przez tyle lat media publicz- ne przedstawiały jako czyste złoto, może pojednać Polskę.

To oczywiście pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć, bo decydują o tym nie najpiękniejsze nawet słowa, a pokazywanie w praktyce, co to znaczy demokracja i odbudowywanie zaufania.

Natomiast jeżeli chodzi o tę czarną propagandę, to ona jest w dużym stopniu do odkręcenia: kiedy w mediach, które znów staną się publicznymi, zobaczymy normalnego człowieka, który potrafi dobrze się komunikować. Odbudowanie zaufania do Tuska jako do człowieka może być łatwiejsze niż odbudowanie zaufania do Tuska jako polityka i do elit, które reprezentuje.

W tych elitach znów będą się poja- wiać ludzie pazerni i chciwi.

Zło jest nieodłączną częścią naszej rzeczywistości, rzecz tylko w tym, by mu się przeciwstawić. Tusk w swoim otoczeniu korupcji nigdy nie tolerował.

A czy Tusk jest jeszcze liberalem?

Z partii idących po władzę to raczej Trzecia Droga mówiła o ograniczaniu rozdawnictwa, on zaś zapewniał, że większość programów socjalnych PiS będzie utrzymana.

Po pierwsze, język zawierający takie pojęcia jak „rozdawnictwo” został skompromitowany. PiS wprowadzał swoje programy socjalne nie jako „rozdawnictwo”, tylko realizację praw obywatelskich, które dotyczą wszystkich. Nie jest to więc jałmużna dla ubogich. O takich rzeczach trzeba mówić językiem społecznej sprawiedliwości, nie przywilejów. Nie chodzi o ubolewanie nad wydatkami, na które budżetu nie stać, albo o koncesje dla różnych grup nacisku, tylko o sprawiedliwość. Język, którym się mówi do społeczeństwa, jest ważny, i Tusk dobrze to rozumie. W jednym z dawniejszych wywiadów stwierdził nawet, że się przesunął na pozycję socjaldemokratyczne.

Mnie się wydaje, że on jest po pierwsze pragmatykiem politycznym. Wyczuwa, jakie zmiany są konieczne, żeby nie stracić kontaktu z elektoratem. Oczywiście niedobrze, jeżeli się człowiek kieruje wyłącznie względami taktycznymi, ale taktyka jest częścią arsenału polityka. Akurat tu elastyczność Tuska może odgry-

Odbudowanie zaufania
do Tuska jako do człowieka
może być łatwiejsze
niż odbudowanie zaufania
do Tuska jako polityka
i do elit, które reprezentuje.

wać rolę pozytywną – inaczej niż wtedy, kiedy mówił o imigrantach, pogłębiając społeczne lęki, zamiast przyznać, że Polska potrzebuje pracowników z zagranicy i to dlatego PiS sprowadzał ich w ukryciu przed opinią publiczną...

À propos słów, którymi politycy organizują wyobraźnię wyborców: przed laty mówił o ciepłej wodzie w kranie, ale dziś – po pandemii, w cieniu wojny – musi chyba znaleźć inną opowieść.

Kluczowe wydaje mi się mówienie o marszu do przodu, ale takim, który nikogo nie zostawi z tyłu. Język, który trafi do serc tych, którzy się boją.

Taka wolność, równość, braterstwo i siostrzeństwo, tylko w polskim wydaniu?

W polskim wydaniu mamy słowo „solidarność”. Wybitny teoretyk demokra-

cji Robert Dahl mówił, że demokracja opiera się w mniejszym stopniu na konstytucji i prawie, a w większym na poczuciu wzajemnego bezpieczeństwa. Walka polityczna musi być ograniczona przez wzajemny szacunek i wzajemne zaufanie. Słowa „szacunek”, „zaufanie”, „samoograniczenie” nie mają oczywiście siły tej francuskiej triady, ale zwalczają w Polsce, gdzie przywiązanie do prawa i do konstytucji jest umiarkowane, warto je przywoływać.

Przed laty opublikował Pan na łamach „Tygodnika” głośny tekst „Melduję się z życzeniami, Panie Prezydencie”, na inaugurację prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Donaldowi Tuskowi życzyłby Pan więc na starcie więcej szacunku?

Więcej szacunku nie tylko panie premierze, ale także panie redaktorze, panie ministrze, pani ministrowi, pani posłanko i panie pośle. Okazujemy sobie więcej szacunku, bo okazywany przez nas szacunek to również źródło szacunku innych do nas. Tak się buduje wzajemne zaufanie i eliminuje strach.

„Nie można sobie wyobrazić cywilizacji miłości, natomiast można sobie wyobrazić cywilizację szacunku” – mówił kiedyś w „Tygodniku” prof. Jerzy Jedlicki.

Niech to będą nasze wspólne życzenia.

© P Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabin, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła
Fotoreportaż: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierowniczką), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (kierowniczką),
Michał Kuźmiński, Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardys,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielewski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydawniczy: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adert,
Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Sumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Sny dworzan faraona*



OFIARA PRZESTĘPSTWA SEKSUALNEGO WTRĄCONA DO WIĘZIENIA ZA... USIŁOWANIE GWAŁTU. W Biblii?! A jednak. Przypomnijmy: sprzedany przez braci Józef trafia w Egipt do domu Potifara. Ów z czasem powierza zdolnemu młodzianowi pieczę nad swym dobytkiem. Na przystojnego Hebrajczyka zagina parol pani domu. Korzystając z nieobecności innych domowników, próbuje uwięzić Józefa. Niedoszły kochanek ucieka, niebacznie zostawiając u kobiety część garderoby, za którą go chwyciła. Plan Potifarowej żony spala na panewce, a ona – w ramach zemsty – tworzy swoją wersję wydarzeń. Opowiada mianowicie mężowi: „Przyszedł do mnie ten sługa, Ibrejczyk, którego sprowadziłeś nam, – aby swawolił ze mną. Lecz gdy podniosłam głos mój, i krzyknęłam, zostawił szatę swą u mnie, i uciekł na ulicę” (Rdz 39, 17-18; Cyllkow). Potifar zdaje się być wzburzony, jednak – co ciekawe – nie każe Józefa śmiercią, lecz wysyła do więzienia o złagodzonej rygorze, „gdzie więźnie króla więzieni byli” (wers 20). Tam naczelnik dostrzega zdolności młodzieńca i z czasem powierza mu pieczę nad resztą osadzonych.

„I stało się po zdarzeniach tych, że przewinili podчасzy króla Micraim [hebr. Egipt], i piekarz przeciw panu swojemu, królowi Micraim” (Rdz 40, 1). „I oddał ich pod straż, do domu naczelnika straży przybocznej, do więzienia, do miejsca, gdzie osadzony był Josef” (wers 3). Dwóch dworzan podpada faraonowi jednego dnia – czy to nie dziwne? Tradycja żydowska oferuje swoją wersję tego, co wydarza się wówczas na królewskim dworze. Otóż podczaszy i piekarz szczerze się nienawidzą, i gdy dochodzi między nimi do kłótni, obaj starają się wpędzić adwersarza w tarapaty. Kiedy podczaszy spuszcza z oka faraonowy kielich, piekarz podrzuca doń zdechłą muchę. Z kolei podczaszemu udaje się niepostrzeżenie dodać drobny kamyczek do ciasta na chleb dla króla. Wciągnięcie władcy we własne porachunki nie wychodzi dworzanom na dobre.

Podczas pierwszej nocy spędzonej pod kluczem nowi więźniowie mają niepokojące sny. Trafnie interpretuje je Józef: za trzy dni podczaszy zostanie przywrócony na swój urząd, piekarz zaś – stracony. Co naprowadza go na właściwy trop? Tradycja mówi o gruntownej analizie relacji dworzan. We śnie podczaszego jest działanie: bierze on winogrona, wyścisnąć je, podaje kielich faraonowi (zob. Rdz 40, 11). Natomiast piekarz w swojej nocnej wizji pozostaje bierny, a ptaki wyjadają pieczywo z kosza na jego głowie (zob. Rdz 40, 16-17). Wykazanie się umiejętnością wyjaśniania snów otwiera Józefowi w pierw drzwie więzienia, a następnie drogę do wysokiego stanowiska na dworze faraona. Dla ocalenia Egiptu i własnej rodziny od głodu konieczne było fałszywe oskarżenie złej kobiety.

©

O. WACŁAW

Oszajca: *Kobiety namieszały*



„POJAWIŁ SIĘ CZŁOWIEK POSŁANY PRZEZ Boga – miał na imię Jan. Przybył on, aby dać świadectwo: miał świadczyć o światłości, aby dzięki niemu wszyscy uwierzyli. On sam nie był światłością, lecz miał świadczyć o światłości. Była światłość

prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, gdy przychodzi na świat”. Tą światłością był i jest Jezus Chrystus z Nazaretu. Ewangelista Jan mógł tak twierdzić, napisał te słowa, gdy Jezusowe podejście do rzeczywistości sprawdziło się w praktyce. W tak zwanych sytuacjach beznadziejnych. Pisał po śmierci Jezusa, kiedy już wierzone, że „Bóg wskrzesił Go i uwolnił od więzów śmierci. Nie było bowiem możliwe, aby ona nad Nim panowała. Przecież Dawid powiedział o Nim: Zawsze mam Pana przed oczami, On jest po mojej prawej stronie, abym się nie zachwiał. Dlatego cieszę się w sercu i bardzo raduję, gdyż (...) nie pozostawisz mnie w krainie umarłych, i nie dopuścisz, aby twój święty uległ rozkładowi. Wskazałeś mi drogi, które prowadzą do życia, a Twoja obecność napełnia mnie radością”. Zanim do tego doszło, Jezus, jak każdy człowiek, „posuwał się w mądrości, i dojrzałości, i łasce u Boga i ludzi”, i niech nas nie dziwi, że nie zawsze wiedział wszystko o wszystkim.

Biskup Rzymu Franciszek mówi: „Ewangelia opisuje zaskakujące spotkanie Jezusa z cudzoziemką, Kananejką, która błaga Go, aby uzdrowił jej chorą córkę. Jezus odmawia spełnienia jej prośby, stwierdzając, że został posłany tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela (i) że niedobrze jest zabierać chleb dzieciom, a rzucić psom. Ale kobieta, z uporem charakterystycznym dla ludzi prostych, odpowiada, że nawet szczenięta jedzą z okruszyn, które spadają ze stołów ich panów. Jezus jest tym poruszony i mówi do niej: Niewiasto wielka jest twoja wiara; niech ci się stanie, jak chcesz! To spotkanie z ową niewiastą ma w sobie coś wyjątkowego. Nie tylko to, że ktoś sprawia, iż Jezus zmienia zdanie, i że tym kimś jest kobieta, cudzoziemka, poganka, ale to, że On sam, Pan, znajduje potwierdzenie przekonania, że Jego przepowiadanie nie powinno ograniczać się, dotyczyć jednego narodu, do którego On należy, lecz musi otworzyć się na wszystkich”.

Skoro więc sam Syn Boży pod wpływem okoliczności czasu i miejsca zmieniał poglądy, powiedzmy: doktrynę, to dlaczego dzisiaj nie miałby On prawa robić tego samego w Jego, bądź co bądź, Kościele, który przecież jest Jego Ciałem, Organizmem, i w doktrynie, słowie, tegoż Kościoła? Ale skoro papież mówi, że to kobiety, cudzoziemki i poganki namieszały w głowie Jezusa i w najpierwszej doktrynie Kościoła, nie dziwmy się, że na synodzie też namieszaają. Widać taka jest wola Głowy Kościoła. Czyli nic to nowego.

©

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Niepokalanie Poczęta

*I wśród myśli są
hazardziści, truciele,
piraci, łowcy,
świętokradcy, zabójcy
i tak dalej. Takich myśli
trzeba się pozbywać.*

JAN Z KARPATOS



*Jeśli źle znosisz
ukąszenia, nie wkładaj
palca do gniazda
skorpionów.*

SADI Z SZIRAZU



KOŚCIÓŁ PRÓBUJE w liturgii czytać ten przywilej Maryi fragmentem pięknego hymnu św. Pawła z Listu do Efezjan:

„W Nim [w Chrystusie] wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem. W miłości przeznaczył nas dla siebie” (Ef 1, 4-5). „Święci i nieskalani” – św. Hieronim tłumaczy jako: „*sancti et immaculati*”, czyli „święci i niepokalani”.

Piękny hymn próbuje pójść dalej niż samo tylko stwierdzenie faktu – próbuje również przeniknąć wewnętrzną logikę Bożego daru. By ją jednak rozczytać, trzeba w pierw zmierzyć się z... kropką. Otóż, w bardzo wielu wydaniach Pisma Świętego (z „Biblią Jerozolimską” włącznie) postawiona jest ona w innym miejscu, niż tego chce przekład z naszego lekcjonarza. Również w Wulgacie, gdzie czytamy: „*elegit nos... ut essemus sancti et immaculati in conspectu eius in caritate*” – „wybrał nas..., abyśmy byli święci i niepokalani przed jego obliczem w miłości” – i tu kropka. A dalej następne zdanie od dużej litery: „Przeznaczył nas dla siebie...”.

Właśnie tak: świętym i niepokalanym staje się człowiek w miłości! Odwieczny (jeszcze „przed założenia świata”) zamysł Boga w odniesieniu do człowieka polega na wybraniu do relacji miłości. To w niej człowiek się uświęca i osiąga zadaną sobie doskonałość. Doskonałość, świętość, niepokalaność rozwijają się w człowieku nie w odniesieniu do jakiegos abs-

trakcyjnego wzorca czy ideału; tym bardziej nie w odniesieniu do jakiegos zbioru praw i przepisów. W bezpiecznej i skupionej na sobie samotności. Doskonałości nie osiąga się na drodze zawziętej „auto-puryfikacji”, lecz w spotkaniu osób (Osób!).

Niepokalane Poczęcie Maryi też jest wpisane w taką logikę. Jest przywilejem wpisanym w Jej relację do Boga. Tak o nim mówi – zbierając całą tradycję – Katechizm Kościoła Katolickiego: „Aby być Matką Zbawiciela, została obdarzona przez Boga godnymi tak wielkiego zadania darami... – została odkupiona od chwili swojego poczęcia”. A więc Maryja jest niepokalana ze względu na relację z Jezusem. Jej świętość i niepokalaność nie ma w żadnej mierze charakteru wsobnego. Jest doskonała, by Go począć i rodzić.

Nie należy przy tym uciekać od liczby mnogiej, w jakiej św. Paweł zapisuje swój hymn: „wybrał nas..., abyśmy byli niepokalani...”. Boże wybranie dotyczy nas wszystkich. Każdy z nas ma prawo patrzeć na Maryję Niepokalaną jako osobowy punkt odniesienia – wzór dany i zadany każdemu z uczniów Pana. Aż po świętość z racji na rodzenie Jezusa. Do takiego myślenia ośmielają nas słowa Pana: „Moją matką i moimi braćmi są ci, którzy słuchają Słowa Bożego i czynią je” (Łk 8). Tak. Możemy rodzić Jezusa – dawać Mu życie – w procesie ewangelizacji. Do tego jednak wcześniej potrzebna jest zażyła relacja miłości z Nim i z braćmi. Tylko ona uświęca i tylko pośrodku tej – przemieniającej mnie – relacji mogą Go ostatecznie przyjąć i przekazać innym. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (17 – 24 XII)

3. niedziela Adwentu: Iz 61, 1-2a. 10-11;

Łk 1, 46b-50. 53-54;

1 Tes 5, 16-24; J 1, 6-8. 19-28;

Poniedziałek: Jr 23, 5-8; Ps 72; Mt 1, 18-24;

Wtorek: Sdz 13, 2-7. 24-25a;

Ps 71; Łk 1, 5-25;

Środa: Iz 7, 10-14; Ps 24; Łk 1, 26-38;

Czwartek: Pnp 2, 8-14 lub So 3, 14-17;

Ps 33; Łk 1, 39-45;

Piątek: 1 Sm 1, 24-28;

Ps: 1 Sm 2, 1. 4-5. 6-8; Łk 1, 46-56;

Sobota: Ml 3, 1-4. 23-24; Ps 25; Łk 1, 57-66;

4. niedziela Adwentu: 2 Sm 7, 1-5. 8b-12. 14a.

16; Ps 89; Rz 16, 25-27; Łk 1, 26-38.

Wybrał PIOTR SIKORA

SZESNAŚCIE SEKUND

W Polsce dochodzi rocznie do około 40 tysięcy poronień.
I choć w światowych statystykach wypadamy dobrze,
to utrata ciąży wciąż jest tematem tabu.

Nie potrafimy o nim rozmawiać,
częściej pogłębiaamy traumy kobiet.

KATARZYNA RODACKA



ADA POD KONIEC CZWARTEGO MIESIĄCA ciąży była trochę przeziębiona. Kiedy pojawiło się płamienie, lekarz stwierdził drobną infekcję i zapisał jej leki. Którejś nocy dostała skurczy. – Zobaczyłam pępowinę, która ze mnie wychodzi, byłam przerażona – opowiada. W szpitalu na początku usłyszała, że to nic strasznego. Po chwili jednak okazało się, że jest w trakcie poronienia, więc od razu zabrano ją na zabieg łyżeczkowania. Chwilę wcześniej dostała do podpisania cały plik dokumentów, musiała m.in. od razu decydować o pogrzebie. Podpisywała wszystko szybko, dla świętego

spokoju – była przecież w szoku i trudno było jej zrozumieć wielostronicowe formularze.

Anna podczas wizyty u ginekologa usłyszała, że jajo płodowe jest puste; jej organizm cały czas jednak zachowywał się jak przy zdrowej ciąży. Po dwóch miesiącach zaczęła płamieć. Na SOR-ze pielęgniarka zdziwiła się, że nikt Annie do tej pory nie przepisał tabletki poronnej. Była wręcz przekonana, że płamienie wystąpiło właśnie wskutek jej działania. Kiedy krwotok się pogłębił, Anna miała dwie możliwości: zostać w szpitalu albo ronić w domu. – Miałam świadomość, że jeśli zostanę, będę na jednej sali z kobietami, które przygotowują się do porodu, to byłoby straszne. Wybrałam dom – mówi.

Iga z mężem o ciążę starali się półtora roku. Kiedy już się udało, około szóstego tygodnia lekarz podczas badania USG nie stwierdził bicia serca, które powinno już się pojawić. Idzie zalecono czekanie. Gdy po trzech tygodniach sytuacja się nie zmieniła, zgłosiła się do szpitala. W poczekalni siedziała pięć godzin. Kiedy w końcu została przyjęta, dowiedziała się, że lekarze wywołają poronienie, ale nikt jej nie poinformował, jak to będzie wyglądać. Posadzono ją na fotelu ginekologicznym, a gdy zapytała, co będą robić, usłyszała, że procedura już się zaczęła i w tym momencie aplikują jej tabletkę poronną.

Mylące statystyki

Według raportu UNICEF za rok 2020, na świecie co 16 sekund rodzi się martwe dziecko, co powoduje około 1,9 mln straconych ciąży w ciągu roku. Średni wskaźnik na świecie wynosi 13,9 martwych urodzeń na tysiąc przypadków, jednak w Europie nie przekracza on 6, a średnia dla krajów Unii Europejskiej wynosi tylko 3,2 martwych urodzeń na tysiąc. Polska, w której podobnie jak we Francji, Belgii czy na Węgrzech wskaźnik ten wynosi nieco ponad 3 martwe urodzenia na tysiąc, mieści się w średniej unijnej. Sytuacja jest jednak lepsza w sąsiednich Czechach, Niemczech czy Norwegii.

Według statystyk około 40 tys. ciąży w Polsce co roku kończy się poronieniem, kolejne 1700 – urodzeniem martwego

dziecka. Granicę pomiędzy jednym a drugim stanowi 22. tydzień ciąży.

– Statystyki niewiele mówią, dopóki cię to samej nie spotka – mówi Ada. Mimo że ciążę straciła sześć lat temu, to poczucie winy, iż mogła tragedii zapobiec, wciąż do niej wraca. Ada twierdzi, że to właśnie wstyd i wyrzuty sumienia powodują, iż tak trudno rozmawia się o poronieniu.

– Niestety, poczucie winy bardzo często towarzyszy kobietom, które straciły ciążę – przyznaje Maria Hornowska-Stoch, psycholożka, która tematem straty prenatalnej zajmuje się również naukowo. – Natychmiast zaczynają szukać przyczyny poronienia, zastanawiają się, co zrobiły źle. Mają obniżoną samoocenę, czują się niepełnowartościowe, ponieważ w swojej ocenie nie zrealizowały obowiązku kobiety: zostania matką. Tymczasem z punktu widzenia personelu medycznego poronienia, zwłaszcza wczesne, są dosyć powszechnym biologicznym działaniem organizmu. Jednak w zestawieniu z tym, co czują kobiety, ten argument zazwyczaj nie zmniejsza bólu. One bardziej potrzebują zdania: „To nie pani wina” albo zwykłego: „Przykro mi, że to panią spotkało”. Tego typu zdania usłyszane na oddziale pacjentki często wspominają jako bardzo wspierające. Brzmiały prosto, ale żeby je wypowiedzieć tak, by kobietę wzmocniły, trzeba mieć odpowiednią wrażliwość, zasoby energetyczne i czas na prawdziwie bliski kontakt z tą jedną pacjentką. I nie bać się, że to wywoła jej płacz. Trzeba umieć być obok kogoś, kto doświadczył straty, a to wcale nie jest takie proste – uważa psycholożka.

Następnym razem się uda

Personel szpitali wybiera często inne zdania, niefortunne, jak choćby: „Jest pani jeszcze młoda” lub „Będziecie mieli przecież kolejne dziecko”, lekceważące *de facto* stratę. – To nie jest intencjonalne – uważa Maria Hornowska-Stoch – po prostu personel pracujący na oddziałach ginekologiczno-położniczych spotyka się z poronieniami często, w pewnym sensie to codzienność tego typu oddziałów. Dla roniącej natomiast i dla jej partnera ta sama sytuacja jest absolutnie wyjątkowa. Gdy następuje spotkanie tych dwóch perspektyw, i to w dramatycznych okolicznościach, trudno o pełne zrozumienie. →



GRZEGORZ CELEJWSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

*Dzień dziecka utraconego
– białe balony na znak solidarności
z rodzicami, którzy utracili dziecko.
Katowice, 15 października 2021 r.*

→ Maria Hornowska-Stoch zauważa też, że mimo iż strata ciąży w wyniku poronienia to zjawisko powszechne (według WHO stanowi między 10 a 15 proc. wszystkich ciąż na świecie), kobiety zazwyczaj dowiadują się o podobnych doświadczeniach innych pań dopiero wtedy, kiedy same ronią.

Anna przed swoim własnym poronieniem nie słyszała, by jakąś bliską jej kobietę spotkało to samo. Dopiero gdy zaczęła otwarcie o swym bólu mówić, wyszło na jaw, że nie jest z tym doświadczeniem sama. – Dlaczego nie potrafimy rozmawiać na tak istotny temat, tylko cierpimy samotnie? – zastanawia się.

Katarzyna Kachel, autorka wydanej właśnie książki „Wszystkie moje straty. O ciąży, traumie i odzyskanym życiu”, zauważa, że tabuizacja tego problemu jest również wynikiem milczenia kobiet, które same doświadczyły straty. – Straty niemającej wsparcia społecznego i niezwiązanej z rytuałami. Wszystko to sprawia, że kobietom, które ronią lub rodzą martwe dziecko, wydaje się, że nie mają prawa do żałoby. One nawet nie dają sobie prawa do nazywania siebie matkami, choć cierpią jak matki – relacjonuje swoje rozmowy do książki Katarzyna Kachel.

Lista grzechów według NIK

Opiekę nad pacjentkami, które poroniły lub urodziły martwe dziecko, wzięła pod lupę Najwyższa Izba Kontroli i na początku 2021 r. opublikowała wieloaspektowy raport. Okazało się, że standardy opieki okołoporodowej w Polsce nie są przestrzegane. W prawie 60 proc. sprawdzanych szpitali dokumentacja była prowadzona niezetelnie, przez co nie można było ustalić, czy udzielone pacjentkom świadczenia były odpowiednie.

Raport zwracał także uwagę na brak właściwej komunikacji na linii personel medyczny–pacjentka, przez co kobiety tracące ciążę nie otrzymywały należytego wsparcia. Brakowało empatii. W niektórych szpitalach kobiety po stracie przebywały w jednej sali z tymi szczęśliwymi, które chwilę wcześniej urodziły zdrowe dziecko. Jeśli w placówce był zatrudniony psycholog – pacjentki skarżyły się na jego słabą dostępność. Raport NIK wykazał też, że nie we wszystkich szpitalach rzetelnie dokumentowano, co działo się ze zwłokami dzieci. W blisko jednej

czwartej placówek brakowało oświadczeń pacjentek w sprawie pochówku dziecka.

Problemy w komunikacji na linii personel–pacjentka opisuje także raport z badania Fundacji Czułość, przeprowadzonego w pierwszym połowie 2022 r., które dotyczyło traktowania pacjentek, możliwości udzielenia przez szpital wsparcia psychologicznego i komunikacji ze strony personelu. Badanie przeprowadzono w grupie prawie 1500 pacjentek, które doświadczyły poronienia. Mimo pozytywnych doświadczeń wielu kobiet, 70 proc. z nich przyznało, że w szpitalu nie otrzymały żadnych informacji na temat przepisów, które mogłyby być pomocne w nadaniu zmarłemu dziecku imienia i organizacji pochówku. 55 proc. nie dostało w ogóle informacji na temat związany z pogrzebem, a 68 proc. pacjentek stwierdziło, że podczas pobytu w szpitalu nie otrzymały żadnego wsparcia psychologicznego.

Po wspomnianej kontroli, NIK skierowała wnioski do resortu zdrowia o wprowadzenie obowiązku zatrudniania psychologa przynajmniej na pół etatu na oddziale ginekologiczno-położniczym nie tylko w szpitalach, w których rodzą kobiety będące w ciąży patologicznej (tak jest obecnie), ale także w placówkach, w których odbiera się ciążę zdrowe lub zajmuje się pacjentkami w ciąży zagrożonej.

Placz „nieadekwatny” do sytuacji

Bardzo smutnym wnioskiem z raportu jest przeświadczenie ponad połowy respondentek, że personelowi medycznemu w Polsce brakuje empatii, odruchów wsparcia i pocieszenia.

Potwierdza to Iga, która leżąc na oddziale, zaczęła nagle płakać. – Pielęgniarka zapytała mnie nieco zdziwiona: „Czego ty płaczesz?”. A ja przecież straciłam dziecko! – wspomina.

Tego typu komentarze bolą na każdym etapie ciąży. Maria Hornowska-Stoch, z perspektywy psycholożki i badaczki, dodaje jeszcze jeden aspekt: poronienia często wiążą się z mniejszym wsparciem społecznym niż utrata dziecka na późnym etapie. – Po kobiecie często jeszcze nie widać, że jest w ciąży, a przez to dziecko nie istnieje społecznie – wyjaśnia.

Paulina jest położną od 15 lat, pracuje na sali porodowej. W jej szpitalu określono krok po kroku działania w przy-

padku śmierci prenatalnej. – W tej procedurze wszystko jest odarte z emocji. Brakuje wskazówek, jak można się taką osobą zaopiekować emocjonalnie – zwraca uwagę Paulina. Dodaje, że jej jako położnej nikt tego nie nauczył. – Szukałam takich informacji na tych samych stronach internetowych, co nasze pacjentki – przyznaje.

Agnieszka Wodzyńska z fundacji Donum Vitae, która od kilku lat obserwuje temat komunikacji z pacjentkami, przyznaje, że – niestety – w tej kwestii niewiele się zmienia. Kluczowa według niej jest opieka psychologiczna – nad samym personelem. Bez tego położne nie będą w stanie wspierać kobiet, które poroniły. – Ważne jest też, by to mamie pozostawić decyzję o tym, czy chce się pożegnać ze swoim dzieckiem, nawet jeśli poronienie następuje przed połową ciąży. U nas często to szpital decyduje za rodziców. Personel, chcąc oszczędzić rodzicom trudnego widoku, wręcz boi się czasem zaproponować im pożegnania. A kobiecie ciężko sobie potem wybaczyć, że nie zobaczyła na koniec swojego dziecka – mówi.

Tęczowe kocyki

Paulina jako położna zajmuje się aranżowaniem pożegnań rodziców z dzieckiem. Wspomina, jak jeszcze niedawno, zanim jej szpital nawiązał współpracę z fundacją Tęczowy Kocyk, brakowało u nich czegośkolwiek, w co personel mógłby zawinąć dziecko, by pokazać je matce. Teraz dostają w tym celu kocyki od fundacji. Taki kocyk wystarcza jednak tylko na moment pożegnania. Potem, gdy położne muszą oddać ciało do chłodni, na stanie nie ma nic, w co można by je owinać z godnością należną człowiekowi. Obwiązuje się je więc podkładami poporodowymi i plastrami. Nie ma nawet żadnego pojemnika, w którym położne mogłyby dziecko ułożyć.

Takie sytuacje zostają w pamięci na długo i również dla personelu są bardzo trudne emocjonalnie. Mimo to za chwilę trzeba iść przyjąć kolejny poród. Swoje uczucia związane z doświadczeniem straty położna musi więc schować głęboko w sobie, żeby móc dać kolejnej kobiecie profesjonalne wsparcie. To, niestety, gromadzi w umyśle trudne emocje.

Paulina przywołuje przykład z zagranicy. W Danii, po towarzyszeniu kobiecie w porodzie martwego dziecka, położna

może zająć się pracą niezwiązaną z bezpośrednim kontaktem z rodzącą kobietą, może przejść też na jakiś czas do zadań biurowych. O takich doświadczeniach opowiada zresztą Sylwii Szwed w książce „Mundra” pracująca w Danii Jola Petersen. Tam położna, której zdarzyła się na dyżurze trudna sytuacja, dostaje taryfę ulgową i może liczyć na wsparcie pastora oraz oddziałowej, która w Danii jest także przygotowana do przeprowadzenia superwizji psychologicznej.

W Polsce superwizje dla położnych też by się sprawdziły. Paulina, która zajmuje się w szpitalu także doradztwem laktacyjnym, razem z grupą innych doradczyń na własną rękę zatrudniły psychologa. Na spotkaniach z nim omawiają przypadki z pracy. Idealnym rozwiązaniem byłoby jednak oddzielne dotowanie psychoterapeutów, którzy mają doświadczenie w tematyce okołoporodowej i mogą prowadzić takie superwizje. We wspomnianej Danii tamtejsze towarzystwo położnych organizuje co kwartał takie sesje dla pracowników.

Mężczyźni zostawieni na boku

Choć pacjentki skarżą się na brak empatii, to w wielu przypadkach wina nie leży po stronie personelu szpitala. W rzeczywistości spotkanie z psychologiem jest utrudnione z kilku powodów.

– Z jednej strony pacjentka czasem myśli, że w sumie nie potrzebuje takiej pomocy, nie chce robić kłopotu lub obawia się, że ktoś ją oceni jako niezaradną – wyjaśnia Maria Hornowska-Stoch. – Drugą przeszkodą jest to, że personel, który także może wezwać psychologa do pacjentki, wzywa go jedynie w sytuacjach, w których wyraźnie widać, że ona tej pomocy potrzebuje. A personel może przecież nie zauważyć, że ktoś, kto zachowuje się pozornie stabilnie, być może też cierpi. Kolejną kwestią jest to, że pacjentki, które poronią, są często w szpitalu zaledwie przez 2-3 dni i po prostu może się zdarzyć, iż miną się z psychologiem, który ma np. tylko pół etatu. Jeśli te pół etatu przypadnie na rano, kiedy pacjenci mają większość badań, to trudno znaleźć czas na spotkanie.

Nawet gdy uda się trafić na terapeutę w szpitalu – nie gwarantuje to sukcesu, bo jak wspomina Maria Hornowska-Stoch, na studiach psychologicznych niewiele jest kursów, które choćby



ARCHIWUM PRYWATNE

MARIA HORNOWSKA-STOCH

PSYCHOŁOŻKA:

Kobiety, które straciły ciążę, czują się niepełnowartościowe, ponieważ w swojej ocenie nie zrealizowały obowiązku kobiety: zostania matką.

pośrednio przygotowują studentów do wsparcia w temacie straty prenatalnej. Widząc tę potrzebę, Hornowska-Stoch uruchomiła na Uniwersytecie Jagiellońskim dodatkowy kurs dla studentów psychologii, który dotyczy wsparcia mentalnego kobiet i rodzin w okresie okołoporodowym, a po opublikowaniu raportu NIK, razem z Anną Stolaś (psycholożką z Poznania zajmującą się podobną tematyką) stworzyły kurs online, który częściowo przygotowuje psychologów do takiej roli.

Białe plamy są także w innym ważnym aspekcie zjawiska – wsparcia dla mężczyzn. Ojciec, którego partnerka poroniła, inaczej przeżywa stratę. W tym pierwszym momencie mężczyźni zazwyczaj czują, że muszą być oparciem dla kobiety. Nie płaczą, nie mówią o swoich emocjach, duszą je w sobie, skupiając się na pomocy partnerce. Zarówno tej emocjonalnej, jak i logistycznej. O tym samym wspomina Magda Niemyjska, doula z Rodzinnego Centrum Położniczego Koala, która wspiera kobiety emocjonalnie i informacyjnie w trakcie ciąży i po niej.

– W dużej mierze na ten temat rozmawiają tylko kobiety. System opieki zdro-

wotnej pomija mężczyzn, bo biologicznie ta kwestia dotyczy tylko pań. Jeśli ktoś ostatecznie proponuje pomoc psychologiczną, proponuje ją kobiecie. Jednak emocjonalnie poronienie to sprawa całej rodziny. Mężczyzna także potrzebuje wsparcia – mówi.

Subtelny wiatr zmian

Paulina przyznaje, że praca organizacji pozarządowych jest coraz bardziej widoczna. Położne mogą do nich odsyłać swoje pacjentki. Kluczowa jest też zmiana w myśleniu. – My, jako młodsze pokolenie, mamy inne podejście do pacjentek. Czasem dostrzegam, że moje starsze koleżanki, które zaczynały pracę w czasie wyżu demograficznego, są wypalone. Między innymi dlatego, że systemowo nie otrzymały żadnego wsparcia. Młodym łatwiej dziś mówić o emocjonalnych trudach tej pracy – wyjaśnia. Dlatego też podczas pracy Paulina wprowadza jedno z rozwiązań wspomnianego wcześniej systemu z Danii. Gdy ktoś z jej dyżuru uczestniczy w porodzie martwego dziecka, proponuje, by ta osoba nadal wspierała swoją pacjentkę, a do kolejnego porodu idzie ktoś inny.

Według Pauliny wprowadzenie do programu studiów zajęć związanych ze wsparciem psychologicznym pacjentów i personelu powinno być priorytetem. – Żeby zdystansować się od trudnej sytuacji, niektóre położne traktują kobiety bezosobowo. Nie ma to raczej miejsca w komunikacji z pacjentką, ale czasem między samymi położnymi padają takie słowa, jak „Poronienie – 6 tygodni”, zastępujące imię kobiety, którą się opiekują. Personel chce się emocjonalnie odciąć, żeby móc dalej wykonywać swoją pracę – stwierdza ze smutkiem Paulina. – Kiedy mówimy, że kobieta poroniła, to czasem brzmi jak wyrwanie zęba. Ale gdy powiemy, że kobieta urodziła dziecko w 12. tygodniu ciąży, to wtedy oddaje to lepiej sens tej sytuacji i jednocześnie nadajemy temu małemu, zmarłemu dziecku człowieczeństwo – wyjaśnia.

Subtelna różnica w podejściu do pacjentek widzi także Magda Niemyjska z Koali. Kobiety, które korzystają z jej usług, dawniej o stracie ciąży opowiadały jej ściszym głosem, jakby ze wstydem. Teraz chcą rozmawiać o tym samym na głos, z godnością.

© KATARZYNA RODACKA



Jarosław Kaczyński w otoczeniu posłów PiS. Warszawa, 13 listopada 2023 r.

Szkodliwa iluzja

PAWEŁ MUSIAŁEK

Misja Morawieckiego traktowana była w PiS jak demonstracja siły i realnej alternatywy dla rządu Tuska. Efekt tej operacji może się jednak okazać bardzo groźny dla partii Kaczyńskiego. Oddala ją od realiów i hamuje proces wyciągania wniosków.

35 PROC. W WYBORACH JAWI SIĘ JAKO świetny wynik. Problem w tym, że o ile zazwyczaj taki rezultat daje mocną pozycję negocjacyjną do tworzenia rządu, to w przypadku PiS nie przynosi nic. Wynika to z przyjętej już wiele lat temu strategii stawiania na samodzielne rządy obozu Zjednoczonej Prawicy. Dwa duże zwycięstwa (w 2015 i 2019 r.) spowodowały, że PiS postanowił kontynuować tę strategię także w ostatnich wyborach – bez sukcesu, do którego brakowało naprawdę sporo. Kilka punktów

procentowych więcej nie zmieniłoby fundamentalnie sytuacji PiS i nie pozwoliłoby mu utrzymać władzy.

Mylą się ci, którzy uważają, że źródłem problemów była słaba kampania. Porażka nie wynika bowiem z taktycznych potknięć (choć bez wątpienia takowe popełniono), ale strategicznego błędu, jakim było ustawienie zbyt wysokiej poprzeczki.

Wpłynęło na to kilka czynników. Po pierwsze, kolejne zwycięstwa wyborcze PiS spowodowały, że zbyt ła-

two przyjmowano optymistyczny scenariusz jako bazowy. Po drugie, zakładano, że wysoki negatywny elektorat Donalda Tuska będzie stanowił wystarczającą barierę przed zwycięstwem koalicji pod jego przywództwem. Po trzecie, spodziewano się, iż pełne zaangażowanie zarówno partii, jak i państwa zdoła wystarczająco zmobilizować wyborców prawicy. Po czwarte, uznano, że tematyka migracyjna i bezpieczeństwo obywateli będą dodatkowym paliwem, a nie obciążeniem, jak ostatecznie się stało w wyniku afery wizowej oraz dymisji najważniejszych generatów. Po piąte wreszcie, można zakładać, że konieczność powściągnięcia ambicji nie była szeroko dyskutowana w partii. „Dworska” kultura wytworzyła presję na „filtrowanie” pesymistycznych diagnoz, ponieważ podważały one strategię przyjętą przez samego prezesa Kaczyńskiego.

PiS przegrał trzy lata temu

Analizując sondaże można bez problemu wskazać moment, w którym PiS stracił

de facto szanse na samodzielne rządy po raz trzeci z rzędu. Stało się to jesienią 2020 r., w wyniku protestów wywołanych wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji oraz w mniejszym stopniu „piątką dla zwierząt”. Wówczas po raz pierwszy od dłuższego czasu PiS spadł w sondażach poniżej 40 proc. i nigdy tego poziomu nie odzyskał; wszedł za to na ścieżkę do oddania władzy. Demonstracje, jakie wywołał wyrok TK, były na tyle emocjonalne i „tożsamościowo” doniosłe, że odzyskanie straconych wyborców jawiło się zadaniem bardzo trudnym. Oczywiście, w ciągu trzech lat mogło się zdarzyć wiele rzeczy, które zmieniłyby polityczną sytuację, i na to zapewne liczył PiS. Jednak z końcem 2020 r. stało się jasne, że tylko nadzwyczaj sprzyjające okoliczności mogą wydłużyć władzę Jarosława Kaczyńskiego.

Skoro było to tak oczywiste, to kluczowe staje się pytanie, jak PiS wykorzystał te ostatnie trzy lata i co zrobił dla zbudowania zdolności koalicyjnej. Odpowiedź musi być druzgocąca. Nie tylko nie wykonał żadnej pracy, ale włożył dużo wysiłku, by oddalić od siebie potencjalnych koalicjantów, choćby sposobem traktowania ich w Sejmie.

Tę ignorancję trudno wyjaśnić inaczej niż poprzez założenie, że w PiS uznano, iż koalicjanci nie będą potrzebni. Nawet jeśli politycy Zjednoczonej Prawicy dopuszczali scenariusz, w którym do utrzymania władzy konieczna byłaby Konfederacja, to zarazem uwierzyli, że korzyści płynące z władzy staną się na tyle atrakcyjne dla konfederatów, iż nie trzeba przygotowywać gruntu pod potencjalną współpracę; nie trzeba też poważnie traktować oświadczeń liderów Konfederacji, wykluczających sojusz z Kaczyńskim.

Warto podkreślić, że w tym samym czasie Koalicja Obywatelska zdecydowała się na całkiem inną strategię. Zdając sobie sprawę z własnych ograniczeń, w tym przede wszystkim wysokiego elektoratu negatywnego, Tusk postanowił w końcowej fazie kampanii wesprzeć przyszłego koalicjanta, zachęcając wahających się wyborców do głosowania na Trzecią Drogę, niepewną przekroczenia progu. W efekcie KO uzyskała wynik nieco niższy, ale za to pozwalający jej stworzyć rząd.

Ta decyzja lidera KO silnie kontrastowała z postawą prezesa PiS, który na

ostatniej prostej postanowił zaatakować swojego jedyne potencjalnego koalicjanta. Jednak w efekcie słabego wyniku Konfederacji (zaważyło tu więcej czynników) nie było nawet arytmetycznej szansy na taką koalicję.

Coraz uboższa oferta

Strategii dążenia do samodzielnych rządów w sytuacji, w której stawało się coraz bardziej oczywiste, iż jest ona nierealna, nie towarzyszyło więc żadne „zabezpieczenie” na wypadek wyniku gorszego niż ten, który wynikał z marzeń lidera PiS. Należy przy tym dodać, że brak chętnych do tworzenia koalicji z tą partią jest wynikiem wieloletnich doświadczeń w mało partnerskim traktowaniu politycznych sojuszników, nie wspominając o przeciwnikach. Jest kwestią bardzo charakterystyczną, że programowo bliski PSL nawet nie zechciał usiąść do rozmów z PiS – z obawy przed politycznym „wrogiem przejęciem”. W latach 2005-2007, kiedy Kaczyński tworzył koalicję z LPR i Samoobroną, realizował zarazem politykę zawłaszczania elektoratów tych partii. W efekcie obie na trwałe wypadły z Sejmu i poważnej polityki. Zresztą, nie trzeba sięgać do odległej przeszłości, aby poznać polityczne *modus operandi* Kaczyńskiego. Sposób traktowania przez niego koalicjantów w obozie Zjednoczonej Prawicy od dawna zniechęcał innych do jakichkolwiek form współpracy. PiS bezceremonialnie rozmontował Porozumienie Jarosława Gowina i miał zakusy pełnego podporządkowania Suwerennej Polski. Przed losem Porozumienia uchroniła partię Zbigniewa Ziobry większa spójność, lojalność i skuteczność polityków tej formacji, którzy na listach PiS zdobyli tyle samo mandatów, co Konfederacja samodzielnie.

Dodatkowym czynnikiem utrudniającym sukces okazało się stopniowe ubożenie politycznej oferty. Kampanijny przekaz premiera Morawieckiego, który wcielał się w rolę jednego z najtwardszych pisowskich „jastrzębi”, był symboliczny i pokazywał proces postępującej koncentracji na przekazie dla „twardego” elektoratu. Jest paradoksem, iż w kwestii politycznej strategii PiS przyjął bardzo optymistyczne założenie dotyczące własnej atrakcyjności i szansy na samodzielne rządy, ale w kampanii

przekaz był bardzo defensywny – nakierowany na zmobilizowanie dotychczasowych zwolenników, a nie pozyskanie nowych.

Kluczowym wnioskiem z wyborów, który mógłby przywrócić PiS na drogę do sukcesów, powinno być uświadomienie sobie błędów wynikających z przyjęcia złej strategii. Zwłaszcza że istnieją mocne przesłanki, by postawić tezę, iż nie zadziała ona także w przyszłości. Przekonanie dużej części polityków PiS, że wystarczy jak w 2007 r. „przeczekać” i władza prędzej czy później wróci, jest bardzo ryzykowne. Kluczowym problemem PiS jest bowiem nie tylko strategia, ale i demografia. Poparcie dla tej partii jest największe w najstarszej grupie wiekowej. Z przyczyn biologicznych będzie więc w najbliższych latach topnieć; ponadto na polityczny „rynek” wchodzi pokolenie o innej charakterystyce, dla którego PiS nie jest już zupełnie przekonujący. 35 proc. poparcia wygląda dziś obiecująco, ale jest też bardzo zwodnicze, ponieważ sugeruje, że sytuacja jest co najmniej nieźła. Problem polega na tym, że długofalowe tendencje są dużo gorsze. I jeśli w partii nie dojdzie do fundamentalnych zmian, to PiS wpadnie w coś na kształt „pułapki średniego rozwoju”. Będzie silną, ale nie władzą, tylko opozycją.

Droga białej prawicy

Jakich zmian PiS wymaga, aby odzyskać formę? Kluczowe jest odbudowanie umiejętności współpracy z innymi, a także poszerzenie elektoratu. To zaś wymaga oferty dla elektoratu centrowego, który PiS pozyskał w 2015 r. (a także w 2005 r.), natomiast w ostatnich czasach zdemobilizował swą polityką lub stracił na rzecz (głównie) Trzeciej Drogi. Oba cele zresztą się wzajemnie uzupełniają. Otwarcie na centrowych wyborców, szczególnie wielkomiejskich, którzy nie odnajdują się w czasach ogromnej polaryzacji, wymaga umiarkowanego przekazu, który z kolei ułatwia współpracę z innymi partiami.

Odzyskanie wyborców będzie nie możliwe bez wzmocnienia znaczenia oraz upodmiotowienia „białej” prawicy, czyli tej części obozu, która jest bardziej umiarkowana, a przede wszystkim – nastawiona na modernizację Polski z zachowaniem konserwatywnych

→ wartości, a nie na rewolucję opartą na rewanżystowskich emocjach wobec środowisk liberalnych i elit.

Nurt umiarkowany zdaje sobie sprawę ze strategicznej rozbieżności wielu naszych interesów z Niemcami czy Brukselą, ale nie prowadzi to do konkluzji, że najlepszą odpowiedzią będzie skrajnie antyniemiecka czy też antyunijna narracja. „Biała” prawica uznaje cywilizacyjne wyzwania, jakie rodzą różne kulturowe trendy, ale zdaje sobie sprawę, że odpowiedź musi być wyrażana w języku akceptowalnym dla nieprzekonanych. Nurt ten uznaje swoich przeciwników politycznych za konkurentów, ale nie za zdrajców ojczyzny, niezasługujących na elementarny szacunek i współpracę w sprawach, w których można osiągnąć porozumienie. „Biała” prawica po republikańsku traktuje troskę o wspólnotę polityczną jako wartość najwyższą, dlatego nie podgrzewa polaryzacji. Konserwatywny sposób widzenia świata każe też z szacunkiem podchodzić do państwowych instytucji i ostrożnie projektować zmiany wedle zasady: łatwiej coś zepsuć niż naprawić. Wreszcie, „biała” prawica może wprowadzić więcej programowego fermentu i odświeżenia. PiS-owi bardzo jest to potrzebne teraz, gdy cierpi z powodu zużycia władzą. Badania opinii publicznej wyraźnie pokazują, iż poparcie dla rządu Morawieckiego znacząco spadło w kadencji 2019-23, kiedy impet reformatorski wyhamował, wzrosły za to wewnętrzne konflikty.

(Roz)budowa frakcji „białej” prawicy była od dawna hamowana przez pi-sowski „core” – jako koncepcja niebezpieczna, bo grożąca powrotem do „roz-bicia dzielnicowego” z lat 90. Ci, którzy pamiętają czas wielu kanapowych i skłóconych partyjek, mają dziś traumę, z której wyciągają wniosek: prawica powinna być maksymalnie spójna. Owszem, fakty potwierdzają, iż „twarda” baza PiS jest i będzie społecznym fundamentem prawicy w Polsce, ale nie znaczy to, że inne nurty stanowią zagrożenie albo nie mają realnego politycznego znaczenia.

Brakujące płuco partii

Warto podkreślić, że zwycięstwa, które pozwalały PiS-owi rządzić w 2015 i 2019 r., miały miejsce, kiedy w obozie Zjednoczonej Prawicy były obecne

choćby załączki „białego” nurtu. Zwycięstwo PiS w 2005 r. nie byłoby zapewne możliwe bez ludzi, którzy odeszli potem z partii z powodu jej radykalizacji (np. Joanny Kluzik-Rostkowskiej, Pawła Kowala, Pawła Poncylusza). Tak samo sukces odniesiony dziesięć lat później nie byłby możliwy, gdyby nie wcześniejsze zwycięstwo Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich. Wygrał on właśnie dlatego, że pokazywał inne, łagodniejsze i bardziej strawne oblicze. Poza tym obóz Zjednoczonej Prawicy miał na swoim pokładzie Porozumienie Gowina, które było partią co prawda dość niszową, ale dającą wzmocnienie, gdyż poszerzała ofertę polityczną. Zresztą, koncepcja uczynienia z Morawieckiego premiera także bazowała na chęci pozyskania sympatii wyborców ulepionych z nieco innej gliny niż „twardy” elektorat PiS.

Nie powinno więc dziwić, że w 2023 r. brak obecności w ofercie czegoś innego niż przekaz z „serca” przyniósł PiS-owi porażkę. Co ciekawe, to nawet nie marginalizacja Gowina, ale przyjęcie przez Morawieckiego języka „twardego” PiS było najbardziej widocznym przejawem deprecjacji „białego” nurtu na prawicy. Skoro potencjalny lider tej frakcji dezerteruje ze swojej roli, trudno się dziwić, że inni jej przedstawiciele nie widzieli potrzeby wychylania się i powtarzali oficjalną, siermiężną linię partii.

Odbudowa frakcji prawicowych modernizatorów nie może jednak polegać na działaniach pozornych. Jeśli oferta ma być poważna, nie może się sprowadzać do wysunięcia przed szereg kilku osób, które w marginalnych kwestiach będą nieco inaczej rozkładać akcenty. Musi być widocznym i pełnoprawnym „płucem” prawicy, tak jak pełnoprawnym płucem jest Suwerenna Polska, która wywalczyła prawo do własnego sztandaru oraz prawo do niezgody z PiS. Co ważne, w PiS wciąż są osoby, które do „białej” prawicy z chęcią zgłosiłyby akces, bo pod jej sztandarem czułyby się dużo lepiej. Pod warunkiem, że nie staną się grupą „outsiderów”, na którą będzie się patrzeć z nieufnością i podejrzliwością. To zaś wymaga zmiany kulturowej w PiS oraz uznania, że pluralizm jest wartością, a nie zagrożeniem.

Potencjał odegrania silnej roli wspierającej powstanie „białej” prawicy posiada prezydent Andrzej Duda. Poparcie

dlań wciąż jest bowiem większe niż wyniki sondaży PiS. Poza tym w kilku kwestiach dał się poznać jako reprezentant obozu „gołębi”, a nie „jastrzębi”. Najbliższe półtora roku będzie dla niego bardzo ważne, gdyż Pałac Prezydencki stanie się kluczowym ośrodkiem władzy na prawicy – stąd całe środowisko będzie patrzyło na niego bardziej intensywnie niż w ostatnich ośmiu latach. Duda ma narzędzia do tego, aby taką frakcję w PiS wspierać i wpływać na nią. To jednak rola potencjalna, a nie prawdopodobna; dobrze znaną słabością Dudy są nieduże kompetencje w budowaniu własnego środowiska. Przez osiem lat prezydentury nie zdołał stworzyć we własnej Kancelarii trwałego zespołu, zdolnego do realizacji ważnych politycznych projektów. Trudno więc oczekiwać, aby w najbliższym czasie zdołał w istotny sposób odcisnąć swoje piętno na obozie PiS.

■ ■ ■

Nie ma dziś żadnych sygnałów, że PiS wyciągnął wnioski z porażki. Kilka powyborczych ocen Kaczyńskiego klarownie wskazuje, że na obecnym etapie refleksji wygrała koncepcja przeczekania, aż wróci polityczna koniunktura. Być może dopiero kolejne porażki w przyszłorocznych wyborach – najpierw samorządowych, a następnie europejskich – uświadomią środowisku, że problemem PiS nie były taktyczne błędy, ale kwestie fundamentalne. Jeśli tak się nie stanie, istnieje duża szansa, że umiarkowani, centroprawicowi wyborcy na dłużej zwiążą się z PSL. Proces ten będzie tym bardziej prawdopodobny, im silniej partia ta będzie chciała odgrywać rolę konserwatywnej kotwicy w rządzie Tuska.

© PAWEŁ MUSIAŁEK



MATERIAŁ PRASOWY

Autor jest prezesem chadeckiego Klubu Jagiellońskiego, w którym wcześniej kierował Centrum Analiz KJ. Absolwent politologii i stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie

Jagiellońskim, autor wielu analiz dotyczących polityki w Polsce i za granicą oraz rynku energetycznego.



WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Orędzie telewizyjne Andrzeja Dudy. Warszawa, 6 listopada 2023 r.

Iskry się posypią

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Wręczając nominację dla rządu Donalda Tuska prezydent Andrzej Duda rozpoczyna kolejny w dziejach Polski okres kohabitacji. Może być on dużo gorszy niż wojna o krzesło piętnaście lat temu.

WHISTORII III RP JUŻ NIERAZ MIELİSMY do czynienia z okresem współistnienia rządu pochodzącego z jednego obozu politycznego – z prezydentem z innego. Zawsze był to czas konfliktów, często niepotrzebnie zużywający energię rozwijającego się dynamicznie kraju. Wielu ekspertów uważa jednak, że przyszła kohabitacja Tuska z Dudą będzie jeszcze gorsza niż jego współrządzenie z Lechem Kaczyńskim w latach 2007–2010, które już było pasmem ciągłych sporów.

Pół do konfliktów może być bardzo wiele, na czele z próbą szybkiej zmiany porządków w mediach publicznych oraz z całym planem Tuska „posprzątania” po rządach PiS, z czym zapewne nie będzie zgadzał się prezydent, skoro w swoim

przemówieniu podczas inauguracji Sejmu mówił o ostatnich 8 latach jako o jednym z najlepszych okresów w dziejach Polski.

Prezydent nie będzie akceptował zamiarów nowej większości wobec wymiaru sprawiedliwości, zwłaszcza jeśli będą zmierzać do zakwestionowania sektek jego nominacji dla sędziów, których status większościowa koalicja uważa za problematyczny, bo powołani zostali na wniosek niekonstytucyjnej neo-KRS. Podobnie może być w sytuacji, w której koalicja będzie starała się zakwestionować sędziów Trybunału Konstytucyjnego, zwanych przez nią „dublerami”, zaprzysiężonych przez Dudę w 2015 r.

Zdaniem senatora Sławomira Rybickiego, który w przeszłości był zastępcą szefa Kancelarii Prezydenta Bronisława Komorowskiego, nie będzie to łatwa współpraca. Andrzej Duda w kilku wywiadach dla prawicowych mediów zapowiedział już, że istnieje pewna granica, której w relacjach z przyszłym rządem nie przekroczy. To kwestie praworządności. – Mówił, że będzie jej strzegł i nie będzie się godził na naruszanie konstytucji. Takie zapowiedzi paradoksalnie nie świadczą o dobrych intencjach prezydenta i przyjaznych zamiarach. Andrzej Duda wyznacza dziś granicę, którą sam wielokrotnie przekraczał – mówi Rybicki.

Bitwa o stanowiska w Unii

Po powierzeniu rządowej misji Mateuszowi Morawieckiemu decyzja Dudy była komentowana jako sygnał, że prezydent chce potwierdzić swój ścisły związek z prawicą, a nawet stać się nieformalnym liderem PiS, który po zakończeniu

prezydentury wprost zawalczy o przywództwo w partii. Jeśli takie są jego rzeczywiste zamiary, kohabitacja okaże się ciężka, bo Duda będzie występował jako lider opozycji i jedyna siła mogąca skutecznie blokować plany rządu dzięki prawu weta. Nie będzie więc szans, by podpisywał jakiegokolwiek ustawy, które będą nie po myśli PiS.

Do aktywnej roli politycznej ma prezydenta namawiać nowy szef jego gabinetu Marcin Mastalerek, który w kontekście współpracy obu ośrodków władzy powiedział niedawno znamienne zdanie: „Chcesz pokoju, szykuj się do wojny”. Zadeklarował też złowroźnie w rozmowie z Wprost.pl, że jeśli premier Tusk wróci do strategii totalnej wojny z prezydentem, tak jak w latach 2007–10, Andrzej Duda stawi mu czoło.

Można się spodziewać, że główną linią frontu będzie polityka zagraniczna, zwłaszcza ta związana z kwestiami unijnymi. Krótco przed końcem Sejmu poprzedniej kadencji przyjęta została bowiem ustawa, która bardzo wzmocniła kompetencje prezydenta. Duda otrzymał m.in. prawo opiniowania (i blokowania) polskich kandydatów na stanowiska unijne, ma mieć też wpływ na ustalenie priorytetów polskiej prezydencji, przypadającej w pierwszej połowie 2025 r., i brać w tym czasie udział w posiedzeniach Rady Europejskiej.

Politycy nowej większości przekonują, że wspomniana ustawa jest niekonstytucyjna. Tak uważa np. senator KO Grzegorz Schetyna, w przeszłości marszałek Sejmu, a później minister spraw zagranicznych. – Konstytucja jest bardzo precyzyjna, to rząd jest odpowiedzialny za politykę zagraniczną. Chcemy, by prezydent w odpowiedzialny sposób to zaakceptował – mówi Schetyna.

Z zarzutem niekonstytucyjności ustawy nie zgadza się kategorycznie poseł PiS Paweł Szrot, do niedawna szef gabinetu prezydenta, a wcześniej zastępca szefa kancelarii premiera. – Jeśli politycy obecnej sejmowej większości chcą ją wzruszyć, niech zastosują konstytucyjne środki prawne, czyli nowelizację lub wniosek do Trybunału – mówi Szrot. Jego zdaniem ułożenie współpracy między Dudą a Tuskiem w sprawach zagranicznych wciąż jest możliwe, i to na podobnych zasadach, jak współpraca prezydenta z premierem Morawieckim. ➔

→ W gestii prezydenta byłyby relacje transatlantyckie i kierunek wschodni, natomiast w gestii premiera – relacje we wspólnocie europejskiej. Można jednak wątpić, czy sejmowa większość się na taki podział zgodzi.

Krzesło symbolem władzy

W przeszłości to właśnie podział kompetencji w sprawach międzynarodowych wywoływał w czasach koabitacji najostrejsze konflikty. Napięcia zdarzały się nawet wtedy, gdy głowy państw wywodziły się z tego samego obozu politycznego, co szefowie rządów. Wystarczy przypomnieć „szorstką przyjaźń” Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera, która przerodziła się w niemal otwarty konflikt przy okazji uroczystości związanych z wejściem Polski do UE w 2004 r.

Najsłynniejsza była jednak „wojna o krzesło” między premierem Donaldem Tuskiem a prezydentem Lechem Kaczyńskim podczas szczytu unijnego jesienią 2008 r. Wcześniej obóz prezydenta oskarżał Tuska, że nie udostępnił Kaczyńskiemu samolotu na przelot do Brukseli i prezydent musiał go sobie sam wyczerterować. W końcu na szczyt dotarł w ostatniej chwili, a wchodząc na salę poklepał premiera Tuska po plecach.

Przykładów na trudną koabitację w latach 2007-10 było wiele, a spory tym silniejsze, że obaj politycy stali na czele rywalizujących obozów – PO i PiS. Obaj też walczyli między sobą w wyborach prezydenckich w 2005 r. i w 2010 r. spodziewano się, iż stoczą bój w kolejnych – plany te przerwała tragiczna śmierć Lecha Kaczyńskiego pod Smoleńskiem.

Wcześniej jednak iskry sypały się non stop. Prezydent nie chciał zaakceptować kandydatury Radosława Sikorskiego na szefa MSZ (jako uciekiniera z PiS), a gdy ten mimo wszystko został ministrem, jego relacje z prezydentem były pełne napięć. Z kolei Tusk blokował powstanie w Polsce amerykańskiej tarczy antyrakietowej, co wynegocjował Lech Kaczyński z prezydentem USA George'em W. Bushem. Gabinet lidera PO zmienił

w tej sprawie zdanie dopiero po agresji Rosji na Gruzję w 2008 r.

Stosunki Donalda Tuska z Lechem Kaczyńskim to jednak nie tylko trudne karty. Pozytywnym aspektem ich koabitacji było przezwyciężenie impasu wokół ratyfikacji przez Polskę Traktatu Lizbońskiego. Choć na dokument zgodzili się na forum unijnym w 2007 r. prezydent Lech Kaczyński i jego brat Jarosław jako premier – rok później ten drugi jako lider PiS nie chciał jednoznacznie poprzeć ratyfikacji, obawiając się rozłamu w partii. Jego brat zadeklarował wówczas z trybuny sejmowej, że on dokument podpisze, jeśli parlament go do tego upoważni. Deklaracja ta padła po wielogodzinnej, prywatnej rozmowie Lecha Kaczyńskiego z premierem Tuskiem w ośrodku prezydenckim w Juracie.

Afera szpiegowska

Sam Andrzej Duda ma już w swoim dorobku krótki okres koabitacji. Między zaprzysiężeniem na prezydenta w sierpniu 2015 r. a listopadem tego samego roku koegzystował politycznie z rządem PO-PSL, kierowanym przez Ewę Kopacz. W tym okresie nie spotkał się ani razu z panią premier, poza wspólnym udziałem w oficjalnych uroczystościach, choć szefowa rządu głośno domagała się takich rozmów.

Sławomir Rybicki zwraca uwagę, że dziś poziom konfliktu jest wyższy niż w czasach koabitacji Tuska i Kaczyńskiego, a poza tym obaj znali się dobrze z Trójmiasta i być może właśnie ten fakt miał znaczenie dla przebrnięcia przez niektóre polityczne rafy.

– Relacje osobiste, jakie miał Donald Tusk z Lechem Kaczyńskim, mają w polityce znaczenie, bo łatwiej komunikować trudne kwestie. W przypadku prezydenta Dudy takich możliwości nie ma, jest politykiem młodszego pokolenia, nie miał takich relacji z Tuskiem jak Lech. Będzie to chyba trudniejsza koabitacja niż tamta – przewiduje.

Relacja Tuska z Kaczyńskim czy Dudy z Kopacz to niejedyny okresy koabitacji w III RP. Pierwszy taki czas to lata

1993-1995, gdy prezydent Lech Wałęsa współrządził z „postkomunistycznym” rządem SLD-PSL. Tamta koabitacja obfitowała w wiele trudnych momentów, a pod naciskiem Wałęsy koalicja dokonała na początku 1995 r. zmiany premiera. Lidera PSL Waldemara Pawlaka zastąpił Józef Oleksy z SLD. To wtedy jedynie raz w III RP powstał rząd wskazany w drugim kroku konstytucyjnym przez Sejm, który prezydent potem zaprzysiął, a więc sytuacja analogiczna do obecnej.

Współpraca Wałęsy z Oleksym była jeszcze trudniejsza. Prezydent zarzucał premierowi, iż wbrew jego woli pojechał na obchody 50-lecia zakończenia II wojny światowej do Moskwy. A już po przegranych przez Wałęsę wyborach, tuż przed zaprzysiężeniem jego następcy Aleksandra Kwaśniewskiego, doszło do najostrzejszego kryzysu, gdy związany z Wałęsą szef MSW Andrzej Milczanowski oskarżył urzędującego premiera Oleksa o szpiegostwo na rzecz Rosji.

Kolejna koabitacja to lata 1997-2001, gdy kierowany przez Jerzego Buzka rząd AWS-UW współistniał z wywodzącym się z SLD prezydentem Kwaśniewskim. Tu relacje były lepsze niż w czasach Wałęsy; czuło się wyraźnie wyższą kulturę polityczną. Ale i wtedy nie obyło się bez poważnych napięć – Kwaśniewski zarzucił UOP manipulowanie dotyczącymi go dokumentami dawnej SB, gdy poddawał się procedurze lustracyjnej przed kolejnymi wygranymi wyborami prezydenckimi w 2000 r.

Były marszałek Senatu Tomasz Grodzki mimo wszystko wierzy, że relacje obecnego prezydenta z premierem Tuskiem uda się jakoś ułożyć. – Ostatnio Sejm był w rękach PiS, Senat w rękach demokratycznej większości, ale na roboczo nasze relacje z panią marszałek Elżbietą Witek, w sprawie ustalania terminów czy też przyjmowania delegacji zagranicznych, były dobre – przyznaje Grodzki. – Ciągłe wierzę, że ludzie, którzy zajmują najważniejsze stanowiska w państwie, mają przed oczami jego dobro. Jeśli to nimi kieruje, a mam nadzieję, że tak jest, to jestem przekonany, że koabitacja nie będzie łatwa, ale będzie możliwa. Ufam, że pan prezydent wzniesie się ponad podziały, czego dał w przeszłości parę przykładów, choćby w sprawie zawetowania ustawy o TVN.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia TOK FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

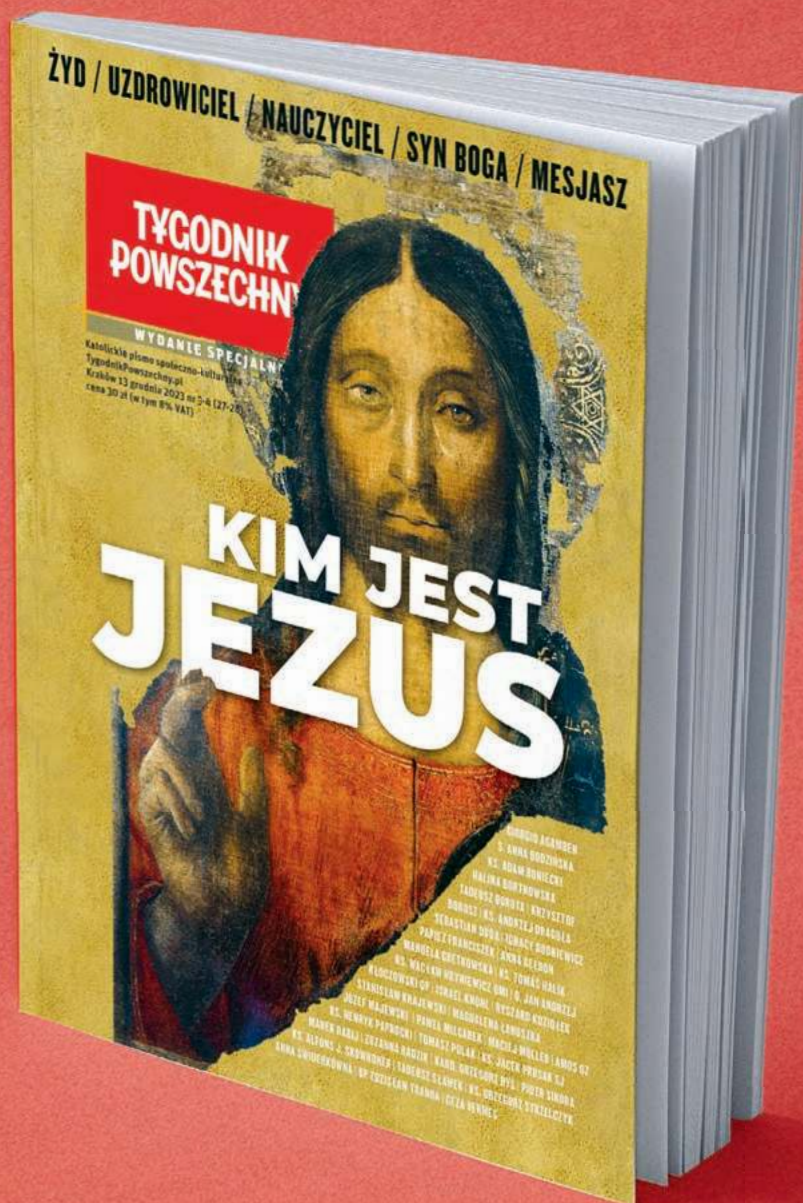
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

NIE DO WIARY

Nowe, podwójne wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”
już w sprzedaży.

Więcej informacji: tygodnikpowszechny.pl/kimjestjesus



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WSPÓŁWYDAWCA:



PARTNERZY WYDANIA:



TOMASZ

Stawiszyński:

Dzieci w pułapce



KIEDY NA PRZEŁOMIE LAT 80. I 90. UBIEGŁEGO stulecia chodziłem do podstawówki, trzeba było – jak to w podstawówce – uważnie podążać za duchem czasu, żeby się przypadkiem nie znaleźć na towarzyskim marginesie. Oprócz spełniania obowiązków oczywistych i organicznie szkolnych – czyli odrabiania lekcji i elementarnej samokontroli w klasie oraz podczas przerwy – należało więc systematycznie ulegać liczny presjom, oczekiwaniom i mniej lub bardziej subtelnym sugestiom. Jeśli mnie pamięć nie myli, w okolicach III-IV klasy wszyscy zaczęliśmy np. nosić niebywale wówczas popularne spodnie marki „Pyramid”. Były to, powiedzmy sobie wprost, dzinsy drastycznej jakości, importowane z Turcji, bufiaste na górze, zwężane na dole, z metką ozdobioną wizerunkiem apatycznego wielbłąda. Dostępne na różnych bazarach i w Pewexach „piramidy” (jak je familiarnie określaliśmy) wydawały się w schyłkowym PRL-u szczytem modowego smaku, a może nawet ekstrawagancji. Każde dziecko było jednak zobligowane, żeby się w nich pokazywać, a zatem się pokazywaliśmy, z wielkim zresztą zadowoleniem, bo – choć dzisiaj trudno w to uwierzyć – „piramidy” naprawdę nam się podobały.

Przy okazji warto nadmienić, że modę na nie poprzedzała moda na jeszcze bardziej, nazwijmy to, kontrowersyjne dzinsy, pobielane w charakterystyczny wzór zwany „marmurkiem”. Po niej zaś nastąpiły inne mody – a to na dywan w mieszkaniu (tak, tak, kto nie miał dywanu, nie mógł się czuć pełnoprawnym małym obywatelem), a to na magnetowid czy też, *last but not least*, walkman Sony. Tak się składa, że w ramach zagadkowego zjawiska powrotu estetyki z lat 80., wszystkie te osobliwości uchodzą znowu za wyraz wysublimowanego gustu, której to opinii – przynajmniej nie podzielam (z wyjątkiem, ma się rozumieć, walkmana i magnetowidu).

Ale o tych gadżetach i emblematkach myślę z nostalgią. Nie tylko dlatego, że w porównaniu z dzisiejszymi prezentują się skromnie, by nie powiedzieć: pocziwie. Nie mają wiele wspólnego z epatowaniem bogactwem, obnoszeniem się z drogimi telefonami albo jeszcze droższymi ubraniami – co jest teraz popularnym sposobem ustawiania szkolnych hierarchii. Owszem, magnetowid albo walkman to nie były, jak na tamte czasy, rzeczy tanie, ale nie były to również jakieś ekstremalne luksusy. Nie wspominając o „piramidach” – po-

siadanie tych spodni świadczyło co najwyżej o tym, że rodzicom udało się je sprytnie zdobyć na bazarze, nie zaś o statusie materialnym. Ale jest w konstatacji o pewnej – zostanmy przy tym określeniu – pocziwości owych niebyłych już kodów coś jeszcze innego.

Co takiego – na to wskazują badania przeprowadzone i opublikowane niedawno przez grupę amerykańskich naukowców pod wodzą prof. Leonardo Bursztyna z Uniwersytetu Chicago. Wynika z nich, że jedną z najważniejszych dziś praktyk grupowej przynależności stało się... posiadanie konta na TikToku i Instagramie. Przy czym – co najciekawsze – wiąże się to z niespotykaniem silną presją, wręcz przymusem. Młodzi ludzie zakładają sobie profile społecznościowe nie dlatego, że mają taką potrzebę, ale dlatego, że robią tak wszyscy dookoła. Po prostu – kogo tam nie ma, ten się w rówieśniczej społeczności zupełnie nie liczy. Zarazem idzie to w parze z silnym dyskomfortem i frustracją wynikającą z używania tych aplikacji. Być może właśnie dlatego znaczna część badanych godziła się na poniesienie finansowych kosztów (na tym z grubsza badanie polegało), jeśli tylko mogło to spowodować zbiorowe porzucenie mediów społecznościowych przez ich rówieśników. Dotyczyło to – dodajmy – także tych osób, które się cieszyły w sieci wielką popularnością.

Mamy tu więc do czynienia z sytuacją paradoksalną – użytkownicy i użytkowniczki niektórych mediów społecznościowych wcale nie chcą ich używać, czują się jednak do tego zmuszeni i wyłącznie z tego powodu nadal w tym trwają. Jak pokazują autorzy badań, podobnie rzecz wygląda w odniesieniu do rozmaitych luksusowych marek i smartfonów.

Trzeba przyznać – marketingowo jest to pomyślane rewelacyjnie. Oparte na najprostszym możliwym, a doskonale w psychologii znanym mechanizmie. Przymus, który jest silniejszy niż wszystkie negatywne konsekwencje używania X – czy to się wam przypadkiem z czymś nie kojarzy? Ale poza wielopoziomowym stymulowaniem klasycznego mechanizmu uzależnienia dochodzi tu do jeszcze innego, wtórnego (a może właśnie pierwotnego?) zniewolenia – dla samych uzależnień zresztą częściowo również charakterystycznego. Mianowicie, tej intensywnej społecznej presji, przymusu, tego poczucia, że wszyscy tak robią, więc i ja muszę, bo nie mam innego wyjścia.

Bez wątpienia, jest to pułapka, do której wirtualny przymysł świadomie nas prowadzi. I dlatego zamiast tracić czas na różne wojny tożsamościowe (toczone, a jakże, na smartfonach i w mediach społecznościowych), warto by było pomyśleć o sensownych regulacjach, chroniących w pierwszej kolejności dzieci i młodzież. No ale to już jest temat na osobne rozważania. W każdym razie te nieszczęsne „piramidy” naprawdę były na tym tle uosobieniem pocziwości, zgodzić się ze mną? No i – jak już wcześniej wspominałem – autentycznie chcieliśmy je nosić, dając słowo. ©

TYGODNIK POWSZECHNY



„Tygodnik” pod choinkę

Cenisz sobie Tygodnik i chcesz podzielić się nim z najbliższymi?
Szukasz najlepszego prezentu pod choinkę?
Podaruj „Tygodnik Powszechny” w prezencie swoim bliskim.

Dla Twoich bliskich:

voucher na cyfrowy dostęp do Tygodnika na cały rok

Dla Ciebie:

62 dni cyfrowego dostępu w prezencie od Tygodnika

W tej ofercie dostaniesz voucher z kodem rabatowym na roczny dostęp do serwisu TygodnikPowszechny.pl, warty 250 zł. W podziękowaniu za to, że dzielisz się Tygodnikiem z innymi, dostaniesz w prezencie 62 dni nieograniczonego dostępu do wszystkich treści. Miło, prawda?

Jak to działa?

1. Kup voucher na tygodnikpowszechny.pl/pod-choinke (zobacz kod QR)
2. Do Twojego konta dodamy 62 dni cyfrowego dostępu (jeśli masz dostęp, zostanie przedłużony o 62 dni)
3. Na swój adres e-mail dostaniesz voucher z unikatowym kodem rabatowym
4. Voucher wyślij (lub wydrukuj i przekaż) osobie, którą chcesz obdarować

Wybierając tę ofertę, nie tylko kupujesz prezent bliskim, ale dzięki temu, że dzielisz się Tygodnikiem, wspierasz także naszą misję: wierzymy, że świat da się naprawić.

Potrzebujesz wsparcia?

Pomocy technicznej udziela Mateusz Chmielowski od pn. do pt. w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Weź, czytaj i rośnij z nami!

P.S. Nic nie stoi na przeszkodzie, by taki prezent zrobić również samemu lub samej sobie...



WIARA



Spowiedź w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach, Kraków, kwiecień 2023 r.

GRZESZNIK NA MANOWCACH

Z jednej strony zanika poczucie grzechu,
z drugiej wielu katolików dotykają uciążliwe skrupuły.
Jak mierzyć życie sztywnym podziałem na grzech ciężki i lekki?

JAREMA PIEKUTOWSKI

WIERNI ZOBOWIĄZANI SĄ DO UCZESTNICZENIA w Eucharystii w dni nakazane, chyba że są usprawiedliwieni dla ważnego powodu (np. choroba, pielęgnacja niemowląt) lub też otrzymali dispensę od ich własnego pasterza.

Ci, którzy dobrowolnie zaniedbują ten obowiązek, popełniają grzech ciężki” – głosi Katechizm Kościoła Katolickiego. „W praktyce nauczania – pisał w 2005 r. o. Dariusz Kowalczyk, jezuita, w miesięczniku „W drodze” – utożsamiono

grzech ciężki z grzechem śmiertelnym”. Grzechem śmiertelnym jest ten, który „dotyczy materii poważnej i który nadto został popełniony z pełną świadomością i całkowitą zgodą” – pisze Jan Paweł II w adhortacji „Reconciliatio et paeni-



tentia”. Materia poważna, inaczej ciężka, jest, według Katechizmu, uściślona przez dziesięć przykazań. Grzech śmiertelny, „jeśli nie zostanie wynagrodzony przez żal i Boże przebaczenie, powoduje wykluczenie z Królestwa Chrystusa i wieczną śmierć w piekle” (KKK).

Skrupuły

Ktoś z zewnątrz, opierając się jedynie na danych statystycznych, mógłby więc zadać pytanie: skoro od 2013 r. odsetek uczestniczących w niedzielnej mszy wynosi poniżej 40 proc. zobowiązanych do tego katolików i sukcesywnie spada (poza niewielkim wzrostem w latach 2017-2018, w 2021 r., czyli w okresie pandemii, było to jedynie 28,3 proc.) – to jaki jest los i sytuacja pozostałych 60 proc.? W diecezji szczecińsko-kamieńskiej w 2019 r. podczas dorocznego liczenia w niedzielnej mszy uczestni-

czyło 23,3 proc. zobowiązanych wierznych. Zatem, hipotetycznie: gdyby na jutro wszyscy mieszkańcy diecezji zginęli w wyniku naturalnej katastrofy lub ataku jądrowego, czy to oznacza, że ponad 76 proc. katolików w tej diecezji czekałoby potępienie wieczne?

Takie pytanie mogłoby wydawać się naiwne lub nieżyczliwe, gdyby nie fakt, że podobne wątpliwości i niejasności dręczą wielu katolików. W 2008 r. polscy jezuici uruchomili serwis pod nazwą „Rozmawiamy o wierze” (dziś już nieaktywny). Wierni mogli tam zadać zakonnikom z Towarzystwa Jezusowego każde pytanie, które ich nurtowało. Spora część zadawanych pytań odnosiła się do tego, czy ktoś już popełnił grzech, czy jeszcze nie, i czy popełniony grzech jest śmiertelny, czy nie. – Bardzo często dzieje się tak, że ludzie przychodzą do konfesjonału z przeświadczeniem, że popełnili grzech ciężki, czyli śmiertelny, a w istocie tego grzechu w ogóle nie było, lub jest to grzech lekki. Wtedy moim obowiązkiem jest zdjęcie tego ciężaru z ludzkiego sumienia. Częściej widzę skłonność do dodawania sobie obciążenia niż do zrzucania z siebie winy – mówi mi ks. Damian Wyżkiewicz CM, filozof i teolog, duszpasterz młodzieży i katecheta.

Zanik poczucia grzechu

Z drugiej strony dużo mówi się w Kościele o zaniku poczucia grzechu – to zjawisko podkreślał także papież Franciszek, przypominając kilkakrotnie (np. w styczniu 2020 r. podczas mszy w Domu Św. Marty) o grzechu króla Dawida. Nawiązał on romans z Batszebą, żoną Uriasza, jednego z najdzielniejszych żołnierzy. Król, dowiedziawszy się, że Batszeba po nocy spędzonej z nim zaszła w ciążę, wysłał Uriasza na pewną śmierć. „Są grzechy – mówił Franciszek – w które człowiek wpada powoli, w duchu światowości. To duch świata prowadzi cię do zrobienia tych rzeczy, jakby były normalne”. Wielkim niebezpieczeństwem jest według Franciszka „normalizacja” grzechu i znieczulenie sumień. Króla Dawida z błędu wyprowadził prorok Natan. „Niech Pan obdarzy nas łaską, posyłając do nas zawsze jakiegoś proroka – może to być sąsiad, syn, matka, ojciec – który wymierzy nam policzek, gdy wpadniemy w poczucie, że wszystko jest dozwolone” – spuentował papież. W 2014 r. przypo-

mniał wygłoszone 68 lat wcześniej słowa Piusa XII: „[Być może] dzisiaj największym grzechem jest to, że ludzie utracili poczucie grzechu”.

Między obciążaniem siebie nadmierną winą a całkowitą utratą poczucia grzechu jest duży obszar niewiedzy. Ks. Damian Wyżkiewicz: – Główną przyczyną jest mała wiedza katechetyczna – mówi. – Ludzie bardzo często sugerują się rachunkami sumienia dostępnymi w modlitewnikach czy w internecie. Nie mają kontaktu z kierownikiem duchowym, który mógłby im wyjaśnić te kwestie. Bywa, że czują się winni czegoś, co nie ma nic wspólnego z ich czynami, na przykład rozvodu rodziców.

Początki rozróżnień

Przekonanie o gradacji grzechów obecne było już wśród pierwszych chrześcijan. W 16 i 17 wersecie 1 Listu św. Jana czytamy: „Jeśli ktoś spostrzeże, że brat popełnia grzech, który nie sprowadza śmierci, niech się modli, a przywróci mu życie; mam na myśli tych, których grzech nie sprowadza śmierci. Istnieje taki grzech, który sprowadza śmierć. W takim wypadku nie polecam, aby się modlono. Każde bezprawie jest grzechem, są jednak grzechy, które nie sprowadzają śmierci”. Grecki oryginał mówi dosłownie o tym, że istnieje „grzech ku śmierci”. Podział na grzech, który sprowadza śmierć, i ten, który jej nie sprowadza, nie został przez autora listu jednoznacznie wyjaśniony i powoduje trudności interpretacyjne do dziś. W 1997 r. ks. prof. Jan Załęski w „Studia Theologica Varsoviensia” pisał: „Nie bardzo wiadomo, co autor natchniony chciał przez to powiedzieć. Dlatego pewnie niektórzy uczeni szukali rozwiązania na drodze najłatwiejszej, tzn. uznając ten tekst za nieautentyczny”. Według ks. Załęskiego rozróżnienie u św. Jana nie jest równoznaczne ze współczesnym podziałem na grzechy powszednie i śmiertelne.

Wielu interpretatorów wskazywało raczej, że Janowi chodzi nie tyle o materię grzechu, co o stosunek doń samego grzesznika. W takiej sytuacji „grzech ku śmierci” byłby takim, który jest popełniany ze świadomością, zatwardziałością i pragnieniem trwania w nim, lub też grzechem polegającym na odrzuceniu wiary w Chrystusa w ogóle. Podobne myślenie o grzechu pojawia się w „Pasterzu” Hermasa, jednym z najstarszych

→ dzieł chrześcijańskich (ok. 140-150 r.): „Ci, którzy wpadli w ogień i się palą, tymi są ci, którzy ostatecznie zbuntowali się przeciw Bogu i już nie wstąpiła myśl do ich serca, aby się nawrócić z powodu ich pożądliwości, chciwości i niegodziwości, według której postępowali”. A zatem grzech sprowadzający śmierć w myśleniu wczesnych chrześcijan jest przede wszystkim grzechem grzesznika zatwardiałego, niedopuszczającego myśli o zmianie swojego postępowania.

Szczególnie poruszającą dla zaangażowanych katolików cechą grzechu śmiertelnego jest stwierdzenie, że wyłącza on grzesznika ze wspólnoty z Chrystusem i prowadzi do potępienia. Rozważając tę kwestię, warto jednak zauważyć, że wśród pierwszych chrześcijan dominoowało przekonanie, że po chrzcie gładzącym grzechy pokuta możliwa jest tak naprawdę jedynie raz w życiu. Jak podkreśla ks. Jan Dohnalik w rozmowie z Sebastianem Dudą i Zbigniewem Nosowskim w „Więzi” (nr 4/2017), mniej więcej do VI wieku „po najcięższych grzechach chrześcijanin wchodził na drogę publicznej jednorazowej pokuty, która miała bardzo poważny charakter, trwała długo i dopiero na jej końcu było możliwe pełne pojednanie ze wspólnotą”.

O początkach rozróżnienia na grzech powszedni i śmiertelny rozmawiam z teologiem Sebastianem Dudą. – W II-III wieku, w dobie prześladowań chrześcijan, pojawiały się bardzo duże praktyczne problemy z tzw. *lapsi*, błędzącymi, czyli chrześcijanami, którzy po chrzcie odwrócili się od chrześcijaństwa, na przykład składając ofiarę pogańskim bogom, czyli *de facto* dokonali apostazji – mówi Duda.

Hermas, autor cytowanego „Pasterza”, głosił przekonanie, że apostata może zostać rozgrzeszony, ale tylko raz, zaś synod w Elwirze (ok. 306 r.) ustalił, że osobie, która ponownie odeszła od chrześcijaństwa, nie można udzielić komunii nawet na łożu śmierci (podobne obostrzenie zostało zastosowane wobec gwałcicieli dzieci). Nauka na temat grzechu kształtowała się jednak i zmieniała w następnych stuleciach. W systematyczny sposób opisał ją św. Augustyn w „Państwie Bożym” i w innych pismach. W „Wierze i uczynkach” wymienia wprost trzy grzechy śmiertelne – należą do nich rozpusta, bałwochwalstwo i morderstwo (*De fide*

Rzadko jako grzech ciężki
jesteśmy skłonni traktować

np. zatrudnianie pracownika na czarno,

a zgodnie z tradycją Kościoła
jest to poważne uchybienie.

et operibus, 19, 34), jednak i one mogły zostać „wyleczone przez pokorną pokutę”.

Narodziny spowiedzi

Powtarzalna, wielokrotna spowiedź weszła w praktykę życia Kościoła około VI wieku. Nadal jednak pokuta za cięższe grzechy trwała niejednokrotnie latami. Przez wiele wieków funkcjonowały w Kościele taryfikatory wskazujące precyzyjnie wymiar pokuty za dany grzech. – W Polsce chyba najbardziej spektakularnym przykładem była pokuta dla Bolesława Krzywoustego za przyczynienie się do śmierci swojego brata Zbigniewa – mówi Duda. – Odbывał przez kilka lat pielgrzymki, udzielał jałmużny i nie był dopuszczany do sakramentów.

Praktyka spowiedzi usznej kształtowała się po XII wieku. Ks. Stanisław Adamiak we wspomnianej „więziowej” rozmowie mówi jednoznacznie: „Linia zmian w formach pokuty jest przez całą historię wyrażona: Kościół właściwie cały czas stara się być coraz łagodniejszy. (...) Kolejne pojawiające się spory prawie zawsze kończyły się jeszcze większym rozszerzeniem granic miłosierdzia”. – Dziś sytuacja wygląda zupełnie inaczej – mówi Duda. – Niemal każdy grzech może zostać odpuszczony w konfesjonale.

Do 2015 r. prawo zdjęcia ekskomuniki z osoby, która popełniła aborcję, mieli jedynie biskupi, spowiednicy przez nich wyznaczeni oraz diecezjalni penitencjarze. W 2016 r. papież Franciszek udzielił władzy rozgrzeszania z aborcji bezterminowo wszystkim kapłanom.

Niestety, błędy w potocznym myśleniu rozpowszechniane są przez media. Klaudia Majewska z „Dziennika Bałtyckiego” grzmi w tytule: „Za takie grzechy nie dostaniesz rozgrzeszenia w kościele. Popełniłeś grzech śmiertelny lub ciężki? Sprawdź kościelną LISTĘ” (z 19 listopada

2023 r.). Artykuł jest pełen kardynalnych błędów teologicznych. „Grzechy – nie tylko dla wierzących – to występki przeciwko obowiązującym normom. Część z nich jest lekka, inne kwalifikują się do kategorii ciężkich, czy wręcz śmiertelnych” – pisze autorka. „Te lżejsze odpuścić nam może kapłan podczas spowiedzi świętej. Są jednak grzechy, za które nie dostaniemy rozgrzeszenia!”. Stwierdzenie to sugeruje, jakoby penitent nie mógł otrzymać rozgrzeszenia za grzech śmiertelny, a jedynie za lekki, co jest sprzeczne z nauczaniem Kościoła. A to tylko jedna z wielu mylących lub wprost fałszywych informacji z artykułu. – W encyklice „Veritatis splendor” (z 1993 r.) Jan Paweł II rozprawia się z popularnymi wówczas błędami teologicznymi, każącymi dzielić grzechy na powszednie, śmiertelne i do tego jeszcze dodawać trzecią warstwę – grzechy ciężkie. To wadliwy podział – mówi mi Agata Rujner, doktor teologii moralnej z Akademii Katolickiej w Warszawie. – Grzechy dzielą się na powszednie i śmiertelne. Można mówić o materii ciężkiej.

Skoro materia ciężka jest, jak głosi Katechizm, określona przez dziesięć przykazań, to czy jest możliwy jakiś grzech nie dotyczący przykazań w ogóle? Augustynianin o. Wiesław Dawidowski: – Grzechy powszednie to na przykład te, które dotyczą postanowień, które mają nas duchowo zintegrować i przyczyniać się do tego, co nazywamy wzrostem świętości. Będzie nim na przykład zaniedbanie w modlitwie. W konfesjonale najczęściej mam do czynienia z tą kategorią.

Z jednej strony mamy do czynienia z podziałem grzechów na dwie kategorie, z drugiej – Katechizm wskazuje także, iż „ciężar grzechów może być większy lub mniejszy: Zabójstwo jest czymś poważniejszym niż kradzież”, a np. przemoc wobec rodziców jest poważniejsza niż przemoc wobec obcej osoby. Z drugiej strony, zwłaszcza w codziennym nauczaniu Kościoła, można odnieść wrażenie „zero-jedynkowości” mówienia o grzechu – albo prowadzi on do potępienia i zabiera człowiekowi łaskę Bożą (grzech śmiertelny), albo nie (grzech powszedni). Grzechy seksualne wg św. Tomasza są zaś *ex genere suo grave*, czyli poważne (śmiertelne) z samej swojej natury. Z drugiej strony Akwinata dodawał, że nie są one najgroźniejsze dla człowieka, gdyż u ich podłoża

stoją silne naturalne popędy osłabiające wolę. O wiele groźniejsze są grzechy duchowe, jak np. pycha.

Jak pogodzić te dwie perspektywy ze sobą – perspektywę długotrwałej drogi do świętości poprzez upadki i wzloty z perspektywą „zero-jedynkowości” grzechu? – Kiedyś w przypadku samobójców mówiono, że ten grzech jest na pewno dobrowolny, i samobójców nie chowano w poświęconej ziemi. Jednak wzrasta nasza wiedza, także dotycząca zachowań nawykowych, trudności psychicznych, które ograniczają świadomość i dobrowolność grzechu – wyjaśnia Agata Rujner. – Sam Katechizm mówi wyraźnie, że np. w przypadku masturbacji wina moralna może być z różnych powodów, np. niedojrzałości, znacząco zredukowana.

O. Dawidowski dodaje: – Bywa taka skłonność, by jako grzech śmiertelny traktować każdy akt nieuporządkowania seksualnego, z masturbacją włącznie. Miałbym co do tego bardzo mocne opory. W jednym przypadku masturbacja jest

doświadczeniem dojrzewania seksualnego młodego człowieka, w innym – jest to rzeczywiście jakieś chorobliwe nieuporządkowanie seksualne. W każdym z tych przypadków będziemy stosowali nieco inną miarę.

Niezastąpiona rola sumienia

Aby ustrzec się zarówno od nadmiernego obciążania siebie winą, jak i całkowitego zaniku poczucia grzechu, konieczne jest więc odwołanie się do własnego rozumu i sumienia. – Papież Franciszek w niejednym dokumencie mówi, zwłaszcza do biskupów, że przez wiele lat próbowaliśmy zastępować ludziom sumienie – tłumaczy Agata Rujner.

W praktyce ów rys jurydyczny i myślenie zero-jedynkowe często skupia się na grzechach, które w potocznym rozumieniu są najczęściej rozpoznawane jako ciężkie (np. grzechy seksualne czy nieobecność na mszy). Rzadziej jako grzech śmiertelny jesteśmy skłonni traktować np. zatrudnianie pracownika na czarno

lub wstrzymywanie wypłaty jego wynagrodzenia – a zgodnie z tradycją Kościoła jest to poważne uchybienie.

Istotą rzeczy w myśleniu o grzechu powinno być więc skupienie na dobru, które niszczy lub które zaniedbujemy. – Dziś, po II Soborze Watykańskim, jesteśmy w miejscu, w którym przypominamy potrzebę odkrywania chrztu i skupiania się na dobru, a niekoniecznie na poszczególnych kazusach. Rozważania z cyklu „Czy już popełniłam grzech?”, „Ile mi wolno, a ile nie wolno?” pokutują do dziś. Świadomość grzechu w chrześcijaństwie była od początku. Jednak w centrum nie był grzech, a Chrystus, który z grzechu wyzwala – mówi Agata Rujner. – Greckie słowo *hamartia*, tłumaczone jako „grzech”, w ścisłym sensie etymologicznym oznacza chybiecie celu. Chcę trafić w środek tarczy, ale nie zawsze tam trafia. Istotą rzeczy jest to, byśmy tę tarczę, ten cel – czyli dobro, świętość – mieli cały czas przed oczami.

© JAREMA PIEKUTOWSKI

REKLAMA

Upodobanie do gestów i do savoir-faire, chęć obrony oryginalnej wizji, sztuka robienia wszystkiego po swojemu – to właśnie znaczą słowa: **Make It Iconic. Choose France.** Pod tym względem francuski sposób myślenia zadziwia, fascynuje, ciągle zmienia świat. Kultuwujemy go skrupulatnie, z ambicją, z pragnieniem połączenia doskonałości z wolnością. **Tak! Make It Iconic.**

Emmanuel Macron

Prezydent Republiki Francuskiej


**AMBASSADE
DE FRANCE
EN POLOGNE**
*Liberté
Égalité
Fraternité*



Nie klęknął przed Führerem

BARTEK DOBROCH

Nie było w tym roku szczególnych obchodów 80. rocznicy jego męczeńskiej śmierci za sprzeciw wobec nazizmu. Austriacki chłop – błogosławiony Franz Jägerstätter – wciąż jest wyrzutem sumienia dla rodaków i dla austriackiego Kościoła.

MÓGLBY BYĆ BOHATEREM, PRZYKŁADEM, drogowskazem na czasy, w których nieodległym nam światem targają brutalne wojny. Gdy religia nadal wciągana jest na wojenne sztandary, a widma nazizmu powracają w służących za uzasadnienie agresji resentymentach, aktach terroru wymierzonych w bezbronnych i najsłabszych, czy głosach wzywających do oczyszczenia świata z przedstawicieli jakiejś nacji czy religii.

Błogosławiony Franz Jägerstätter, męczennik za wiarę, obdżektor stracony 80 lat temu za odmowę służby w Wehrmachcie – mógłby być świętym na te czasy. Uniwersalnym bohaterem oporu przeciw nazizmowi i wojnie napastniczej.

Kim był człowiek, którego samotny, radykalny sprzeciw budzi do dziś wiele sprzecznych emocji? Od hagiograficznego podziwu po głośne milczenie.

Nieślubny syn i ojciec

Gdyby nie silna wola i decyzje, do których go pokierowała, Franz Jägerstätter pewnie nigdy nie zbliżyłby się nawet do świętości. W młodości przystojny, krzepki wiejski chłopak, uchodził raczej za żądnego przygód lekkoducha, który wdawał się w bójki, zarzucał praktyki religijne, a w 1933 r. został ojcem nieślubnego



ERNA PUTZ / DIOEZE LINZ / FORUM

Franz Jägerstätter (na motocyklu) przed gospodarstwem w St. Radegund koło Linzu, (od lewej) z przybraną siostrą Aloizą, matką Rosalią i przybranym ojcem Heinrichem

dziecka. Sam zresztą był nieślubnym synem Rosalii Huber i Franza Bachmeiera, ludzi zbyt biednych, aby mogli zawrzeć ślub, stworzyć dom i utrzymać rodzinę.

Urodzony 20 maja 1907 r. i dzień później ochrzczony chłopiec pozostał więc pod opieką samotnej matki, która w wyniku ciężkiego porodu nie mogła w przyszłości ponownie zająć w ciąży, a wkrótce po nim musiała wrócić na służbę jako pokojówka. Wychowaniem syna zajęła się babka. Biologiczny ojciec zginął podczas I wojny światowej, a matka poślubiła w 1917 r. Heinricha Jägerstättera, właściciela gospodarstwa we wsi Sankt Radegund, które odziedziczył później adoptowany w dniu ślubu syn. Mimo tej nobilitacji matki na gospodynię, Franzl – jak zdrobniale woła się Austrii na młodych Franciszków – w dzieciństwie doświadczał powszechnego wówczas w Austrii głodu oraz dyskryminacji w szkole ze względu na ubóstwo. Pokonał je dopiero, gdy już jako dorosły wyjechał za pracę do Bawarii, a następnie do kopalni rudy w Styrii. Owocem zarobionych za górami, za lasami pieniędzy był pierwszy w St. Radegund motocykl. Owocem powrotu na wieś zaś powtórzenie schematu z życia biologicznych rodziców: nieślubna córka Hildegard spłodzona ze służącą z St. Ra-

degund, która także musiała pozostawić ją pod babcią opieką i wrócić do pracy.

Związek nie przetrwał rozłąki, a Franz wkrótce podczas potańcówki w gospodzie poznał pracującą tam Franziskę Schwaninger, z którą w 1936 r. wziął ślub. O bardzo nietypowej porze, bo o 6.30 rano w Wielki Czwartek, byle tylko zdążyć na pociąg. Przełamując standardowe wiejskie zwyczaje, para w podróż poślubną za ostatni grosz pojechała pociągiem do Rzymu.

Pobożna Franziska wywarła wpływ na życie religijne męża. Można przypuszczać, że to z miłości do Fani, jak ją nazywał, zaczął coraz częściej uczestniczyć w praktykach religijnych, codziennie czytać Biblię, opierać na jej domowym studiowaniu refleksję nad swoim życiem w zmieniającym się gwałtownie świecie.

Niedziela Palmowa nazizmu

Narodowy socjalizm zaczynał już się rozpychać, a St. Radegund leżało przy samej granicy z III Rzeszą, którą wyznaczał Salzach, płynący głęboko wciętą doliną i wpadający kawałek dalej do Innu. Pomiędzy Salzburgiem, który wydał na świat powszechnie uważanego za Austriaka Mozarta, a Braunau Am Inn, miejscem narodzin powszechnie uważanego

za Niemca Hitlera. Na krętej linii między największą austriacką dumą i hańbą. Trwał już czas tej drugiej. Narodowy socjalizm zaczął infekować Austrię, nie omijając tamtejszego Kościoła.

Twarda postawa biskupa diecezji Linz wobec nazizmu nie znajdowała wsparcia ze strony innych hierarchów. Bp Johannes Maria Gföllner w 1933 r. w liście pasterskim potępiał możliwość godzenia celów narodowego socjalizmu z etyką chrześcijańską: „Gardzić narodem żydowskim tylko ze względu na jego pochodzenie, nienawidzić go i prześladować jest rzeczą nieludzką i antychrześcijańską”. Chociaż nawet on wyrażał ambiwalencję austriackiego Kościoła wobec Żydów, mówiąc o zagrożeniach ze strony judaizmu. Poza granicami diecezji zdecydowanie dominowała koncyliacyjna wobec nazizmu postawa metropolity wiedeńskiego kard. Theodora Innitzera. Po anszlusu wywodzący się z Niemców Sudeckich kardynał spotkał się w wiedeńskim hotelu Imperial z Hitlerem. Gföllner zaś odmówił z nim spotkania podczas jego odwiedzin w katedrze w Linzu. Kierowaną przez niego diecezję dotknęły prześladowania, aż 40 księży trafiło do obozów koncentracyjnych, 11 z nich zmarło. Wielu wierzyło, że religijne represje ze strony nazistów spotkają się w końcu ze społecznym oporem ze strony wypełniających kościoły Austriaków. W 1940 r. do aresztowanych przez Gestapo dołączył proboszcz St. Radegund Josef Karobath, duszpasterz rodziny Jägerstätterów.

Działania nazistów wobec religii i księży były jednym z powodów odrzucenia przez Franza panującego systemu. Jednak nie jedynym. Jägerstätter przed anszlusem często wdawał się w gospodach w dyskusje i spory o charakterze czysto politycznym. Po wkroczeniu Wehrmachtu do Austrii chciał zbrojko-tować ogłoszony przez Hitlera plebiscyt, który miał przypieczętować „zjednoczenie” Austrii z Rzeszą. Za namową żony, obawiającej się represji, wziął w nim jednak udział, głosując jako jedyny we wsi na „nie”. Głosowanie odbywało się – zapewne nie przypadkiem – 10 kwietnia w Niedzielę Palmową, w dniu, w którym katolicy w kościołach całej Austrii wymawiali słowo „Hosanna!” dla uczczenia triumfalnego wjazdu Chrystusa do Jerozolimy. Rok wcześniej, także w Niedzielę Palmową, w niemieckich kościo-

łach odczytywano wzywającą katolików do oporu wobec nazizmu encyklikę papieża Piusa XI „Mit brennender Sorge”.

Dojrzejące postanowienia

Pochodzące z listów Jägerstättera pytanie „Co się stało z naszym krajem?” wyrażało zawód konformizmem rodaków i współwyznawców, którym w katolickiej Austrii godzenie wiary z nazistowską ideologią przychodziło z łatwością. W zapiskach porównywał zachowanie austriackiego narodu wiosną 1938 r. podczas anszlusu do zdrady Judasza. „Sądzę, że nie różniło się to od wydarzeń z Wielkiego Czwartku sprzed tysiąca dziesięciu lat, gdy naród żydowski miał wybór pomiędzy Chrystusem, niewinnym Zbawicielem, a przestępcą Barabaszem” – notował. W hermetycznej wiejskiej społeczności, w której przejawy indywidualizmu czy buntu już wcześniej nie znajdowały poklasku, Jägerstätter nie był w stanie przekonać sąsiadów i współmieszkańców do obranej przez siebie drogi sprzeciwu wobec nazistów. A ten sprzeciw po anszlusu się umocnił. Czego wyrazem zanotowane postanowienie, by „nie lękać się żadnych katuszy i jeśli to konieczne, oddać nawet życie”.

We wsi nie od razu postawę taką uznano za objaw szaleństwa. Jägerstätter długo cieszył się szacunkiem wśród współmieszkańców, proponowano mu nawet funkcję sołtysa, ale po 1938 r. w panującym systemie nie chciał pełnić tej funkcji. We wsi nie było zaangażowanych nazistów i nikt z sąsiadów nie zademonstrował go za antynazistowskie poglądy. W St. Radegund dominowała postawa „moja chata z kraja”, korespondująca z porozręczaną po polach zabudową wsi.

Jägerstätter zraził się do służby wojskowej podczas sześciu miesięcy jej odbywania w ośrodku szkoleniowym w Enns, w którym znalazł się pierwszy raz w czerwcu 1940 r. Zwolniony ze służby po kilku dniach, powrócił tam w październiku. Kolejne próby zwolnienia go z wojska, podejmowane za pośrednictwem władz gminy przez matkę i żonę, odwoływały się do pragmatycznych argumentów. Franz prowadził gospodarstwo rolne i wychowywał z Franziską ich trzy córki.

W listach z koszar postrzegał wojskowe środowisko jako antychrześcijańskie. Nie trafił na front, w jednostce strzelców alpejskich służył jako kie-

rowca. Po kolejnym zwolnieniu ze służby w kwietniu 1941 r. powrócił do domu z silnym postanowieniem odmowy przyjęcia ponownego powołania.

Głos przeciw milczeniu

Nieprzejednaną postawą wyrobił sobie we wsi opinię „dziwaka”, którego motywuje „religijne urojenie”. Rzeczywiście wzmocnił jeszcze religijną gorliwość, został kościelnym, czytał codziennie Nowy Testament, korespondował z poznanym w koszarach Niemcem Rudolfem Meyerem, wraz z którym przystąpił do Trzeciego Zakonu św. Franciszka. Istotnym elementem reguły tego ruchu świeckich było wprowadzanie pokoju, członków obowiązywał zakaz noszenia broni i składania przysięgi.

Meyer, choć przyznawał Jägerstätterowi rację w jego radykalnej postawie, sam odpowiadał, że nie jest gotowy na ostateczne poświęcenie. Rozważali ukrywanie się przed ponownym powołaniem do wojska. Odrzucili jednak ten pomysł ze względu na grożące rodzinom rewizje i represje. Czy Jägerstätter, stawiający na najwyższym stopniu obok wiary w Boga i człowieczej wolnej woli obowiązki ojcowskie i podkreślaną w listach do żony miłość małżeńską, nie przewidywał sztykan, ostracyzmu i życiowego trudu, które spadną na najbliższych wskutek jego gestu sprzeciwu?

Rodzina, zwłaszcza matka, próbowała odwieść syna od decyzji odmowy służby wojskowej. Zmiany nie przyniosła jednak nawet rozmowa Jägerstättera z nowym biskupem diecezji Linz Josefem Fließnerem, znacznie bardziej pragmatycznym niż jego poprzednik, próbującym chronić duchowieństwo przed wcieleniem do Wehrmachtu i odradzającym otwarty opór wobec nazistów w imię uniknięcia dalszych ofiar pośród księży i wiernych.

Rolnik z St. Radegund twierdził jednak, że milczenie Kościoła nie usprawiedliwia milczenia jednostki. Swoją sprzeciw uważał za głos sumienia. Nie tylko wobec represjonowania Kościoła, uwikłania katolików w narodowy socjalizm, ich bałwochwalczego stosunku do Hitlera. Opór dotyczył całego zbrodniczego systemu i wojny napastniczej prowadzonej przeciw wolnym narodom. „Czyż nasza modlitwa o pokój nie jest czystym sztyderstwem?” – pytał w imieniu swoich rodaków w prowadzonych przez siebie →

→ zapiskach. „Jeśli już chcemy się modlić, powinniśmy prosić Boga, żeby przywrócił nam rozsądek. Może wówczas pojmemy zakres niesprawiedliwości, której się dopuściliśmy wobec innych ludzi i narodów, które nadal mają prawo do życia na tej ziemi”.

Gdyby w sprzecznie Jägerstättera chodziło tylko o literalne czytanie stojącego w sprzeczności z wojną piątego przykazania albo o wyłączenie w regule świeckiego zakonu zakaz noszenia broni, posłuchałby zapewne rodzinnych namów, a po aresztowaniu rad prawnika i wystąpił z podaniem o zmianę służby wojсковej na zastępczą, w roli sanitariusza. Zwłaszcza że jako osoba wierząca odrzucał też samobójstwo, radykalny zaś opór względem nazistów nawet bliski mu ks. Karobath uważał za misję samobójczą. Zdawał sobie z tego sprawę – w lutym 1943 r. po odebraniu listu z ponownym powołaniem go do wojska powiedział: „Właśnie podpisałem na siebie wyrok śmierci”.

Rewolucjonista

Do aresztu śledczego Wehrmachtu w Linzu trafił po przesłuchaniach prawdopodobnie tego samego dnia, w którym po stawieniu się w koszarach w Enns zgłosił odmowę pełnienia służby wojсковej. Dwa miesiące później z budynku dawnego klasztoru urszulanek przeniesiono go do berlińskiego aresztu śledczego Wehrmachtu Tegel. 6 lipca po krótkiej rozprawie przed Berlińskim Sądem Wojennym Rzeszy w Charlottenburgu z paragrafu „działania na niekorzyść sił zbrojnych” skazany został na karę śmierci. Wyrok miał w zamysle nazistowskiego sądu charakter prewencyjny, odstraszający ewentualnych naśladowców. Przybyła kilka dni później do Berlina Fani, która do końca próbowała odwieść męża od jego decyzji, ale też nie pozostawiła go z nią samego, była świadkiem, jak brutalnie traktowali go żołnierze. Ostatnie spotkanie małżonków trwało dwadzieścia minut.

Wyrok wykonano 9 sierpnia w Brandenburgu. Franz Jägerstättera stracono jak rewolucjonistę. Został ścięty na gilotynie.

Tego samego dnia stracono wraz z nim skazanych z tego samego paragrafu sześciu mężczyzn. Niemcy Paul Gross i Walter Möller oraz Alzatzycy Alfred Bene-

Móglby być drogowskazem na nasze czasy,

gdy religia nadal wciągana
jest na wojenne sztandary,
a widma nazizmu
powracają w głosach
wzywających do agresji.

dick, Raymund Gentes, Karl Merling i Heinrich Merling byli jednymi z ponad dwustu świadków Jehowy straconych w okresie III Rzeszy, w większości za odmowę służby wojсковej. O ile jednak Świadków Jehowy i Badaczy Pisma Świętego zaliczyć należy do obdźektorów absolutystów, bo odmowa pełnienia służby wojсковej w armii III Rzeszy (i nie tylko) dyktowana była radykalnym trzymaniem się reguł ich grup religijnych, to Franz Jägerstättera określić należy raczej mianem obdźektora selektywnego, czyli negatywnie nastawionego do służby w konkretnej, nazistowskiej armii i złożenia przysięgi wierności jej Führerowi. A taka postawa była wyjątkiem wśród katolików zarówno w Niemczech, jak i w Austrii.

Choć i tu Jägerstätter nie był jedyny. Inny z obdźektorów nosił to samo imię, które w niemieckim kręgu kulturowym oznacza człowieka wolnego. Żyjący w Niemczech Austriak Franz Reinisch jako jedyny katolicki ksiądz skierowany do poboru odmówił przysięgi na wierność Hitlerowi. Obu Franzów trudno jednak zaliczyć do chrześcijańskich pacyfistów i patronów oporu przeciw wojnie jako takiej, niezależnie, czy napastniczej, czy obronnej, tej, której jakoby „wszyscy jesteśmy winni”. Ścięty 21 lipca 1942 r. Reinisch wyraźnie występował przeciw ideologii, którą napędzały „przeciwnie naturze prawa, jak morderstwo, pozbywanie się upośledzonych umysłowo, sterylizacja”. Jego proces beatyfikacyjny jest w toku.

Franz Jägerstätter beatyfikowany został w 2007 r. przez Benedykta XVI. W mszy beatyfikacyjnej w Linzu uczestniczyła wdowa po Franzu i jego cztery córki. Franziska Jägerstätter zmarła dopiero w 2013 r., tuż po swoich setnych urodzinach.

Bohaterowie Austrii

W ich domu, dziś prywatnym muzeum, pustym nawet w dzień 80. rocznicy śmierci gospodarza, do ściany przytroczone są kajdany. Skuty w nie w celi śmierci pisał, że „lepiej mieć związane ręce niż spętana wolę”. Słowa te znalazły się na pomniku stojącym pośród pól oraz w oryginalnym tytule biografii Jägerstättera autorstwa niestrudzonej kustoszki jego pamięci, teolożki Erny Putz. Nie był po wojnie wygodnym bohaterem, stanowił raczej skrywany wyrzut sumienia austriackiego Kościoła.

Nawet dziś w Austrii, rozdartej pomiędzy topionym w niepamięci piętnem współwinowajcy a fałszywym mitem „pierwszej ofiary Hitlera”, nie jest narodowym świętym, patronem ulic, postacią z pomników. Choć łatwo tu znaleźć na nich tych, którzy wyznawali całkiem inny triumf woli. Jak w pewnej tyrolskiej wsi na placu pod kościołem, gdzie pod napisem „*Unseren Helden!*” – naszym bohaterem – wymienione są nazwiska, miejsca i daty śmierci jej poległych w dwóch wojnach mieszkańców. Wśród nich także innego Franza („Warschau 14.8.1944”).

Pamięci o Jägerstätterze lepiej niż Austriacy przysłużył się słynny amerykański reżyser Terrence Malick, poświęcając jego ofierze „Ukryte życie”, jeden ze swoich najgłębiej chrześcijańskich filmów. Choć wieś z jego wizji, filmowana głównie poza oryginalnym miejscem wydarzeń, w Tyrolu Południowym na halach wśród alpejskich szczytów, które nad St. Radegund zamykają zaledwie horyzont, nie przypomina oryginału. Jest raczej pięknym i sielskim kontrapunktem dla świata koszar, aresztów i katowni. W nim dopełnił się los człowieka, który nie klękał przed Führerem.

Filmową opowieść puentuje cytat z powieści George Eliot: „(...) gdyż rosnące dobro świata zależy w części od niehistorycznych czynów; i że ani wam, ani mnie nie jest tak źle, jak mogłoby być, w połowie zawdzięczamy to licznym, którzy wiernie wiedli ukryte życie i spoczywają w nieodwiedzanych grobach”.

Porośnięty kwiatami grób Jägerstätterów w rzadko odwiedzanej wsi przylega do ściany późnogotyckiego kościoła parafialnego. © BARTEK DOBROCH

Cytaty z listów i notatek Franza Jägerstättera za książką Erny Putz „Boży dezertier”.

Odsunięte od ołtarza

ESTERA BAKSIK-MAJNUSZ

Dzielnica średniego miasta. Przez środek ulicy przebiega granica dziewczyńskich perspektyw w Kościele, która kształtuje duchowość, poczucie misji i bycia potrzebną. Granica poglądów proboszcza.

GDY WIELOKROTNI W MOIM ŻYCIU nie pozwalano mi służyć przy ołtarzu, czułam się zraniona i odrzucona z tego powodu, że jestem kobietą – mówi Katarzyna, która była ministrantką w kilku wspólnotach, ale poza swoją parafialną.

Fakt, że nawet sąsiadujące ze sobą parafie różnią się w podejściu do służby dziewcząt, powoduje, że ministrantka, lektorka czy psalterzystka często nie może towarzyszyć swą posługą bliskim osobom w kluczowych momentach. – Często służyłam na pogrzebach, niejednokrotnie rodzina zmarłego dzwoniła do mnie z prośbą, czy będę mogła przyjść na pogrzeb, by przeczytać czytanie czy pójść z krzyżem. Gdy zmarła moja babcia, było to dla mnie naturalne, że jadąc na pogrzeb zabrałam ze sobą albę. Jednak miejscowy proboszcz nie wyraził zgody, bym służyła, bo w tej parafii nie było zwyczaju służby dziewcząt przy ołtarzu. Z pierwszej ławki obserwowałam, jak mały ministrant kilka razy pomylił się w czasie czytania, nie wiedział, kiedy wyjść z kadzidłem, potykał się, idąc ze zbyt dużym dla niego krzyżem. Mimo że nie potrafił jeszcze wielu rzeczy, to w oczach tego księdza nadawał się bardziej niż ja tylko dlatego, że był chłopakiem – opowiada Ola.

Ewa przy ołtarzu

Nieco ponad połowa diecezji w Polsce dopuszcza do służby ministrantkiej dziewczęta. Watykan umożliwił to już w 1994 r. w Liście do przewodniczących Konferencji Episkopatów na temat



SLAWOMIR MIELNIK

Ministrantka Małgorzata Sowada podczas procesji. Boguszyce, 2011 r.

funkcji liturgicznych pełnionych przez świeckich. Dziesięć lat później przypominała o tym Kongregacja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów w Instrukcji „Redemptionis sacramentum”. Sprawa posługi dziewcząt i kobiet w czasie liturgii powróciła w 2021 r. za sprawą Franciszka i jego *motu proprio* „Spiritus Domini”, zmieniającego zapis kanonu 230 Kodeksu Prawa Kanonicznego, który dopuszcza do stałej posługi lektora i akolity: w dawnej wersji mowa była o „mężczyznach świeckich”, w nowej o „osobach świeckich”. Tym samym posługi lektora i akolitu są dostępne również dla kobiet. – Ale funkcjonowanie w danej diecezji ministrantek nadal jest zależne od biskupa miejsca. Mamy tu do czynienia z dwiema odrębnymi rzeczywistościami, gdyż czym innym jest stała posługa, a czym innym funkcja liturgiczna, czyli ministranci czy ministrantki – tłumaczy ks. dr Piotr Borowiak, wykładowca liturgiki w Diecezjalnym Instytucie Muzyki Kościelnej w Opolu.

Chociaż stałe posługi (dostępne dla kobiet) są szerszą rzeczywistością niż

funkcje liturgiczne, w niektórych diecezjach w Polsce ministrantki wciąż budzą kontrowersje. Istnieją diecezje, w których mimo braku formalnej zgody biskupa przy ołtarzu posługują nie tylko chłopcy. Zależne jest to od tzw. racji duszpasterskich, których dostrzeżenie uwarunkowane jest wrażliwością proboszcza. Dochodzi więc do sytuacji, gdy w obrębie jednej diecezji, dekanatu, miejscowości czy nawet parafii istnieją zasadnicze różnice w podejściu do wstępowania dziewcząt w szeregi Liturgicznej Służby Ołtarza.

Przeciwnicy dziewcząt przy ołtarzu widzą w nich zagrożenie dla skupienia dorastających chłopców, a nawet ich potencjalnego kapłańskiego powołania. W ich oczach ministrantka ma w sobie więcej z kuszącej w raju Ewy niż z Maryi niosącej Zbawiciela. Zwolennicy tradycyjnego podziału ról wskazują, że służba liturgiczna ma być „męskim światem”, bo na pewnym etapie rozwoju koedukacja się nie sprawdza. Chłopcy i dziewczyny rozwijają się w innym tempie – argumentują. Ich zdaniem, odpowiedzialne, →

⇒ poważniejsze i bardziej rozbudowane dziewczęta mogłyby napęlić ministrantów kompleksami.

Księża stojący na straży budowania pewności siebie posługujących chłopców być może nie zdają sobie sprawy z tego, jak niedopuszczenie dziewcząt za balaski wpływa na ich własną samoocenę. Dziewczęta, którym jedni księża zezwalają na służbę przy ołtarzu, a inni nie, odczuwają w Kościele odrzucenie, które jednoznacznie łączy ze swoją płcią oraz jej postrzeganiem przez mężczyzn decydujących o kształcie wspólnoty.

– Gdy w naszej parafii zaczynały służyć lektorki, była duża uroczystość z udziałem wielu księży. Proboszcz musiał chyba się obawiać, co powiedzą jego koledzy na taką nowość, bo kazał nam, dziewczynom, siedzieć razem ze scholą. U nas lektorzy, psalterystki i schola mają takie same alby, więc wmieszałyśmy się w tłum. Jednak ja nie potrafię śpiewać, dlatego jeśli chciałam być w albie, bliżej ołtarza, a nie siedzieć beczynnie w ławce,

musiałam udawać – z żalem wspomina rozmówczyni, która prosi o nieuwrażliwienie swojego imienia.

Medalik zamiast alby

– Najbardziej mnie wkurza argument, że przecież możemy być miankami. To tak, jakby powiedzieć komuś, kto chce gotować, że może zostać ogrodnikiem, bo to też praca domowa – mówi rozgoryczona Ola, która zwraca uwagę na zasadniczą różnicę charyzmatów, funkcji i formacji Dzieci Maryi i ministrantów. Dzieci Maryi to stowarzyszenie swymi korzeniami sięgające XIX wieku i objawień maryjnych św. Katarzyny Labouré. Głównym celem mianek jest naśladowanie Maryi, praktykowanie jej cnót oraz rozpowszechnianie i noszenie Cudownego Medalika.

W Uroczystości Chrystusa Króla wielu chłopców zostało przyjętych do służby ministranckiej. Ich koleżanki 8 grudnia wstąpiły do grona Dzieci Maryi. W wielu przypadkach medalik na kolorowej

wstążce wręczony zostanie na otarcie łez. Dziewczęta pragnące pełniejszego zaangażowania w liturgię czasem z zazdrością patrzą zza sztandarów na chłopców dzwoniących na dzwoneczkach, czytających, przynoszących dary czy niosących krzyż lub świece. Mimo przynależności do grupy parafialnej czują się w porównaniu z ministrantami bierne w trakcie liturgii. – Gdy byłam mianką, to więcej czuwałam przy sztandarze, niż faktycznie byłam zaangażowana w liturgię – wspomina Martyna.

To jej nie wystarczyło, ale miała szczęście – spotkała na swej drodze księży, którzy byli otwarci na nową perspektywę, jaką daje Kościół. Obecnie, już jako dorosła kobieta, Martyna angażuje się w życie swojej parafii – od posługi charytatywnej i przynależności do Róż Różańcowych, przez organizację wydarzeń parafialnych po Radę Duszpasterską włącznie. Czy jej zaangażowanie byłoby równie silne, gdyby doświadczyła „odsunięcia od ołtarza”? © ESTERA BAKSIK-MAJNUSZ

REKLAMA

POZNAJ NAJLEPSZĄ KSIĘGARNIĘ W MIEŚCIE

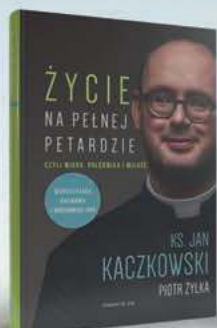
Księgarnia WAM



wydawnictwo

Jesteśmy jedną z największych księgarni katolickich w Polsce!

Mamy dla Was **ponad 15 tys. tytułów**



Zapraszamy na **ul. Kopernika 26** w Krakowie
lub na **www.wydawnictwowam.pl**

WOJCIECH

Bonowicz: Homeostaza



KOŃCZY SIĘ ROK WISŁAWY SZYMBORSKIEJ i wiele osób pyta mnie, który jej wiersz lubię najbardziej. Oczywiście, mam taki, konsekwentnie od lat wskazuję właśnie ten. Zauważyłem zresztą, że gdy przychodzi do podobnych rankingów, nikt inny go nie wybiera. To krótki, nieszczególnie efektowny wiersz z tomu „Wszelki wypadek”. Nosi tytuł „Powroty”.

*Wrócił. Nic nie powiedział.
Było jednak jasne, że spotkała go przykreść.
Położył się w ubraniu.
Schował głowę pod kocem.
Podkurczył kolana.
Ma około czterdziestki, ale nie w tej chwili.
Jest – ale tylko tyle, ile w brzuchu matki
za siedmioma skórami, w obronnej ciemności.
Jutro wygłosi odczyt o homeostazie
w kosmonautyce metagalaktycznej.
Na razie zwinął się, zasnął.*

Bardzo lubię ten prosty obrazek i jego bohatera. Niewiele o nim wiadomo, choć znamy jego wiek i wiemy mniej więcej, czym się zajmuje. Ale co za przykreść go spotkała, tego już musimy się domyślać. Czy chodzi o miłosny zawód? Czy o coś związanego z pracą? Może trafił na kogoś, z kim wiążą się nieprzyjemne wspomnienia? Może usłyszał coś niemiłego, na przykład ktoś skrytykował jego wystąpienie? W każdym razie dotknęło go to bardzo, skoro położył się, nie rozbierając, i nakrył głowę kocem. Chce, żeby dano mu spokój.

Z drugiego zdania w wierszu wynika, że nie mieszka sam. Nie wiemy jednak, kim są jego współlokatorzy. Może to nie rodzina, lecz przypadkowi ludzie? Mężczyzna kładzie się – na łóżku? na kanapie? – w pozycji embrionalnej, wyrażającej bezradność i potrzebę bezpieczeństwa. Nie jest już dorosłym, lecz dzieckiem, które potrzebuje ukryć się i przeczekać. Wszystko, czego się nauczył, co poznał i przemyślał, nie ma w tej chwili znaczenia. Teraz rozumiemy, dlaczego wiersz nosi tytuł „Powroty”: chodzi o powrót do domu, ale też do łona, „obronnej ciemności”, do raju przed narodzeniem. Stąd owych „siedem skór” – jak siedem gór czy lasów w bajkach. Smutny, zraniony mężczyzna nie chce być mężczyzną. Chce być chłopcem, chce móc płakać, choć bez świadków.

Zauważmy jeszcze jeden szczegół: temat wykładu. Homeostaza oznacza stan równowagi. Wydarzyło się coś, co zakłóciło spokój opisywanego człowieka. Będzie się musiał pozbierać, w końcu jest uczonym, może nawet ekspertem w swojej dziedzinie. Ludzki organizm i ludzka psychika nie mają przed nim tajemnic. A jednak coś go zraniło. Co innego wiedza, a co innego życie. Czy zajmowanie się nauką jest w jego przypadku ucieczką od życia? Czy kosmos – o którym tylko teoretyzuje, bo przecież nie wyruszy na jego podbój – nie wydaje mu się bezpieczniejszy niż jego własne otoczenie? Może tak właśnie jest. Poetka niczego tutaj nie rozstrzyga. Zostawia nam kilka znaków, sugestii, podpowiedzi... Napisałem tak śmiało, że bohater nie wyprawiliby się w kosmos. Ale czy to rzeczywiście wykluczone? Czyż nie da się tego wiersza zinterpretować także jako opowiastki o powrocie na Ziemię kogoś, kto zwiedził międzygwiazdne przestrzenie?

Niedorysowania, niedociśnięcia – oto, co decyduje o tym, że ten wiersz jest tak interesujący. Uwielbiam taką Szymborską, i w ogóle taką poezję, która zanadto mi się nie narzuca, nie podsuwa aforyzmu, życie opisuje niedokładnie, milknie, puentę zachowując dla siebie. A cóż to za wiersz? Ot, to taki obrazek, coś pospiesznie naszkicowanego. A o czym jest? No właśnie nie wiadomo. Może o smutku? O samotności? Może o tym, że każdy, nawet najsilniejszy, miewa gorsze chwile? A może o tym, że kosmos – owszem, ale jest jeszcze człowiek z jego nieuświadomianą tęsknotą za tym, co pierwsze, najwcześniejsze, najbardziej pierwotne. No ale dlaczego lubi pan ten wiersz? Jest krótki, intensywny i pełen współczucia. Jest ładną formą. Wystarczy? ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- GLIWICE**, czwartek 14 grudnia, spotkanie autorskie z ks. Kazimierzem Sową wokół książki „Niewierni wierni”, Klub Pracowników Politechniki Śląskiej (ul. Banacha 3), godz. 18.00
- ZŁOTÓW**, czwartek 14 grudnia, spotkanie z o. Maciejem Biskupem, „O Synodzie, KKK i książce »Sztuka uważności«”, Miejska Biblioteka Publiczna, (Grochowskiego 17), godz. 17.00

- WARSZAWA**, czwartek 14 grudnia, „Plany, oczekiwania, marzenia. Jak widzimy kolejny rok w Klubie”, Sala KIK (ul. Freta 20/24A), godz. 18.00
- RZESZÓW**, piątek 15 grudnia, spotkanie z prof. Karoliną Wigurą i red. Tomaszem Terlikowskim, „Dialog, który wznieca burze, kto dziś z kim może rozmawiać”, klasztor Dominikanów (Dominikańska 1), godz. 19.00
- KRAKÓW**, sobota 16 grudnia, spotkanie z o. Maciejem Biskupem, „»Sztuka uważności« w Piwnicy”, Piwnica Powszechna (Pijarska 5/20), godz. 18.00

REZERWUJ
ZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

DAVID GARRETT TRIO

ICONIC
TOUR 2024

13.03.2024
HALA STULECIA, WROCŁAW

BILETY: BILETSERWIS.PL WWW.DAVID-GARRETT.COM



REKLAMA

Prestige
MJM



BILET
SERWIS

RZECZPOSPOLITA

onet

preart

VIXON
MEDIA+

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy Pragi Północ w Warszawie pod sygnaturą VII Ns 504/22 toczy się postępowanie z wniosku Daniela Andrzeja Lasoty o stwierdzenie nabycia spadku po Henryku Lasocie, zmarłym 10 sierpnia 2001 roku w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałym w Warszawie przy ul. F. Pancera 7 m. 36.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla Warszawy Pragi Północ w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 896/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Marii Harasymowicz, zmarłej w dniu 25 maja 2022 r w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale przebywającej w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygnaturą akt I Ns 103/23 toczy się postępowanie z wniosku Zofii Koper z udziałem Józefa Kopra o zasiedzenie nieruchomości położonej w Chmielowie, obręb 0002 Chmielów, powiat tarnobrzegi, województwo podkarpackie, stanowiących działki o numerach ewidencyjnych: 1478/1 i 1478/2, objętej Księgą Wieczystą TB1T/00032595/1.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłoszący się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 210/23 toczy się postępowanie z wniosku Romana Pietronia o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Pusznio Godowskie stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 44 o powierzchni 0,50 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a zwłaszcza spadkobierców po Bronisławie Madejek, córce Stanisława i Katarzyny, do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłoszący się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

TYGODNIK POWSZECHNY

Wykup prenumeratę i czytaj najlepszą literaturę w niskich cenach!

Czytasz książki i uważasz, że najlepiej mieć własny egzemplarz na półce? Zgadzasz się, że 40% rabatu* u najlepszych wydawców to dobra oferta?

Kupując prenumeratę papierową „Tygodnika”, co miesiąc otrzymasz nowe kody rabatowe. Do końca roku wszystkie dostępne tytuły **Doroty Masłowskiej** i **Hanny Krall**, które ukazały się nakładem **Wydawnictwa Literackiego**, kupisz **40% taniej***.

Co zyskujesz?

- Co miesiąc inne tytuły i nowi wydawcy
- Zawsze duże zniżki
- Tylko najlepsze książki
- Oferta dla nowych i obecnych prenumeratorów

Zamów prenumeratę, podaj przy zamówieniu swój adres mailowy, a my co miesiąc wyślemy Ci unikalne kody promocyjne do wykorzystania przy zakupach w księgarni wydawcy.

Jesteś prenumeratorem?

Napisz na prenumerata@TygodnikPowszechny.pl, aby otrzymać rabat na książki.

Oferta ważna dla każdego rodzaju prenumeraty papierowej, dostępna także w ofercie łączonej dla „Tygodnika” papierowego i cyfrowego.

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: **Tygodnik Powszechny**
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela **Agnieszka Dyrzc** w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty cyfrowej pomocy udziela **Mateusz Chmielowski** w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

PARTNER MARKETINGOWY

SALES | **manago**
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty na powszech.net/regulamin

* rabat udzielany jest od ceny okładkowej



WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
12 wydań	3 miesiące	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	rok	100 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

POKOLENIA* – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej,
na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNEREM PRENUMERATY JEST
WYDAWNICTWO LITERACKIE

30 Jubileusz
Wydawnictwa
Literackiego

ŚWIAT



Robert Fico. Bratysława, 30 września 2023 r.

POZDROWIENIA OD ORWELLA

Nie tylko lawirowanie w polityce zagranicznej, ale i to, co dzieje się w instytucjach państwa, powinno niepokoić Europę. Nowy rząd Słowacji zaprowadza swoje porządki.

PATRYCJA BUKALSKA

SALA W GIMNAZJUM W TOPOLCZANACH nie wyróżnia się niczym szczególnym. Jasnozielone ściany, godło, tablica z warstwą źle startej kredy. „Tam siedziałem, w czwartej ławce z brzegu” – mówi mężczyzna w średnim wieku, w koszulce polo i jeansach.

Jest lato 2018 r. Mężczyzna to Robert Fico, wtedy były premier Słowacji. Wcześniej, w marcu, podał się do dymisji pod presją masowych demonstracji organizowanych po zabójstwie dziennikarza Jána Kuciaka i jego narzeczonej Marty Kúšnírovej. Kuciak pisał o kulisach władzy

na Słowacji, o korupcji. Teraz Fico opowiada reżyserce filmu dokumentalnego, jakim był uczniem. „Siedziałem z tyłu, nie byłem urodzonym przywódcą. I nie lubię konfliktów” – mówi z uśmiechem.

Reżyserka prosi, by napisał na tablicy pięć rzeczy, których się nauczył w szkole,

a które są dla niego najważniejsze. „Napisać pięć słów, którymi się kierowałem, kieruję i będę kierować, one zawsze przynoszą to, co trzeba” – mówi Fico. I pisze: „Cierpliwość zawsze przynosi czerwone róże”.

59-letni Fico wrócił do władzy jesienią 2023 r.: został premierem już po raz czwarty.

JA NIE ODCHODZĘ | Gdy w 2018 r. podawał się do dymisji, zdawało się, że Słowacja jest w punkcie zwrotnym, a premier Fico, oskarżany o dopuszczenie do bliskich związków polityki, biznesu i świata przestępczego, jest politycznie skończony. Śmierć Kuciaka była katalizatorem zmian, Słowacja miała się zreformować i oczyścić.

Obserwatorzy powinni byli jednak przyłożyć większą wagę do tego dnia, gdy Fico złożył dymisję na ręce prezydenta Andreja Kiski. Gdy Kiska rytualnie dziękował mu za to, co zrobił dla kraju, ten poufale dotknął jego ramienia i stwierdził: „Ja nigdzie nie odchodzę, może być pan spokojny, panie prezydencie”. Odtąd rządem kierował jego współpracownik Peter Pellegrini, a Fico pozostał na czele lewicowo-populistycznej partii Smer, którą utworzył pod koniec lat 90. XX w.

Po wyborach w 2020 r. władzę przejęła centroprawicowa koalicja premiera Igora Matoviča. Obiecywała walkę z korupcją i rozliczenie poprzedniego rządu. – Nikt wtedy nie myślał, że Fico wróci. Do 2022 r. ja też nie. Jednak do powrotu zmobilizował go Matovič, bo okazało się, że on na serio chce powsadzać ich do więzienia – mówi „Tygodnikowi” socjolog Michal Vašečka, dyrektor Bratislava Policy Institute.

LEPSZA OPCJA | Centroprawicowa koalicja chciała odbudować wiarygodność instytucji państwa. Pewne rzeczy udało się jej podjąć, ale ostatnie trzy lata upłynęły pod znakiem politycznych sporów. Dość rzec, że w tym czasie kraj miał aż trzech premierów.

– Po chaotycznych rządach Matoviča autorytarny Fico wielu osobom wydał się lepszą opcją. Muszę też przyznać, że prowadził energiczną, prawie trzyletnią kampanię wyborczą i to dało efekty. Jego przekaz o wsparciu socjalnym trafiał do wielu – mówi „Tygodnikowi” pisarz Michal Hvorecký [wywiad z nim drukujemy dalej w dziale Świat – red.]. – Fico

nie przejmie się prawami człowieka czy wojną w Ukrainie. Ale ludzie też się tym nie przejmują. „Nie dam pieniędzy Ukraincom, bo Słowacy ich potrzebują”, mówi Fico i Słowacy przyznają mu rację – dodaje pisarz.

– Ludzie głosowali na Ficę bez entuzjazmu. Ale uznali, że jest profesjonalistą i trzeba skończyć z chaosem Matoviča. Muszę przyznać, że jego rządy naprawdę były straszne. Co do tego zgodzę się z najzagorzalszym wyborcą Ficy – wzdycha Vašečka.

Z entuzjazmem czy bez, na Ficę głosowało 530 tys. wyborców (głos oddało ok. 3 mln Słowaków). To wystarczyło, by został premierem. Żaden inny polityk nie zbliżył się do takiego wyniku (drugi był Pellegrini, ok. 340 tys.).

Warto dodać, że był to może najbardziej zaskakujący, ale nie jedyny powrót Ficy do władzy. Udało mu się to już wcześniej w 2012 r., także po przedterminowych wyborach (i wtedy również po upadku prawicowego rządu). Jest więc premierem od 2006 r. z dwoma przerwami: między rokiem 2010 a 2012 oraz między rokiem 2018 a 2023.

PIERWSZE KROKI | W ciągu ostatnich trzech lat, budując podwaliny pod swój powrót, Fico – polityk i tak kontrowersyjny – obok zwykłych (dla niego) socjalnych obietnic zaczął odwoływać się do wyborców antysystemowych, do zwolenników teorii spiskowych. Radykalizował przekaz. Zasadne było pytanie, czy będzie realizować swoje zapowiedzi.

Zaczął się ostro. Jednym z pierwszych kroków było odwołanie szefa policji Štefana Hamrana (choć ten i tak trzy dni później miał przejść do cywila). Odsunięta od pracy została grupa śledczych, którzy zajmowali się niejasnymi powiązaniami poprzednich rządów Ficy.

Jeśli to zemsta, to także pragmatyczna. W ostatnich latach skazano ok. 40 osób ze środowiska partii Smer, a w kwietniu 2022 r. Fico i były szef MSW Robert Kaliňák usłyszeli zarzuty założenia i kierowania zorganizowaną grupą przestępczą, nadużycia uprawnień i złamania tajemnicy podatkowej (teraz w nowym rządzie Kaliňák jest ministrem obrony). Ficę chronił immunitet, a postępowanie i tak umorzono z powodu nieprawidłowości w śledztwie. Jednak nowy premier mógł chcieć radykalnie zamknąć tamte

sprawy. A to nie koniec: zapowiadane są zmiany w Urzędzie Prokuratury Specjalnej, która rozpracowywała powiązania polityków ze światem przestępczym.

Fico prezentuje te czystki jako przywrócenie praworządności, a poprzedni rząd oskarża o łamanie praw człowieka.

RÓŻNICOWANIE PRZEKAZU | Wśród głosnych zapowiedzi Ficy była deklaracja, iż zakończy wojskowe wsparcie Słowacji dla Ukrainy (mówił, że nie pośle tam ani jednego naboju). Istotnie, od razu wstrzymał pakiet pomocy przygotowany przez poprzedni rząd. Jednocześnie jednak komercyjne kontrakty będą realizowane, a na Słowacji nadal będzie działać ośrodek napraw dla ukraińskiej armii. Bratysława poprze też otwarcie negocjacji w sprawie członkostwa Ukrainy w Unii.

Zmiana polityki zagranicznej na prorosyjską była jedną z największych obaw. Jednak Fico nie podważa słowackiego członkostwa w Unii i NATO. Jak dotąd wiele wskazuje, że będzie prowadzić z oboma instytucjami swoistą grę, starając się, by nie przekroczyć „czerwonych linii”, różnicując swój przekaz do Słowaków i do partnerów za granicą.

Fico będzie unikać konfrontacji z Unią z jeszcze jednego powodu: stan finansów państwa jest zły, deficyt budżetowy najwyższy w strefie euro. To problem dla Ficy i jego socjalnych obietnic. Tym bardziej unikać będzie działań, które mogłyby zagrozić unijnym funduszom dla Słowacji.

ŁĘKI MAŁE I DUŻE | O ile w polityce europejskiej Fico może unikać radykalnych kroków, o tyle w kraju może dojść do drastycznych zmian.

„Czas, gdy NGO-sy kierowały tym krajem, minął” – oświadczył jesienią, otwierając kolejny ze swoich frontów. Możliwe, że organizacje pozarządowe, od dawna irytujące nowego premiera, będą oznaczane jako „agenci zagraniczni” w przypadku pozyskania przez nie funduszy z zagranicy (podobna ustawa jest w Rosji). Na celowniku są też media. Fico zapowiedział, że te, które uważa za „wrogi”, mogą nie mieć wstępu do budynków rządowych. – To oczywiście mało przyjemne, ale „Denník N”, jedna z wymienionych gazet, przeżyje bez ekskluzywnych cytatów Ficy – mówi Michal Vašečka.

→ – Ważniejsze, że Fico chce zmienić system wyborczy – dodaje socjolog. – Jeśli to mu się uda, będzie mógł rządzić nie osiem, lecz następnych 12 lat. W następnych wyborach Smer razem z Hlasem [partia koalicyjna założona przez Pellegriniego – red.] będą mieć powyżej 50 proc. głosów. Jeśli uzyskają większość konstytucyjną, Słowacja będzie zniszczona na lata.

Część komentatorów sądzi, że zapędy premiera może powstrzymać dość silne społeczeństwo obywatelskie i opozycyjna partia Progresywna Słowacja, która w ostatnich wyborach ulokowała się na drugim miejscu z 18-procentowym poparciem. – Jakies nadzieje pokładałam w samorządach. Żupy, odpowiednik polskich województw, mają silną regionalną tożsamość. Może będą motorem zmiany – zastanawia się Vašečka.

ŚWIAT Z ORWELLA | „Część kraju bije rządowi brawo, a część ma nadzieję, że słowacka demokracja ma na tyle silne instytucje, iż nie da się jej tak łatwo zdemontować” – konstatuje czeski tygodnik „Respekt”. Rzeczywiście, Słowacy są podzieleni głęboko.

– Ta polaryzacja jest jednak inna niż np. w Polsce. Na Słowacji mamy z jednej strony opozycyjne dziś spektrum polityczne, od liberałów przez socjalistów po konserwatystów, gdzie nadal jest biel i czerń, dobro i zło, prawda i kłamstwo, gdzie słowa mają znaczenie. Po drugiej stronie jest świat stworzony przez Ficę, świat dezinformacji i teorii spiskowych. Ten drugi świat obejmuje dziś ponad połowę naszego społeczeństwa – uważa Vašečka.

– Poza Słowacją, w Unii nie zrozumiano jeszcze, że u nas zmienia się dynamika społeczna, że jest teraz jak u Orwella – dodaje socjolog. – Mówisz tym samym językiem, słowackim, ale słowa oznaczają coś zupełnie innego. Największym problemem nie jest dziś, czy Fico będzie rozmawiał z mediami. On i jego obóz zniszczą całą strukturę państwa, która walczyła z dezinformacją. A pamiętajmy, że Słowacja była głównym rosyjskim celem, Rosja tu dużo inwestowała i z dobrymi wynikami.

Vašečka: – Będziemy żyć w społeczeństwie podobnym jak za komuny, gdzie białe będzie czarne, a czarne będzie białe. W 1989 r. myśleliśmy, że zwyciężyliśmy raz na zawsze. To było naiwne. Nie wiedzieliśmy, że o demokrację trzeba będzie walczyć przez całe życie. ©P PATRYCJA BUKALSKA

Co się stało z naszą energią

MICHAŁ HVORECKÝ, PISARZ:

Ponad połowa Słowaków uważa, że rządy autorytarne byłyby lepsze niż demokratyczne. 34 lata po Aksamitnej Rewolucji to dość przerażające.

PATRYCJA BUKALSKA: W 2019 r. w wywiadzie dla „Tygodnika” mówił Pan o zagrożeniach wynikających z teorii spiskowych. Dziś wierzy w nie ponad połowa Słowaków. Co się stało?

MICHAŁ HVORECKÝ: Od naszej rozmowy teorie spiskowe stały się niemal oficjalną doktryną państwową. Rząd Roberta Ficy, wyłoniony po wyborach jesienią 2023 r., oparł swoją władzę na dezinformacji i propagandzie. To nie dzieje się na peryferiach państwa, lecz stało się centralną częścią publicznego dyskursu. A będzie gorzej. Jedną z pierwszych decyzji premiera było wykluczenie czterech niezależnych mediów z rządowych konferencji prasowych. Rząd wziął je na celownik. Wcześniej też tak było, zwłaszcza gdy szło o dziennikarstwo śledcze. Ale teraz Fico chce iść krok dalej: wprowadzić dezinformację i propagandę do państwowych mediów. Wstrzymano też finansowanie programu zwalczania dezinformacji.

Czego można się spodziewać po rządzie Ficy?

Kraj ma sporo problemów gospodarczych, jak niedofinansowanie ochrony zdrowia i emerytur. Fico nie ma na to jasnej strategii, koncentruje się za to na wywoływaniu wojen kulturowych i walkach ideologicznych, by odwracać uwagę ludzi od innych spraw.

A społeczeństwo obywatelskie? Czy może być gwarantem, że Słowacja nie skręci w stronę demokracji nieliberalnej?

Mam taką nadzieję. Tak było pięć lat temu, gdy w proteście przeciw zamordowaniu dziennikarza Jána Kuciaka ludzie wyszli na ulice. Wtedy społeczeństwo obywatelskie było zorganizowane i aktywne. Jednak potem, od 2018 r., dużych demonstracji już nie było.

O Słowacji wiele też mówi mapa wyborcza: Fico wygrał niemal w całym kraju, poza Bratysławą. To pokazuje, jak w ostatnich kilku latach zmieniły się nastroje.

Są opinie, że powrót Ficy do władzy sprawi, iż młodzi ludzie będą emigrować.

To już jest problem. Tracimy elity, tracimy młodych utalentowanych ludzi. Ich pierwszym przystankiem jest zwykle czeskie Brno, tam jest dobry uniwersytet. Już teraz na niektórych wydziałach jest tam więcej Słowaków niż Czechów. Brno, Praga, dalej Niemcy lub Austria: tak to wygląda. Ci młodzi Słowacy już nie wracają, układają sobie życie za granicą. W czasie kampanii wyborczej ten temat podjęła tylko liberalna Postępowa Słowacja, na którą zresztą wielu z tych młodych Słowaków z zagranicy oddało głos.

Ten problem będzie narastać. Słowacja się wyludnia. Ostatnio byłem w Humennem na wschodzie kraju, blisko ukraińskiej granicy. W ciągu 10 lat miasto straciło 10 proc. populacji i nie jest to wyjątek. Są tam całe wyludnione wioski.

Dlaczego tak się dzieje?

Brak dobrej infrastruktury, coraz gorszy transport publiczny, brak perspektyw, słabo płatne miejsca pracy, brak inwestycji... Młodzi wyjeżdżają, zostają starzy. Gdy oni umrą, nikogo już tam nie będzie.

Co się stało z tamtą energią, z chęcią zmian, jaką Słowacy pokazali, wychodząc na ulice po śmierci Jána Kuciaka? Nadzieja zniknęła?

W pewien sposób – tak. Z drugiej strony, zdarzyły się ostatnio i dobre rzeczy, jak wyborczy sukces Postępowej



DARKO VOJINOVIC / AP / EAST NEWS

Wiec po dymisji premiera Roberta Ficy i jego rządu wywołanej zabójstwem dziennikarza Jána Kuciaka i Martiny Kušnírovej. Bratysława, 16 marca 2018 r.

Słowacji. Zdobyła 18 proc. głosów i stała się najsilniejszą liberalną partią w historii kraju. To nowa partia z wielkim potencjałem, połowa z jej posłów to kobiety. Myślę, że będą aktywną opozycją, w nich moja nadzieja.

Mówił Pan, że duże znaczenie miała dla Pana Aksamitna Rewolucja roku 1989. W polityce jest dziś jeszcze miejsce dla polityków idealistycznych?

Coraz mniej. Media cyfrowe zmieniły sposób, w jaki rozumiemy świat. Także sposób przetwarzania informacji zmienił się radykalnie. A jacy politycy z tego korzystają? Tacy jak Trump, który ma proste przesłanie do mas. Gdy idzie o Słowację, problem leży też w tym, że brakuje elit. Ludzi, którzy moralnie i intelektualnie byłiby w stanie brać odpowiedzialność za państwo. Polityka stała się areną dla oportunistów, którzy traktują ją jak biznes.

Natomiast problemem nie tylko słowackim, ale globalnym, jest zjawisko *exponential gap* – my, ludzie, jesteśmy wolniejsi w rozwoju niż nasze technologie. Nie jesteśmy w stanie przyjąć wszystkich informacji. Żyjemy w złożonym i zmieniającym się świecie. Efekt: ludzie szukają prostych rozwiązań i wybiorą tych polityków, którzy im je zaoferują. A takich nie brakuje, wystarczy spojrzeć na wynik wyborów w Holandii lub sondaże w Niemczech, gdzie na drugim miejscu jest AfD. Coraz więcej ludzi podąża za taką narracją.

Moje pokolenie miało szczęście, byliśmy nastolatkami, gdy rozegrała się Aksamitna Rewolucja, dorośliśmy i żyliśmy w wolnym świecie. Nie zrezygnuję z tego. Ale też nie traktuję tej wolności jako da-

nej raz na zawsze, bo pamiętam moje dzieciństwo w totalitarnym państwie. Wiem, jaka to różnica. I wiem, że o wolność trzeba walczyć.

O pragnieniu wolności i jej poszukiwaniu jest Pana najnowsza książka „Tahiti. Utopia”, która wyszła także w Polsce. Tworzy w niej Pan alternatywną wersję historii: Czechosłowacja nie powstała, a Milan Rastislav Štefánik – postać autentyczna, jeden z ojców Czechosłowacji – chce zabrać Słowaków na wyspy Polinezji Francuskiej, by tam założyli państwo idealne, nową Słowację.

To książka o tym, dlaczego rezygnujemy z utopijnego myślenia, dlaczego brakuje nam wizji. Chciałem utopię opisać, ale nie jest ona optymistyczna, bo jest tu ten drugi wielki temat: narodziny nowego nacjonalizmu. To dziedzictwo Europy Środkowej nadal pozostaje istotną kwestią. Te dwa wątki mieszają się w fantastycznej opowieści o alternatywnej historii Europy Środkowej.

Starłem się też zmierzyć z kwestią naszej narodowej tożsamości. Ona nie jest dana raz na zawsze, podobnie jak demokracja, co właśnie widać. Mówiąc najkrócej; piszę o tym, co mogłoby się stać, gdybyśmy nie mieli swojego państwa, gdybyśmy pozostali takim *underdogiem*, najsłabszymi w naszym regionie. Dla Słowaków utworzenie Czechosłowacji było cudem, czymś nie do pojęcia. Bawię się więc alternatywną historią, co by było, gdyby się nam wtedy nie udało. Choć jest ona blisko powiązana ze światem, w jakim żyjemy.

Mam wrażenie, że te rozważania o państwie idealnym mogą – a może powinny – skłonić też do refleksji, co to odpowiedzialność za państwo, jakie są nasze wobec niego obowiązki.

Absolutnie tak! Z badań socjologicznych na Słowacji wynika, że co 10 lat tracimy 10 proc. tych, którzy wierzą w demokrację. Ponad połowa Słowaków uważa dziś, że rządy autorytarne byłyby lepsze niż demokratyczne. 34 lata po Aksamitnej Rewolucji to dość przerażające. Moim zdaniem kultura, literatura piękna, jest jednym ze sposobów, by przypomnieć, że przez kilkaset lat emigracja i wygnanie były przeznaczeniem Słowaków. Przez ostatnich 150 lat prawie każde pokolenie doświadczało masowej emigracji. I to się nie skończyło, nadal jesteśmy narodem emigrantów i nie ma sposobu, by to zmienić.

Czy obserwując to, co się dzieje na Słowacji i poza nią, myśli Pan, że ludzie kultury mają dziś dodatkowe obowiązki? Kiedyś, przed rokiem 1989, gdy rządili komuniści, w wielu krajach Europy Środkowej to pisarze oferowali nam inną opowieść, inną wizję.

Pisanie nie powstrzyma bomb czy populistycznej propagandy. Ale przekazywanie opowieści jest czymś niezbędnym dla rodzaju ludzkiego. Jeśli ktoś powie, że wierzy w teorie spiskowe, a pani na to powie, że ten ktoś nie ma racji, to on nie zmieni z tego powodu swojego zdania. Z czasem jednak może je zmienić dzięki dobrej opowieści. Opowieść może zmieniać ludzkie poglądy i umysły w pozytywny sposób. Ján Kuciak poprzez swoje pisanie zmienił Słowację na zawsze. Także przez pamięć o nim nie wolno nam się poddawać. ©P Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA



MARTINA ŠIMKOVICHOVA / BIBLIOTEKA SŁÓW

MICHAŁ HVORECKÝ (ur. 1976) – jeden z najważniejszych współczesnych pisarzy słowackich. Jego książki tłumaczono na wiele

języków. W 2023 r. w Polsce ukazała się jego ostatnia książka „Tahiti. Utopia” (przeł. Michał Wirchniański), w której kreśli alternatywną historię Słowacji.

Podaj drinka, ale nie pij

MARTA ZDZIEBORSKA

Ameryka robi cywilizacyjny krok w tył: przybywa stanów, które są gotowe wysłać nastolatków do pracy na budowach czy w tartakach. W imię zapełniania luki na rynku pracy.

MARCOS CUX NIE WYBRZYDZAŁ. ZA niecałe 17 dolarów za godzinę zbierał z podłogi kawałki kurzego mięsa i zmywał krew oraz tłuszcz ze stalowych elementów maszyn. Ubrany w kombinezon, pracował w oparach chemikaliów, którymi nocami, wraz ze swoim zespołem, czyścili rzeźnię na błysk. Musieli się uwijać, bo właściciel firmy Perdue Farms nie miał czasu do tracenia: co tydzień firma przerabia półtora miliona kurczaków.

Gdy Marcos kończył pracę o 6.30 rano, z rzeźni odbierała go kuzynka. 20 minut później chłopak czekał już przed domem na autobus szkolny. Przy takim trybie życia trudno mu było skupić się na nauce. Nie spodziewał się jednak, że może być gorzej: w lutym 2022 r., tuż po skończeniu 14 lat, miał wypadek. Zgubiła go sumienność: chcąc dokładniej wyczyścić taśmę, przy której trybuje się kurczaki, sięgnął po coś, co wyglądało na fragment gumowej rękawiczki. Pech chciał, że w tym momencie taśma ruszyła. Gdy inni pracownicy usłyszeli jego krzyk, z otwartej rany przedramienia zwisła już ściętna.

Chłopak szczęśliwie nie stracił ręki. Ale stracił możliwość zarabkowania, dzięki czemu mógł pomagać rodzicom w Gwatemali. Właśnie po to wysłali go do Stanów.

POZA PRAWEM | Marcos Cux jest bohaterem śledztwa „New York Timesa”, które pokazało, jak w miasteczku Parksley w stanie Wirginia nieletni imigranci pracowali ponad siły w niebezpiecznych warunkach w rzeźniach. To kolejny tekst z serii: nowojorski dziennik dotarł wcześniej m.in. do nastolatków pracujących na budowach na Florydzie i w Tennessee, w rzeźniach w Delaware oraz w tartakach w Dakocie Południowej.

Koncern Perdue Farms, mający zakład w Parksley, działał w białych rękawiczkach: Marcosa zatrudniała odrębna

firma sprzątająca, która zadowolona się łatwymi dokumentami, wykazującymi, że chłopak jest dorosły. Złamano prawo, bo według przepisów federalnych nieletni mają zakaz wykonywania niebezpiecznych prac. Przepisy zabraniają też w całym kraju zatrudniania 14- i 15-latków na nocne zmiany i kontraktowania ich na więcej niż trzy godziny w dni, gdy chodzą do szkoły.

Po głośnych publikacjach „New York Timesa” Departament Pracy jesienią 2023 r. wszczął śledztwo wobec Perdue Farms i największego w USA producenta mięsa, firmy Tyson Foods. Pod lupę wzięto też firmy sprzątające Fayette Industrial i QSI. W tym roku w ich branży wybuchł już jeden skandal: federalni śledczy nałożyli 1,5 mln dolarów grzywny na firmę Packers Sanitation, która zatrudniała do sprzątania dzieci w trzynastu zakładach w ośmiu stanach (w tym w fabrykach Tyson Foods). Pracownicy w wieku 13-17 lat wdychali chemikalia, czyszcząc nocami piły rzeźnicze, ostrza i maszyny do obróbki zwierząt.

Do nadużyć dochodzi nie tylko w fabrykach mięsa. W maju 2023 r. Departament Pracy ukarał trzy franczyzy McDonald'sa za nielegalne zatrudnianie ponad 300 dzieci, w tym dwóch 10-latków, którzy pracowali na zmianach do drugiej w nocy. W 2023 r. za łamanie przepisów musiały płacić sieć barów Subway, knajpy z meksykańskim jedzeniem Chipotle i sieć fast foodów Popeye's.

PODRÓŻ SOLO | Od 2018 r. aż o 69 proc. wzrosła liczba dzieci nielegalnie zatrudnianych. Większość to nadużycia wynikające z pracy na nocną zmianę lub większą liczbę godzin, niż przewidują przepisy. Jak pokazał jednak rok 2022, w 688 ujawnionych przypadkach dzieci nielegalnie wykonywały szczególnie niebezpieczne zajęcia; to najgorsze statystyki od 11 lat.



Problem sprzężony jest z napływem nieletnich imigrantów, takich jak Marcos Cux, którzy coraz częściej docierają do USA w pojedynkę. Podczas gdy w roku fiskalnym 2020 granicę USA–Meksyk samotnie przekroczyło ponad 33 tys. dzieci, w 2021 r. statystyki poszybowały do prawie 147 tys., a w 2022 r. do 152 tys. Może to być m.in. związane z przejściem władzy przez prezydenta Bidena, który szczególnie na początku rządów postrzegany był jako bardziej przychylny migrantom.

W przypadku nieletnich, głównie z Ameryki Środkowej, schemat jest prosty: oczekując na legalizację pobytu w USA, są pod opieką tzw. sponsorów, zwykle krewnych, którzy nie oponują, by podopieczni podejmowali się niebezpiecznych prac. Ci nie mają wyboru, bo muszą nie tylko utrzymywać najbliższych w kraju pochodzenia, ale też nieraz spłacić długi przemytnikom, którzy pomogli im dostać się do USA. Bywa, że po przyjeździe młodzi imigranci nie zapisują się nawet do szkoły.

WAKATY NA RYNKU PRACY | Niebezpiecznych prac podejmują się też nastoletni Amerykanie. Niekiedy z tragicznym skutkiem. W czerwcu 2023 r. opinią publiczną wstrząsnęła śmierć 16-letniego Michaela Schulsza, który zginął w tartaku w Wisconsin. Trzy tygodnie wcześniej zmarł jego rówieśnik William Hampton, zatrudniony przy recyklingu odpadów w Missouri. Chłopiec, który zgodnie



SPENCER PLATT / GETTY IMAGES

*Młody chłopiec sprzedaje słodycze na stacji metra.
Nowy Jork, 18 sierpnia 2023 r.*

ponował, by już 14-latkowie mogli pracować w pralniach przemysłowych i rzeźniach. Z 15-latków polityk ten zrobiłby zaś ratowników, instruktorów pływania i pracowników fizycznych dźwigających do 22 kilo. Ostatecznie projekt przyjęto w okrojonej formie, m.in. zezwalając 16-latkom na serwowanie alkoholu, a 14- i 15-latkom na pracę w chłodniach z mięsem.

WRACAJĄCY SPÓR | Jak donosi „Washington Post”, za takimi zmianami – dokonywanymi głównie przez republikańskie stany – stoi m.in. konserwatywny think tank Foundation for Government Accountability, działający na rzecz osłabiania wpływu rządu na życie Amerykanów. Jak wynika z maili, do których dotarli reporterzy, organizacja pomagała w pisaniu projektów ustaw w Arkansas, Ohio, Minnesocie i Georgii.

Jennifer Sherer, ekspertka z think tanku Economic Policy Institute, uważa, że za znoszeniem restrykcji dotyczących pracy nieletnich stoi też lobby biznesowe. W obliczu deficytu pracowników (bezrobocie wynosi dziś tylko 3,9 proc.) właściciele firm argumentują, że są zmuszeni zatrudniać coraz młodsze osoby. Inna sprawa, że nieletni są tańsi: w niektórych stanach proponuje się, by zarabiali poniżej płacy minimalnej.

Nie jest to nowy trend. Płacić mniej nieletnim już w latach 80. XX w. chciała administracja prezydenta Ronalda Reagana. Reformę przewidującą też dłuższe godziny pracy najmłodszych zablokowała koalicja Demokratów, związków zawodowych i nauczycieli.

Spór o obecność młodych Amerykanów na rynku pracy trwa od wielu dekad. Gdy w 1938 r. Kongres przegłosował ustawę regulującą prawa pracownicze, w tym te dotyczące dzieci (np. zakazano pracy osobom poniżej 14. roku życia), przepisy zaskarżył producent drewna z Georgii Darby Lumber. Po długiej batalii Sąd Najwyższy utrzymał je w mocy. Mimo to do dziś w niektórych konserwatywnych i biznesowych kręgach przeważa przekonanie, że rząd federalny nie powinien mieszać się w prawa pracownicze dzieci.

PONAD PODZIAŁAMI | Przeciwnicy znoszenia restrykcji ostrzegają, że to początek powrotu do czasów, gdy na początku XX w. nieletni tyrali np. w kopalniach. Temat jest tak gorący, że czasem prowadzi do zasypania politycznych podziałów. Dwóch senatorów – Demokrat Cory Booker i Republikanin Josh Hawley (znany z kwestionowania zwycięstwa Bidena w 2020 r.) – złożyli w październiku 2023 r. wspólny projekt ustawy. Chcą zakazu kontraktowania przez rząd federalny firm łamiących prawo przy zatrudnianiu dzieci i proponują, by powstał centralny rejestr firm dopuszczających się takich nadużyć. Inni senatorowie z obu stron chcą radykalnego podwyższenia grzywny dla firm i stworzenia możliwości pozywania ich przez nieletnich pracowników.

Na drugim biegunie jest propozycja reformy przepisów z 1938 r.: jej orędownicy chcą zezwolić na zatrudnienie 16- i 17-latków w przemyśle drzewnym pod warunkiem, że będą pracować pod opieką rodziców. Pomysł skrytykowała Wendy Bostwick, której 18-letni syn zginął w tarakcie w 2014 r. „Naprawdę chcemy narażać dzieci na wykonywanie jednego z najbardziej niebezpiecznych zawodów na świecie? (...) Prawo zakazuje im picia alkoholu, ale zezwala na podejmowanie decyzji na śmierć i życie?” – mówiła „Guardianowi”. Jej syn Cole zginął na miesiąc przed ukończeniem szkoły średniej. Dzięki specjalnemu programowi nauczania mógł pracować za dnia, a wieczorem chodzić na zajęcia.

NASTOLETNI MARZENIA | Tradycyjną formę nauki musiał porzucić też wspomniany Marcos Cux. Po trzech operacjach i po pół roku fizjoterapii jego ręka nadal nie jest w pełni sprawna. Musiał znaleźć inne zajęcie: przez 12 godzin dziennie pracuje na fermie drobiu, gdzie brodząc w kurzych ekskrementach szuka padliny. „New York Times” pisze, że Gwatemalczyk na każdej zmianie wygrzebuje 100-150 ptasich trupów. I tym razem nie wybrzydza: może pomagać finansowo rodzicom.

Na stronie GoFundMe, gdzie zorganizowano zbiórkę pieniędzy na jego leczenie, czytam, że Marcos ma marzenie: chciałby skończyć szkołę średnią i pracować w biurze.

©

Autorka jest dziennikarką „Press”.

z prawem stanowym pracował legalnie, został przygnieciony między ciężarówką a przyczepą.

Śmierć nastolatków zbiegła się z wysiłkami co najmniej dziesięciu stanów, które chcą poluzować restrykcje dotyczące zatrudniania nieletnich. W Wisconsin, gdzie zmarł Schuls, grupa Republikanów dąży do przyjęcia przepisów zezwalających m.in. na serwowanie alkoholu w knajpach przez 14-latków. Mogliby podawać drinki, choć sami swoje pierwsze piwo mają prawo kupić dopiero w wieku 21 lat. Lobbujący za ustawą politycy przekonują, że rozwiąże to problem deficytu pracowników na rynku pracy, gdzie w niektórych sektorach, jak handel detaliczny, 15 proc. miejsc pracy jest nieobsadzonych. Argumentują, że przy okazji stworzą nastolatkom szansę na zdobycie „cennego doświadczenia zawodowego”.

Ponad 2 tys. kilometrów dalej na wschód, w stanie New Hampshire, 14-latkowie od 2022 r. mogą sprzątać stoliki w lokalach, gdzie serwuje się alkohol. Z kolei politycy w Minnesocie chcą wysłać 16- i 17-latków na budowy, a w Arkansas dzieci poniżej 16. roku życia nie muszą już starać się o stanowe pozwolenie na pracę, do którego potrzebna była weryfikacja ich wieku i zgoda rodziców. To pole do nadużyć dla pracodawców mogących tłumaczyć się, że nie byli świadomi wieku dziecka.

Dużo kontrowersji wywołał projekt złożony w Iowa: senator z tego stanu pro-

Belfer na cenzurowanym

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA I DEPARTAMENTU OISE

O czym lepiej nie mówić uczniom na lekcji? Jak bronić się przed naciskiem ze strony religijnych radykałów? Opowiadają o tym „Tygodnikowi” francuscy nauczyciele.

JAK WIĘKSZOŚĆ POCZĄTKUJĄCYCH NAuczycieli, Rémi trafił do szkoły w tzw. „sieci edukacji priorytetowej plus” (REP+). To najcięższy teren, gdzie prze-ważają uczniowie pochodzący z ubogich rodzin imigranckich. Potocznie zwany „szkolnym gettem”.

„Nauczyciel na peryferiach” jest od lat ulubioną postacią francuskich filmów i powieści. Czymś w rodzaju siłaczki i niezłomnego szeryfa (często w spódnicy) w jednym.

Słuchając Rémiego, łatwo zrozumieć, że codzienność odbiega mocno od romantycznej fikcji. Świeżo upieczony belfer musi mierzyć się z problemami, o których na studiach nawet mu się nie śniło.

W jego gimnazjum są uczniowie z rodzin muzułmańskich. Zdarzyło się – opowiada nauczyciel – że podczas ramadanu kilku uczniów odmówiło śpiewania na lekcji muzyki, twierdząc, jakoby zakazywał tego Koran.

Innym razem Rémi zwrócił uwagę gimnazjalistce, że ma słabe wyniki i powinna się więcej uczyć. Usłyszał: „Będę się modlić do Allaha, to wystarczy”. Nie wiedział, jak zareagować. Tym bardziej że rodzice tej uczennicy dali się już poznać w szkole z niechęci do wszystkiego, co świeckie.

Tego rodzaju sytuacje stają się chlebem powszednim w wielu francuskich szkołach położonych w tzw. trudnych dzielnicach.

„Sam tego chciał”

Gdy rozmawiam z Rémim, we francuskich szkołach żywe jest wspomnienie o zamachu w Arras: 13 października islamski terrorysta zabił przed tamtejszym liceum nauczyciela języka francuskiego Dominique’a Bernarda i ranił trzy kolejne osoby. Napastnik „polował” przed szkołą na nauczyciela historii (nie znalazł go), gdy na drodze stanął mu Bernard. Gdyby

nie to, ofiar mogłoby być więcej (za tę postawę nauczyciela nagrodzono pośmiertnie Legią Honorową).

Do zamachu doszło niemal dokładnie trzy lata po śmierci nauczyciela historii i geografii Samuela Paty’ego z rąk 18-letniego radykała islamskiego z Czeczenii. Paty zginął za to, że na zajęciach o wolności słowa pokazywał uczniom karykatury Mahometa.

Sprawcą ataku na szkołę w Arras okazał się 20-letni imigrant z Inguszetii, były uczeń tego liceum. Twierdził, że złożył przysięgę na wierność Państwu Islamskiemu. Według dziennika „Le Monde” na wideo, zarejestrowanym tuż przed atakiem, oskarżył szkoły francuskie, do których chodził, że – tu cytat z nagrania – „pchnęły go do piekła”, bo „nauczyły go demokracji i praw człowieka”.

Zaraz po zamachu w Arras w szkołach całej Francji zarządzono minutę ciszy poświęconą obu zabitym nauczycielom. Rémi wspomina: – W mojej klasie nikt nie przerwał minuty ciszy. Ale w innych klasach były śmiechy i komentarze, że „on”, czyli Samuel Paty, „sam tego chciał”. W sensie: bo pokazywał karykatury Mahometa.

Tego samego dnia w całej Francji zanotowano ok. 600 przypadków zakłócenia przez uczniów minuty ciszy, głównie w gimnazjach. Wobec winowajców zastosowano rozmaite kary: od ostrzeżeń po usunięcie ze szkoły (w praktyce – przeniesienie do innych placówek). Tę ostatnią sankcję zastosowano w 85 wypadkach, gdy w grę wchodziły „pochwała terroryzmu” lub „groźba pod adresem nauczycieli”.

Do serii podobnych incydentów doszło już osiem lat wcześniej. Wtedy, po zamachach na redakcję „Charlie Hebdo” i żydowski sklep w Paryżu, wielu uczniów także odmówiło upamiętnienia ofiar tych ataków.

Laickie serce Francji

Francja jest od wielu już lat na celowniku islamskich radykałów, z dwóch przede wszystkim względów. Po pierwsze, wskutek jej zaangażowania zbrojnego w walkę z dżihadystami na Bliskim Wschodzie i Afryce, w krajach Sahelu. Ostatnio doszło do tego wsparcie dyplomatyczne Francji dla Izraela w jego wojnie z Hamasem. 2 grudnia w pobliżu wieży Eiffla w Paryżu 26-letni terrorysta islamski, wcześniej więziony za przygotowanie innego zamachu, za-bił nożem niemieckiego turystę i zranił ciężko młotkiem dwie inne osoby. Swoją atak uzasadnił m.in. atakami Izraela na Gazę i wsparciem Francji dla państwa żydowskiego.

Drugim powodem ataków islamistów na Francję jest obrona przez nią laickości, zwłaszcza w szkołach. „Świecka edukacja jest sercem Republiki Francuskiej, którą oni [terroryści] chcą unicestwić” – mówił Hugo Micheron, znany badacz zjawiska dżihadyzmu, po ataku w Arras.

Laicka szkoła jest nieodłącznym elementem francuskiej tożsamości od 140 lat, gdy nad Sekwaną – na przekór potężnemu wówczas Kościołowi katolickiemu – wprowadzono dla wszystkich obowiązkowe i świeckie nauczanie w szkołach podstawowych.

Od 1905 r. Francja wyróżnia się w Europie ostrym rozdziałem religii i wyznań od państwa. Ta *laïcité*, czyli właśnie rygorystycznie pojmowana świeckość państwa, jest zapisana w konstytucji.

W szkołach publicznych nie mogą się odbywać lekcje jakiegokolwiek religii ani nawet religioznawstwa (z wyjątkiem Al-zacji i przyległego do niej departamentu Moselle, które zachowały konkordat z czasów, gdy przynależały do Niemiec). Od 2004 r. we wszystkich szkołach publicznych obowiązuje ustawa, która zakazuje – tak uczniom, jak i personelowi – noszenia strojów czy „ostentacyjnych” symboli religijnych. Obejmuje to muzułmańskie chusty, a także krzyżyki na szyi dużych rozmiarów czy żydowskie kipy.

Z krótkowzroczności lub tchórzostwa

Według badania ośrodka Ifop z czerwca 2023 r., 57 proc. ankietowanych francuskich nauczycieli wszystkich szczebli, od podstawówki do liceum, zaobserwowało próby łamania przez uczniów lub perso-



LAFARGUE RAPHAEL / ABAKA / EAST NEWS

Tysiące mieszkańców Arras zebrały się na centralnym placu miasta, aby upamiętnić nauczyciela z miejscowego liceum zamordowanego przez islamskiego radykała. 15 października 2023 r.

nel szkolny ustawy z 2004 r. (np. przez noszenie chust bądź innych nakryć głowy przez muzułmańskie uczennice).

Ale kwestia strojów to tylko wierzchołek góry lodowej.

Presja nielicznych, ale bardzo aktywnych radykałów islamskich na szkolnictwo i programy nauczania nie jest czymś nowym. Jedną z pierwszych osób, które 20 lat temu alarmowały władze o zagrożeniu dla *laïcité* ze strony radykalnych muzułmanów z kręgu salafitów, był Jean-Pierre Obin, ówczesny generalny inspektor edukacji. Co prawda – pisał Obin w swoim głośnym raporcie z 2004 r. (odłożonym wtedy na półkę) – salafici różnią się bardzo od islamskich terrorystów, bo nie wzywają do przemocy i pragną pokojowego praktykowania wiary, są jednak groźni, bo głoszą wyższość prawa muzułmańskiego (szariatu) nad prawem państwowym.

W wydanej trzy lata temu książce „Jak daliśmy islamizmowi wejść do naszych szkół” Obin zarzucił politykom francuskim, że przez 20 lat zamiatali ten problem pod dywan, za sprawą swojej „krótkowzroczności” lub „tchórzostwa”. Dziś, zdaniem Obina, widać „katastrofalne skutki” ignorowania tych kwestii.

Nie wszyscy zgadzają się z tym alarmistycznym tonem. Chloé, młoda nauczycielka francuskiego w liceum pu-

blicznym na paryskich przedmieściach, uważa ten obraz za jednostronny.

– Z moich doświadczeń, a uczę od 10 lat w dzielnicach „priorytetowych”, wynika, że zdecydowana większość uczniów akceptuje zasady rozdziału państwa i religii. I nie jest też tak, że problemy leżą tylko w islamie, bo radykalne ruchy katolickie także walczą z laickim nauczaniem – twierdzi Chloé w rozmowie.

Dodaje, że ścisłe świeckie rygory nie obowiązują w licznych we Francji katolickich szkołach prywatnych, na ogół subwencjonowanych przez państwo. Chodzi do nich aż ok. 15 proc. wszystkich uczniów, ze względu na zwykle wysoki poziom nauczania. Przyjmują one w dużej liczbie uczniów innych wyznań, w tym muzułmanów i żydów, jak też niewierzących.

Autocenzura

We wspomnianym badaniu ośrodka Ifop prawie połowa, bo 48 proc. nauczycieli, przyznała, że dokonywała „autocenzury” swoich wypowiedzi dotyczących świeckości czy wolności słowa, aby uniknąć protestów ze strony uczniów lub rodziców.

Na kłopoty z *laïcité* we francuskich szkołach wskazują także świadectwa nauczycieli różnych szczebli, z którymi rozmawiałem, w większości pracujących w tzw. trudnych dzielnicach.

Dyrektor liceum publicznego w departamencie Seine-Saint-Denis, zamieszkanego licznie przez imigrantów z Maghrebu i ich potomków, powiedział mi, że „niektórzy nauczyciele wolą unikać drażliwych spraw, żeby nie dochodziło do konfrontacji z uczniami”. Jako przykład wymienił dyskusje na temat prawa do krytykowania religii. Nasza rozmowa, w której prosił o anonimowość, odbyła się po śmierci Paty’ego, a przed zamachem w Arras.

– Kiedy przywoła się rysunki Mahometa, niektórzy uczniowie będą wołać: to bluźnierstwo. Nie mają dostatecznego dystansu ani przygotowania, żeby oglądać takie karykatury, tego tematu nie chcemy z nimi podejmować – przyznał dyrektor.

Z kolei Anne (imię zmienione na prośbę rozmówczyni), nauczycielka z 40-letnim stażem, pracuje w jednym z paryskich liceów. Jej szkoła, co podkreśla, jest prywatna, ale zarazem bezpłatna i świecka, subwencjonowana przez państwo.

Anne zauważa, że na ogół jej uczniowie przestrzegają reguł laickiej szkoły, choć jest więcej przypadków ich łamania niż jeszcze 10-20 lat temu. Coraz częściej, jej zdaniem, rodzice próbują ingerować w program nauczania.

Nauczycielka podaje przykład religijnych rodzin muzułmańskich. – Bywa, że

→ uczniowie pod wpływem opinii zasłyszanych w domu nie chcą mnie słuchać, bo jestem kobietą. Ale to szybko ucinam, aby nie mieli wątpliwości, że w klasie to ja jestem kapitanem – podkreśla.

Niewygodne tematy

Jak wynika z rozmów z nauczycielami, na liście niewygodnych tematów lekcyjnych znajdują się – oprócz choćby równości płci – także wychowanie seksualne, prawa osób LGBT+ czy teoria ewolucji.

Rémi zauważa, że w jego szkole wielu gimnazjalistów po prostu nie akceptuje teorii ewolucji, bo uznaje ją za sprzeczną z wiarą w boskie stworzenie wszechświata. – To problem, który wciąż wraca na lekcjach biologii – mówi.

Zdarza się, że uczniowie odmawiają udziału w zajęciach z historii, gdy mowa jest o Holokauście. Antysemickie wypowiedzi to kwestia szczególnie aktualna w kontekście obecnej sytuacji w Strefie Gazy.

Anne zaznacza jednak, że jej szkoła nie unika trudnych tematów: – Po agresji Hamasu na Izrael rozmawialiśmy z uczniami na lekcji o tych wydarzeniach. Niektórzy uczniowie dziwili się, dlaczego mówimy tak dużo o Izraelu, a nie o Palestynie. Ale były to pojedyncze głosy i dyskusja pozwoliła uspokoić nastroje.

Powodem innych kłopotów, jak wynika z relacji nauczycieli, są odmowy uczestnictwa przez dziewczęta w zajęciach WF-u na pływalni. Obin pisze w swojej książce, że w jednym z liceów podparyskiego departamentu Val-de-Marne muzułmańskie dziewczęta zbiorowo zbojkotowały zajęcia na basenie, przedstawiając medyczne zaświadczenie o „alergii na chlor”. Wszystko po to, aby – jak tłumaczy Obin – żaden obcy mężczyzna nie zobaczył ich w „nieprzyzwoitym” stroju, czyli kostiumie kąpielowym.

Podobne przypadki absencji – dodaje Obin – dotyczą zajęć sportowych w plenerze, gdyż niektóre uczennice odmawiają biegania bez chust na głowie.

A może mundurki?

Francuskie spory o świeckość od trzech dekad ogniskują się na strojach uczennic.

Bardzo długo największe emocje budził zakaz noszenia hidżabów, czyli chust muzułmańskich. W tym roku szkolnym uwaga mediów przeniosła się na abaje, długie tradycyjne szaty dla ko-

Spory o świeckość szkoły ogniskują się we Francji na strojach, głównie chustach.

Jako wyjście minister edukacji chciałby wprowadzić uniformy dla uczniów.

biet z odsłoniętą twarzą i rękami, noszone w krajach muzułmańskich, np. w Arabii Saudyjskiej. We Francji zjawisko to jest nowe, a jego skala niewielka. Według radia Europe 1 problem z tym ubiorem zsygnalizowało ok. 150 placówek na 60 tys. wszystkich szkół francuskich.

Na początku tego roku szkolnego minister edukacji Gabriel Attal ogłosił, że także abaja – jak też jej męski odpowiednik, *qamis* – będą w szkole zakazane, gdyż po konsultacji z ekspertami resort uznał je za stroje o charakterze religijnym, a nie kulturowym.

Jednocześnie minister zapowiedział upowszechnienie w placówkach publicznych uniformów szkolnych dla wszystkich uczennic i uczniów. Nie rozstrzygając na razie, czy będą to mundurki, czy inne stroje w jednolitych kolorach. Od trwającego roku szkolnego uniformy mają być na zasadzie dobrowolności eksperymentowane na wszystkich szczeblach nauczania, od podstawowego po liceum.

Jak łatwo było przewidzieć, decyzja Attala wywołała nową narodową dyskusję. W szkołach zawrzało.

Wśród nauczycieli daje się zauważyć podział pokoleniowy: z jednej strony starsi nauczyciele, raczej zycieli nowym rządowym pomysłem w sprawie abai i mundurków, z drugiej ci młodszy, raczej przeciwni nowym regulacjom.

Do tej pierwszej grupy należy Anne z paryskiego liceum prywatnego. Wspierając pomysł mundurków, przywołuje doświadczenie ze swojej szkoły, gdzie obowiązywały przez pewien czas jednolite bluzki dla uczniów i także dla nauczycieli. – To świetnie zdało egzamin, wzmocniło naszą identyfikację ze szkołą – twierdzi.

Nie zgadza się z nią Chloé, reprezentująca młodsze pokolenie. Jej zdaniem decyzja o zabronieniu abai w szkole „granicy

z absurdem”; podchodzi ona też sceptycznie do wprowadzenia mundurków.

– Nie widzę problemu w tym, że dziewczęta noszą długie szaty. Nie jest zadaniem nauczyciela śledzenie dziewcząt i ocenianie, czy długa szata, którą noszą, to abaja, czy raczej kimono. Uczę literatury, nie jestem imamem, nie muszę tego wiedzieć – irytuje się Chloé.

Czy rzeczywiście istnieje sprzeczność między zasadą świeckości a noszeniem w szkołach publicznych chust lub innym elementom przynależności religijnej? Chloé: – W takich krajach jak Wielka Brytania czy Kanada są one dozwolone. Choć, jak właśnie w Anglii, większość uczniów szkół publicznych nosi jednocześnie obojętne jednakowe uniformy.

Zmęczenie i gniew

Kłopoty ze świeckością to nie jedyny ani nie największy problem francuskiej oświaty. Jednak ta kwestia bardziej interesuje media niż pogłębiająca się od lat przepaść w poziomie nauczania między szkołami w centrach dużych miast a tymi na ubogich przedmieściach.

To również ze szkolnej nierówności wynika fatalna pozycja Francji – poniżej średniej krajów OECD i daleko za Polską – w opublikowanym właśnie międzynarodowym badaniu edukacyjnym PISA 2022, które ocenia poziom wiedzy piętnastolatków.

Obie kwestie są ze sobą związane. Upraszczając, ale tylko trochę: więcej rzetelnej edukacji to mniej fanatyzmu.

Nauczyciele z przedmieść nie kapitulują, ale są znużeni. W obliczu trudności czują się opuszczeni przez dyrekcję szkół i kuratorów oświaty.

Niektórzy, jak Chloé, czują wściekłość: – Moi dawni uczniowie odezwali się do mnie zaraz po ataku w Arras, pytając, jak się czuję. Byłam poruszona, jak wszyscy. Ale jednocześnie czułam gniew, tak jak moi koledzy. Jak to jest, że ten rząd, podobnie zresztą jak poprzednie, robi z nas bohaterów republiki, a jednocześnie od lat odbiera się szkołom publicznym środki finansowe?! Moi koledzy i koleżanki mają dość coraz gorszych warunków i odchodzą. A płace są za niskie – stąd ciągle brakuje nauczycieli.

Pytanie tylko, czy władze usłyszają gniew Chloé i innych belfrów, zanim (oby tak się nie stało!) dojdzie do kolejnego zamachu w szkole.

© SZYMON ŁUCYK

KTÓRĄ POWIEŚĆ **SZCZEPANA TWARDOCHA** WYBIERZESZ?



Łączny nakład sprzedanych książek **Szczepana Twardocha** przekroczył właśnie **MILION** egzemplarzy! Poznaj jedną z nich!



70 lat
Wydawnictwa
Literackiego

facebook.com/wydawnictwoliterackie
instagram.com/wydawnictwoliterackie
twitter.com/wydliit



Na wsi umiera się inaczej

PAWEŁ GRABOWSKI:

Gdyby zerknąć w papiery urzędników, opieka paliatywna na Podlasiu była zapewniona. A faktycznie opieka specjalistyczna na terenach wiejskich nie docierała.

GRZEGORZ NUREK: Limity i długi czas oczekiwania na przyjęcie do hospicjów, szpitali, które nie palą się do przyjmowania terminalnie chorych, karetki, które nie przyjeżdżają po seniorów, leki przeciwbólowe dla wybranych, niska refundacja kosztów pobytu pacjentów w hospicjach ze strony NFZ. Obraz daleki od rzeczywistości?

PAWEŁ GRABOWSKI: Pewnie nie-daleki; do większości hospicjów trzeba dziś długo czekać na przyjęcie. Tak do stacjonarnych, jak i domowych hospicjów to zazwyczaj kilka tygodni. Choć od czasu, gdy otworzyliśmy hospicjum w Makówce, do hospicjów stacjonarnych w regionie (Białostocka) pacjenci przyjmowani są na bieżąco. Gdy pacjentowi został tydzień życia, czekanie dwa, trzy tygodnie na przyjęcie jest równoznaczne z tym, że wsparcia nie otrzyma. Porównuję to z opieką położniczą. To tak, jakby kobiecie w ciąży powiedzieć: „Bardzo nam przykro, ale możemy panią przyjąć najwcześniej za rok, bo skończyły się nam limity, a boimy się przyjmować ponad wyznaczony limit, proszę szukać pomocy u sąsiadki”. System dziś bardziej służy urzędnikom niż pacjentom. Lekarze i pielęgniarki wykonują mnóstwo papierkowej, biurokratycznej pracy, zajmuje to dużą część ich czasu w hospicjum. Często nie płaci się nam za nadwykonanie. Teraz otrzymaliśmy propozycję obniżki stawki za osobodzień w hospicjum domowym. Nie zgadzamy się z tą propozycją, mam nadzieję, że w toku negocjacji uda się nam dojść do porozumienia.

Gdyby został Pan ministrem zdrowia, jakie zmiany legislacyjne i systemowe wprowadziłby Pan, aby poprawić opiekę paliatywną w kraju?

(*śmiech*) Nie zostabym. Pamiętam wnioski, które wyciągnęli eksperci Światowej Organizacji Zdrowia prawie czterdzieści lat temu na konferencji w Ottawie. Otwarcie po-



Najważniejsze są profesjonalizm, życzliwość, cierpliwość i uśmiech

wiedzieli: nie ma takiej opcji, aby ze środków publicznych zabezpieczyć wszystkie potrzeby zdrowotne społeczeństwa. Nie ma tak bogatych państw. To nie jest możliwe ani w Polsce, ani na świecie. Konstytucja w Polsce zapewnia równy dostęp do opieki zdrowotnej ze środków publicznych. W praktyce różnie z tym jest – na wsiach dostęp do opieki jest dużo gorszy. Oczekiwanie od ministerstwa, że zapewni środki publiczne na pełną ochronę zdrowotną w każdym aspekcie, jest mrzonką – to niemożliwe. Pojawia się pytanie: co powinno się znaleźć w tzw. koszyku usług podstawowych. Tak jak każdy ma prawo urodzić się w godnych warunkach pod specjalistyczną opieką np. położnych i lekarzy, tak każdy ma prawo, aby koniec życia również przeżyć godnie. Nie każdemu trzeba będzie robić dializę, wstawiać rozrusznik serca, nie każdy będzie miał operację wyrostka robaczkowego, ale każdy się urodził i każdy umrze. Dobrze by było mieć pewność, że

u kresu życia zostaną zaspokojone nasze zdrowotne potrzeby. To nie są drogie procedury.

W naszej wiejskiej okolicy jesteśmy trochę takim laboratorium społecznym. Gdyby zerknąć w papiery urzędników, opieka paliatywna na Podlasiu była zapewniona. A faktycznie opieka specjalistyczna na terenach wiejskich nie docierała.

Co jeszcze by Pan zmienił?

Starabym się o zmianę poziomu finansowania opieki. Często wiadać przed kościołami wolontariuszy zbierających do puszek datki na hospicja. To wspaniale, że organizacje pozarządowe mogą prowadzić zbiórki, tylko czy to tak zawsze powinno wyglądać? Działalność hospicyjna jest niedostatecznie dofinansowana przez państwo. Chciałbym, aby profesjonalna opieka w hospicjach była realnie i uczciwie wyceniana. To oczywiste, że hospicja domowe generują oszczędności. Dla systemu jest taniej, gdy chory przebywa we własnym domu. Jeśli nie

trzeba finansować niepotrzebnych hospitalizacji czy leczyć powikłań wynikających z zaniedbań w opiece (np. odleżyn), mówienie o oszczędnościach na tym etapie chorowania staje się mówieniem o rzeczach oczywistych.

Jeśli zaś idzie o przyjęcie pacjenta do hospicjum stacjonarnego, powinien o tym decydować stan chorego, a nie to, czy jego chorobę można znaleźć w ministerialnych rozporządzeniach. W Polsce np. to, że pacjent umiera na niewydolność serca czy nerek, nie stanowi wystarczającej przesłanki, aby trafić do hospicjum. Nie na każdą chorobę można umrzeć pod opieką specjalistów. W miastach jest dużo łatwiej o specjalistów, lekarzy i pielęgniarki, niż na obszarach wiejskich. Na podlaskich wsiach na kilometr kwadratowy mieszka kilkanaście osób. To oznacza także dużo wyższe koszty dojazdu. I czas na dojazd do chorych jest dłuższy niż w miastach.

Ułatwiłbym też dostęp do leków opiodowych. Nie wiem, jak stygmatyzacja tych leków miałaby być przeciwdziałaniem narkomanii. Czasem lekarz musi przepisać pacjentowi cierpiącemu na ból morfinę. Dlaczego ten lek musi być przechowywany jedynie w aptekach, a nie w punktach aptecznych? Na obszarach wiejskich często nie ma aptek, są niekiedy tylko punkty apteczne. Rodzina musi szukać kogoś, kto pojedzie do miasta i tam w apteczkę nabędzie morfinę. I zdarza się, że osoba cierpiąca otrzymuje lek przeciwbólowy na drugi, trzeci dzień.

Zmieniłbym ponadto skład zespołów hospicyjnych. Zatrudnienie dzisiaj pielęgniarzek do pracy w hospicjum domowym to ekstremalnie trudna rzecz. Bardzo trudno znaleźć personel. Dopuszczałbym do tych zespołów opiekunki medyczne. Dzięki szkoleniu mają prawo do pobierania krwi, wkłuwania weńflonów. Wprowadziłbym większą elastyczność w dopasowaniu opieki w stosunku do potrzeb pacjentów. Czasem pielęgniarka mogłaby przyjechać do chorego rzadziej, niż to przewiduje rozporządzenie, czasem lekarz mógłby pojawić się częściej. To wszystko musiałoby się opierać na zaufaniu i uczciwości wobec pracowników instytucji, a przede wszystkim na dobru pacjenta. Bo elastyczność w opiece oczywiście

rodzi ryzyko nadużyć. Ktoś mi opowiadał, że w jednym z domowych hospicjów pielęgniarka jedzie do chorego raz, a bierze od niego dwa podpisy. Skłoniłbym do współpracy zespoły hospicyjne i lekarzy rodzinnych. Aby hospicjum nie było samotnym żaglem na oceanie, ale by współpracowało z innymi pomagaczami w regionie. To pozwoliłoby obniżyć koszty opieki i uczynić ją bardziej efektywną.

Interesującym pomysłem jest powoływanie koordynatorów opieki nad osobami starszymi i chorymi na terenie danej gminy. Tym pomysłem zainteresowali Państwo nawet Unię Europejską. Jak realizacja pomysłu wygląda w praktyce?

Dawniej, aby utworzyć hospicjum domowe, należało wedle rozporządzenia NFZ przyjąć pracownika socjalnego. Potem z tego wymogu zrezygnowano. Może szkoda, bo taki pracownik mógł w wielu kwestiach pomóc. Z mojego doświadczenia wynika że koordynator opieki osób zależnych powinien pracować w hospicjum. To nie może być kolejny gminny urzędnik. Powinna to być osoba, która po pierwsze zbada zasoby instytucji i osób pomagających w regionie, po drugie zbuduje z nich sieć i integruje kontakty pomagających. Przedstawiciele instytucji podpisują deklarację współpracy. To mogą być lekarze rodzinni, pielęgniarki środowiskowe, ośrodki zdrowia, zespoły charytatywne przy parafiach, koła gospodyń wiejskich, strażacy. Można wydobyć szkolenia dla nich i my to robimy.

I to się sprawdza?

Rewelacyjnie, choć różnie w różnych miejscowościach. W jednym z ośrodków zdrowia lekarze nie byli zainteresowani tym, aby czegoś więcej od nich wymagano. Tłumaczymy, że nie chcemy wiele więcej, niech każdy robi to, co dotychczas, tylko abymy o sobie wiedzieli i mogli niekiedy na siebie liczyć. Czasem to my, pracownicy hospicjum, możemy udać się z wizytą do pacjenta, czasem może nas w tym zastąpić lekarz rodzinny. Dzięki takiemu wszechstronnemu wsparciu rodziny zajmujące się chorymi stają się wydolne opiekuńczo. Koordynator zna potrzeby chorych i starszych w regionie. Wie, gdzie potrzebny jest chodzik, tóżko inwalidzkie, remont łazienki, by do-



stosować ją do potrzeb inwalidy. Wie, gdzie występować o granty i dofinansowanie. Wyremontowanie łazienki jest poza moim zasięgiem, ale koordynator wspólnie np. z urzędem gminy może zlecić potrzebny remont.

W Makówce na Podlasiu założył Pan hospicjum stacjonarne. Wcześniej, też na Podlasiu, hospicjum domowe. Z dała od wielkich miast, na terenach wiejskich. Iloma osobami się Państwo opiekują? Na jak dużym obszarze?

Hospicjum domowe założyłem trzynaście lat temu we wsi Nowa Wola koło Michałowa. Dwa lata temu uruchomiłem hospicjum stacjonarne w Makówce. Tam docelowo będziemy przenosić biura fundacji i hospicjum domowego. Opiekujemy się chorymi na obszarze pięciu gmin w dwóch powiatach, czyli na obszarze ponad dwóch tysięcy kilometrów kwadratowych. Ograniczają nas jedynie braki kadrowe. Trudno o pielęgniarki; lekarzy, którzy dojeżdżają do pacjentów, mamy czterech. To stosunkowo niewiele. Zdarza się że niekiedy musimy odmówić dojazdu.

Ile trzeba, by dokończyć wyposażenie hospicjum stacjonarnego w Makówce?

Budynek jest ukończony i wstępnie wyposażony. Dokupujemy sprzęt. Dwa skrzydła budynku już są otwarte, trzecie uruchomimy, jak tylko będzie trzeba. To, co otrzymujemy z NFZ, starcza nam jedynie na cztery piąte wynagrodzeń personelu. Na jedną piątą wynagrodzeń, na leki, środki opatrunkowe, środki czystości musimy dozbierać. To trochę upokarzające. Nie zarabiamy kokosów. I nie jesteśmy w stanie utrzymać bez wsparcia darczyńców.

Pandemia koronawirusa obnażyła słabość i niedofinansowa-

nie systemu ochrony zdrowia w Polsce. W początkowej fazie pandemii w wielu hospicjach i szpitalach brakowało środków dezynfekcyjnych i maseczek. Wstrzymano na kilka miesięcy wizyty rodzin u pacjentów hospicjów. Jak to wyglądało w Makówce? Czego pandemia Państwa nauczyła?

Stacjonarne hospicjum zaczęło funkcjonować w końcówce pandemii. Natomiast w ramach hospicjum domowego jeździliśmy do pacjentów. Uznałem, że nie da się leczyć przez telefon, że często nie da się zdalnie postawić prawidłowej diagnozy. Wiele razy okazywało się, że miałem rację. Rodzina mówiła, że chorego bardziej boli, na miejscu okazywało się, że to raczej depresja i odwodnienie. Nie trzeba było zwiększać dawki leku przeciwbólowego. Nie ukrywam, że często musieliśmy świecić oczami za nietetyczne zachowania czy zaniedbania naszych kolegów i koleżanek po fachu.

Ale też gwoździ sprawiedliwości trzeba dodać, że wielu lekarzy, szczególnie na oddziałach zakaźnych, walczyło heroicznie na pierwszej linii frontu.

Koleżanki i koledzy lekarze byli potężnie wyczerpani. Jedna z koleżanek zadzwoniła do mnie niemal z płaczem, gdy po dyżurze robiąc zakupy w sklepie usłyszała za plecami: „Popatrz, zaraz nas k... poraża i pozabija!”.

Spółeczeństwo się starzeje, z każdym rokiem lawinowo przybywa seniorów potrzebujących opieki. Czy liczba hospicjów jest wystarczająca?

Część zadań przejmują zakłady opiekuńcze, opiekuńczo-lecznicze, domy pogodnej starości, DPS-y, ale hospicjów moim zdaniem jest zbyt mało.

Działalność HOSPICJUM PROROKA ELIASZA można wesprzeć

poprzez wpłaty na konto:
81 1050 1953 1000 0090 3150 6141,
Fundacja Hospicjum Proroka Eliasza,
ul. Szkolna 20, 16-050 Michałowo,
tytuł wpłaty:
Wspieram życie u jego kresu.

Zetknął się Pan z księżmi Tischnerem i Kaczkowskim, postaciami ważnymi dla środowiska „Tygodnika Powszechnego”. Mieli wpływ na Pana drogę życiową. Czego Pana nauczyl?

Studiowałem filozofię na Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie równocześnie z medycyną. Filozofii nie ukończyłem, ale przez dwa lata uczęszczałem na wykłady ks. Tischnera. Najbardziej jednak zapamiętałem treść kartki, jaką wręczył opiekunce, ciężko już chory, nie mogąc mówić: „Nie uszlachetnia”. Miał na myśli cierpienie. Często się na to powołuję, gdy ktoś mnie pyta o cierpienie. Może to trudne do przyjęcia, ale cierpienie ma sens. Na zdziwienie osoby pytającej odpowiadam: a gdy boli pania ząb, ma to sens czy nie ma? Ból to sygnał organizmu, że coś jest nie tak.

Natomiast ks. Kaczkowski był dla mnie ogromnym wsparciem, gdy zaczynałem pracę w hospicjum. On organizował swoje puckie hospicjum i dawał mi rady. Rozmawialiśmy wielokrotnie.

A czego uczą podopieczni hospicjum?

Każdy czegoś innego. A wszyscy cierpliwości, wyrozumiałości, miłości i tego, aby nie oceniać pochopnie ich i tych, którzy się nimi opiekują.

Rozmawiał GRZEGORZ NUREK



PAWEŁ GRABOWSKI – chirurg, bioetyk, specjalista medycyny paliatywnej. Założyciel i prezes Fundacji Hospicjum

Proroka Eliasza w Makówce na Podlasiu. Laureat m.in. I nagrody „Okulary ks. Kaczkowskiego. Nie widzę przeszkód”.

OD MICKIEWICZA PO SZEWCZENKĘ

165 lat temu młody przedsiębiorca Leon Idzikowski
otworzył w Kijowie polską księgarnię.

Stała się ośrodkiem intelektualnym,
który wpłynął na kulturę polską i ukraińską
na terenie carskiej Rosji.

STANISŁAW CALIK

BYŁA JESIEŃ ROKU 1850, GDY 23-LET-
ni Leon Idzikowski wyruszył w po-
dróż z Krakowa, w zaborze austriac-
kim, do Kijowa, jednego z większych
miast w państwie carów. Jechał za pra-
cą. Otrzymał atrakcyjną propozycję: kie-
rowania tamtejszą filią polskiej księgarni
Krystiana Teofila Glücksberga. Zgo-
dził się, bo był to ogromny skok w jego
karierze.

W Krakowie, gdzie się urodził, Leon
pracował w księgarni Józefa Czecha,
która specjalizowała się w książkach na-
ukowych, beletrystycznych i krajoznaw-
czych. Był stażystą, potem sprzedawcą,
a nawet zdobył doświadczenie jako poli-
graf – Czech miał własną drukarnię.

Sytuacja zmieniła się w lipcu 1850 r.,
kiedy w Krakowie wybuchł ogromny po-
żar, który ogarnął dużą część miasta. Spło-
nęła także księgarnia Czecha, a drukar-
nia została zamknięta. Leon stał się bez-
robotny. Propozycja wyjazdu do Kijowa
przyszła w samą porę. Co więcej, było to
stanowisko kierownicze. A że Glücksberg
mieszkał w Wilnie, 700 kilometrów od
Kijowa, zaś między tymi miastami nie
było połączenia kolejowego, Leon mógł
wypробować swoje pomysły na księgarnię.

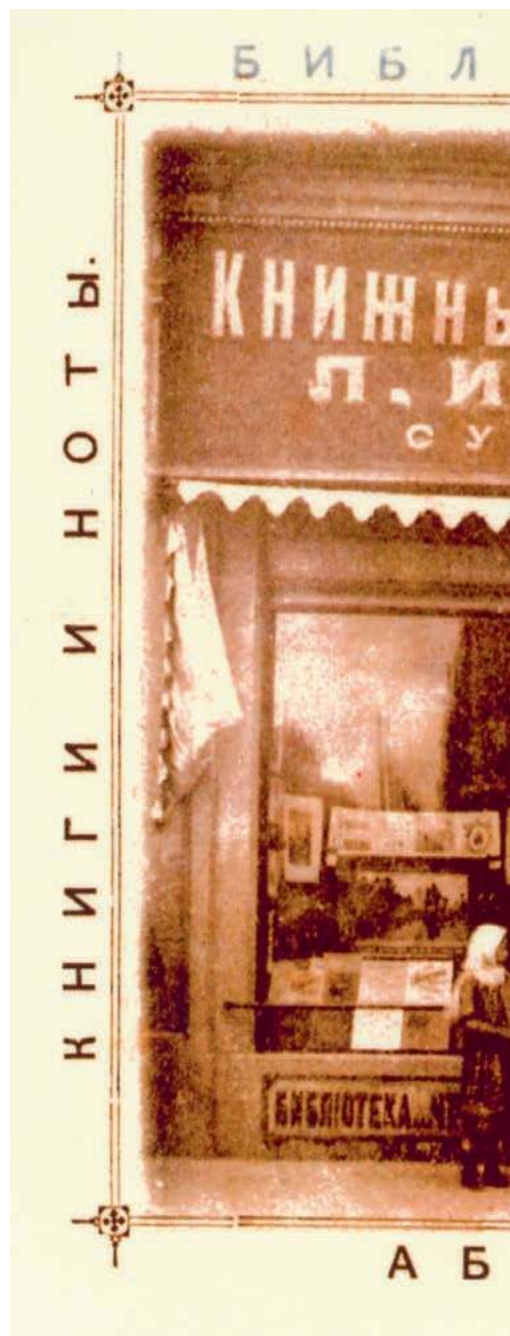
Choć nie od razu.

Dobre okładki, nieudane książki

Właściciel, Krystian Teofil Glücksberg,
znany był już z wydawania wczesnych
dzieł Adama Mickiewicza, prozy i kry-
tyki literackiej Michała Grabowskiego
i innych pisarzy. Posiadał tytuł księgarza
Cesarskiej Akademii Medycyny i Chirur-
gii. Swoją drukarnię w Wilnie wyposa-
żył w najnowsze wynalazki: maszynę
drukarską o dużej prędkości, maszynę
do zwijania papieru satynowego i kolek-
cję czcionek, która pozwalała drukować
książki w różnych językach.

Mógłby zostać liderem wśród wydaw-
ców, gdyby nie jedna rzecz. Krystian
Teofil skupiał się na zysku, zaniedbując
wszystko inne. Oszczędzał na honora-
riach, czasem „zapominając” o ich wy-
płacaniu, przez co pisarze odmawiali
dalszej współpracy. Korzystał z usług
niedoświadczonych redaktorów, ponie-
waż mógł im płacić mniej. Książki były
wydawane na wysokiej jakości papierze
i w pięknych okładkach, ale nie przycią-
gały zbyt wielu czytelników.

Idzikowskiemu nie było łatwo sprze-
dać takie produkty, choć czytelników
polskojęzycznych nie brakowało. W Ki-
jowie mieszkało ok. 30 tys. Polaków,
a wielu polskich ziemian przyjeżdżało
z rodzinami z okolicy na coroczne Targi



Kontraktowe, które odbywały się w Ki-
jowie zimą i trwały miesiąc. W samej
guberni kijowskiej mieszkało 89 tys. Po-
laków, a w sąsiednich podolskiej i wo-
łyńskiej odpowiednio 234 tys. i 134 ty-
siące.

Chociaż Leon dokładał wszelkich sta-
rań, by lepiej rozprowadzać książki, ki-
jowska filia osiągała skromny zysk. In-
teres mógłby być bardziej udany, gdyby
mieli lepszy asortyment.

Kiedy 62-letni Glücksberg, obciążony
długami, zdecydował się zamknąć biznes,
Leon postanowił otworzyć własną księ-



Witryna księgarni Leona Idzikowskiego z reklamy z 1890 roku.

garnię i wreszcie zrobić wszystko według swojej wizji.

Biznes Idzikowskich

Księgarnia naukowa „Leon Idzikowski” została otwarta 28 grudnia 1858 r. w parterowym budynku Mykoły Popowa przy głównej ulicy Kijowa, Chreszczatyku.

Energiczny 31-letni właściciel natychmiast rozpoczął działalność wydawniczą. Jego pierwszą publikacją były „Wspomnienia 1819-1823” Franciszka Kowalskiego. Później wydawał dzieła Bronisława Grabowskiego, Zygmunta Kacz-

kowskiego, Józefa Ignacego Kraszewskiego, Władysława Syrokomli i innych.

Ponadto zaskoczył mieszkańców Kijowa tym, że jako pierwszy w tym regionie imperium rosyjskiego zaczął drukować nuty. Początkowo był to kosztowny sposób działalności, gdyż brakowało doświadczonych rytowników i niezbędnego wyposażenia. Ze względu na niski popyt nakłady były niewielkie, a ceny wysokie.

Sytuacja zmieniła się po powstaniu styczniowym (1863-65), kiedy to władze rosyjskie ograniczyły wydawanie pol-

skich książek. Idzikowski skupił się więc na literaturze muzycznej. Zapotrzebowanie na nią wzrosło w tym czasie dzięki otwarciu kijowskiego oddziału Towarzystwa Muzycznego. Księgarz brał udział w jego działalności.

Nie stracił też kontaktu z głównymi polskimi ośrodkami – wkrótce na pierwszej stronie jego publikacji muzycznych pojawił się napis: „Dostawca Warszawskiego Instytutu Muzycznego”.

Leon Idzikowski zmarł w Kijowie w maju 1865 r., miał dopiero 38 lat. Zdążył →

→ opublikować ok. 100 utworów ukraińskich i polskich kompozytorów, a także znaczną liczbę dzieł literackich, naukowych (w tym profesorów Uniwersytetu Kijowskiego), podręczników itp.

W ciągu sześciu i pół roku stworzył markę, która stała się znana daleko poza Kijowem.

za pięć kopiejek dziennie

Działalność jednak nie ustała – kontynuowała ją wdowa, 33-letnia Hersylia Idzikowska.

Hersylia postanowiła nie zmieniać znanej już nazwy „Leon Idzikowski”. Do działalności wydawniczej dodała nowy obszar – bibliotekę. Każdy, kto nie może kupić książki, może ją przeczytać za symboliczną opłatą. Mała czytelnia w księgarni szybko przekształciła się w niezależną jednostkę, a firma wynajęła dla niej osobne pomieszczenie, również na Chreszczatyku. Teraz 500 osób mogło czytać książki jednocześnie.

W ciągu dwóch dekad zbiory biblioteczne osiągnęły stan 40 tys. egzemplarzy, a w ciągu następnych 20 lat zwiększyły się czterokrotnie. Była to największa prywatna wypożyczalnia na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej pod władzą Rosji, zwanych wtedy „ziemiami zabranymi” (z pierwszego i drugiego rozbioru). Czytelnikom oferowano literaturę w języku polskim, ukraińskim, rosyjskim, francuskim, angielskim i niemieckim.

Biblioteka prenumerowała również ponad 100 czasopism z terenu imperium Romanowów i ok. 200 zagranicznych czasopism, w językach niemieckim, angielskim, włoskim, hiszpańskim, jidysz i francuskim.

Odwiedzający płacił 5 kopiejek dziennie (filiżanka kawy w kawiarni obok wypożyczalni kosztowała 20 kopiejek). Stałym czytelnikom bardziej opłacało się wykupić jeden z pięciu rodzajów miesięcznych abonamentów. Najdroższy kosztował rubla i 85 kopiejek, i pozwalał na wypożyczenie pięciu książek dziennie oraz świeżych czasopism. Najtańszy kosztował 50 kopiejek – za książkę lub jedno czasopismo dziennie, po 10 miesiącach od otrzymania ich przez bibliotekę. Czytelnicy z innych miast lub wsi, a także studenci, otrzymali zniżki.

Biblioteka wprowadziła nową usługę – książki wysyłane pocztą. Mieszkańcy ukraińskich miasteczek mogli prenume-



Okladka muzycznego albumu „Liście spadają” wydanego przez Leona Idzikowskiego

rować czasopisma lub zamówić literaturę za jej pośrednictwem (obecnie księgarnie internetowe korzystają z podobnego modelu, wysyłając zamówione książki do czytelników).

Intelektualny ośrodek Kijowa

Rok 1897 był przełomowy dla firmy. Ówczesny jej prezes Władysław Bonifacy Idzikowski, syn Leona i Hersylii, kupił największe wydawnictwo muzyczne na Ukrainie, należące do Bolesława Korewy. Otrzymał również prawa wydawnicze do dzieł znanych ukraińskich kompozytorów, które wcześniej należały do Korewy.

„W maju 1897 r. – wspominał Władysław Bonifacy (pisząc o sobie w trzeciej osobie) – wydawca Bolesław Korewo wszystkie swoje ukraińskie wydawnictwa nutowe, wraz z dziełami M. Łysenki, sprzedał firmie Leona Idzikowskiego w Kijowie. Katalog wydawnictwa Bolesława Korewy zawierał prawie całą spuściznę licznych kompozytorów ukraińskich”.

W ten sposób firma stała się wyłącznym wydawcą dzieł nie tylko Mykoły Łysenki, założyciela ukraińskiej muzyki narodowej, ale także Mykoły Leontowycza, Kyryła Stecenki i innych, którzy są obecnie klasykami ukraińskiej szkoły kompozytorskiej. Księgarz zaprzyjaźnił się z niektórymi z nich, często ich odwiedzał, razem wyjeżdżali na wakacje.

W tym samym roku Idzikowski stworzył dwa nowe działy. Pierwszy, biuro koncertowe, prowadziła jego starsza sio-

stra Maria i jej mąż Czesław Jaszczejewski. Dzięki nim w Kijowie występowali Karol Szymanowski, Ignacy Paderewski, Władysław Żeleński, Emil Młynarski, Janina Korolewicz-Wajdowa, Mattia Battistini, Fiodor Szaliapin i wielu innych. Drugi dział, salon artystyczny z galerią sztuki, stał się jednym z ośrodków życia kulturalnego miasta. Wystawy i wydarzenia artystyczne gromadziły malarzy, pisarzy, naukowców, intelektualistów. Odbywały się tu spotkania, odczyty, debaty literackie.

Dwa lata później niedaleko głównej księgarni, również na Chreszczatyku, otwarto kolejną, pod nazwą „Władysław Idzikowski”. W tym czasie firma zatrudniała ponad 150 osób.

Wśród największych w Europie

Wydawanie polskiej beletrystyki i książek historycznych było jednak nadal utrudnione, ponieważ wieloletni zakaz carski nie został zniesiony. Idzikowski częściowo go omijał, drukując polskie książki w rosyjskiej drukarni kijowskiego biznesmena Iwana Czokołowa. Jednak za publikację książki Mariana Dubieckiego „R. Traugutt” o przywódcy powstania styczniowego został surowo ukarany – skazano go na trzy lata więzienia.

Sytuacja zmieniła się po rewolucji 1905 r., która zapoczątkowała okres względnej liberalizacji w państwie carów. Zakazy zostały zniesione, a w kijowskiej księgarni można było wznowić dział literatury polskiej. Na półki trafiły dzieła Juliusza Słowackiego, Jana Gnatowskiego, Józefa Kraszewskiego i Kornela Makuszyńskiego, wydawane w dużym jak na tamte realia nakładzie 1500 egzemplarzy. Ukazywały się także opracowania czołowych polskich muzykologów na temat twórczości Fryderyka Chopina i Stanisława Moniuszki.

Zniesiono również zakaz publikowania ukraińskich książek. Zakaz ten istniał od 1876 r., kiedy to car Aleksander II podpisał ukaz nazwany emskim. Idzikowski oferował odtąd czytelnikom szeroki wybór także książek ukraińskich, częściowo drukowanych przez siebie: od dzieł zebranych Tarasa Szewczenki i wydań wielotomowych największych pisarzy tamtych czasów, Łesi Ukrainki, Wołodymyra Wynnyczenki, Mychajły Kociubynskiego i wielu innych, aż po światową klasykę w tłumaczeniu na ukraiński. Jak również książki ukraińskich historyków



KAROL SZCZECIŃSKI / PAP

Prowizoryczna księgarnia z książkami i nutami pod szyldem firmy wydawniczej Leona Idzikowskiego, zlokalizowana w bramie wjazdowej do zniszczonego budynku przedwojennej siedziby firmy w Alejach Jerozolimskich 18. Warszawa, 1945 r.

Mychajły Hruszewskiego, Dmytra Jawornickiego, Mykoły Arkasa i innych.

W przededniu I wojny światowej firma „Leon Idzikowski” osiągnęła skalę największych wydawnictw w Europie. Współpracowała z wydawnictwami i księgarniami z Francji, Niemiec, Austrii, Włoch i Ameryki, otworzyła filie w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Wilnie, Odessie, Charkowie, Jekaterynosławiu (obecnie Dniepr), Petersburgu, Moskwie i innych miastach.

Ukryte rękopisy

Wraz z wybuchem wojny światowej Idzikowski przestał publikować poradniki kulinarne, przewodniki turystyczne i wydania krajoznawcze, które były popularne w czasach pokoju. Przerzucił się na antologię patriotyczne, zbiory pieśni oraz podręczniki.

Książki te sprzedawały się w astronomicznych nakładach. Na przykład „Elementarz” – 250 tys. egzemplarzy, „Elementarz Jagielloński” – 500 tysięcy. Nic

dziwnego, skoro przed wojną liczba Polaków w Kijowie sięgała 50 tys. osób, czyli 10 proc. ludności miasta, a w czasie wojny liczba społeczności polskiej wzrosła do 80-100 tys. z powodu napływu uchodźców z guberni zachodnich, zajętych przez wojska niemieckie i austriackie.

Wiosną 1917 r. imperium carskie przestało istnieć, a na jego terenie rozpoczął się czas wojen, przewrótów, rewolucji i tworzenia nowych państw. Kijów stał się stolicą jednego z nich – Ukraińskiej Republiki Ludowej, a jeden z autorów wydawnictwa, historyk Mychajło Hruszewski, stanął na jego czele. Jednak bolszewicy, którzy przejęli władzę w Rosji jesienią 1917 r., nie mogli zaakceptować istnienia niepodległej Ukrainy i rozpoczęli przeciw niej wojnę.

Dwie bolszewickie okupacje Kijowa w 1918 i 1919 r. oznaczały koniec istnienia firmy. Zaczął się czerwony terror, krwawy „taśmociąg” politycznej policji Czeki pracował bez przerwy. Dwie księgarnie i biblioteka zostały obrabowane i częściowo spalone. To, co ocalało, bolszewicy znacionalizowali. Idzikowskiemu udało się uratować życie, ale ukryć zdołał tylko najcenniejsze rzeczy: rękopisy ok. 660 dzieł znanych ukraińskich kompozytorów.

Większość ze znacionalizowanych książek zaginęła. Resztki trafiły do Centralnej Biblioteki Polskiej w Kijowie, później do Instytutu Polskiej Kultury Proletariackiej. Dziś zaledwie ok. 600 tomów ze stemplem „Leon Idzikowski” znajduje się w Narodowej Bibliotece Ukrainy. Dla porównania: w ciągu sześciu dekad swojego istnienia w Kijowie firma wydała ok. 7 tys. tytułów, a zbiory biblioteczne przed wybuchem wojny światowej liczyły ponad 173 tys. woluminów.

Krzyż Odrodzenia

Władysław Idzikowski myślał o przeprowadzce do Polski, która odzyskała niepodległość. Wszyscy członkowie rodziny – żona Seweryna, synowie Mieczysław i Wacław oraz córka Anna Maria – popierali ten pomysł (matka Władysława, Hersylia, już nie żyła; zmarła w 1917 r.). Okazja do wyjazdu nadarzyła się w 1920 r., gdy wojska polsko-ukraińskie wyparły, choć na krótko, bolszewików z Kijowa.

W Warszawie, dokąd trafili, ich firma „Leon Idzikowski” mieściła się przy ul. Marszałkowskiej 119 (wcześniej jej filia

działała tam od 1911 r.). W połowie lat 30. księgarnia, czytelnia i skład nut zmieniły adres na Aleje Jerozolimskie 18. W 1933 r. prezydent Ignacy Mościcki odznaczył Władysława Idzikowskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za zasługi dla rozwoju i organizacji polskiego księgarstwa.

Wypadałoby tu napisać, że dzieci kontynuowały szlachetne dzieło ojca i dziadka. Ale nie, takiej informacji nie ma. Wiadomo, że dwaj synowie księgarza do końca lat 30. mieszkali w Warszawie. Wacław został prawnikiem, przeżył wojnę, miał dwoje dzieci i zmarł w 1968 r. Nie wiadomo, jak potoczyły się losy Mieczysława, brak też informacji o losach Anny Marii.

Bieg dziejów

„W listopadzie 1914 r. spadkobiercy Mikołaja Łysenki – wspominał Władysław Idzikowski w 1936 r., niedługo przed 95. urodzinami kompozytora – sprzedali firmie »Leon Idzikowski« w Kijowie wszystkie jego dzieła i prawa do nich na zawsze i na wszystkie kraje. Chodziło tu, oczywiście, o dzieła, które nie były przedtem nabyte od nieodżałowanego wydawcy i propagatora muzyki ukraińskiej, Bolesława Korewy”.

Idzikowski zaproponował greckokatolickiemu metropolicie Andrejowi Szeptyckiemu odkupienie rękopisów wybitnych ukraińskich kompozytorów zabranych z Kijowa, z których ponad połowa była autorstwa Łysenki. Szeptycki zgodził się i w 1937 r. bezcenne papiery przeniesiono do Lwowa, gdzie stały się własnością biblioteki Szeptyckiego. Jak się wkrótce miało okazać, to je uratowało.

W momencie wybuchu II wojny światowej 75-letni Władysław Idzikowski pozostał w Warszawie i kontynuował dzieło życia. Zmarł w czerwcu 1944 r. Jego książki spłonęły wkrótce potem, podczas powstania warszawskiego. Żona, Seweryna, przeżyła męża o dwie dekady.

Tak zamknęła się historia polskiej rodziny, która znacząco wpłynęła na bieg dziejów ukraińskiej kultury.

© STANISŁAW CALIK

Autor (ur. 1962) jest ukraińskim pisarzem, historykiem i scenarzystą. Napisał kilkanaście książek non fiction i kilkadziesiąt scenariuszy filmów dokumentalnych. Obecnie mieszka w Polsce.

DRUGIE OKRĄŻENIE

Wyścig technologicznych gigantów po sztuczną inteligencję nabiera rozpędu. Pojawiają się nowe technologie i wybuchają nowe spory. Nadal jednak mało wiemy, jak te systemy działają.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

HABSORA TO PO HEBRAJSKU DOBRA nowina (czyli ewangelia). Tak nazywano system sztucznej inteligencji, który izraelska armia wykorzystuje do wyznaczania celów bombardowań w Strefie Gazy. System ponoć piekielnie skuteczny. Gdy uruchomiono go podczas wojny z Hamasem w maju 2021 r., generował sto celów dziennie – m.in.

prywatne domy osób podejrzewanych o współpracę z Hamasem lub Palestyńskim Islamskim Dżihadem. Na początku listopada siły zbrojne Izraela informowały, że dzięki Habsorze zidentyfikowały przeszło 12 tys. celów.

W oficjalnym komunikacie w tej sprawie zastrzegano, że system jedynie podaje rekomendacje, ale to ludzie podej-

mują ostateczną decyzję. Tylko czy człowiek ma cokolwiek do powiedzenia, gdy trzeba weryfikować taką ilość danych, czy może jego rola ogranicza się wyłącznie do przyklepania decyzji programu? „To jak fabryka. Pracujemy szybko i nie mamy czasu zagłębiać się w szczegóły. Jesteśmy oceniani na podstawie tego, ile celów wskażemy”; „Nacisk kładziony jest na

Sam Altman, stary-nowy dyrektor OpenAI, Seul, czerwiec 2023 r.

Fabryka

Pod pewnym względem Habsora nie jest niezwykła. To system, który na podstawie dostarczonych mu danych znajduje powiązania i wzorce – podobnie działają algorytmy mediów społecznościowych podstawiające nam pod nos reklamy. Ale właśnie w tym kryje się największe zagrożenie, przed którym od lat byliśmy ostrzegani. Wcale nie chodzi o to, że powstanie superinteligentny komputer czy program, który celowo albo przypadkiem zniszczy ludzkość. Budujemy w coraz większym tempie i stosujemy na coraz szerszą skalę systemy, które są omyłne, ale nierzadko traktujemy ich słowo, jak – *nomen omen* – ewangelię. Pół biedy, gdy chodzi o reklamy trampek w mediach społecznościowych. Gorzej, gdy sztuczna inteligencja decyduje o życiu i śmierci.

– Brak sceptycyzmu w kwestii stosowania wyników wypływających przez systemy uczenia maszynowego jest oczywiście ogromnym zagrożeniem – mówi „Tygodnikowi” prof. Dariusz Jemielniak, wiceprezes PAN, wykładowca Akademii Leona Koźmińskiego i Uniwersytetu Harvarda. – Łatwiej fantazjować o Terminatorze, niż dostrzegać, co się dziś dzieje. Mamy systemy na tyle zaawansowane, że na pierwszy rzut oka wydają się znośnie, ale wiemy, że konfabulują, popełniają błędy rzeczowe, a w dodatku nie mamy obecnie dobrych rozwiązań, jak te błędy wyłapywać.

Zysk

O tym, w którą stronę zmierza rozwój tego typu technologii, może świadczyć finał starcia, do jakiego doszło w zeszłym miesiącu w OpenAI, jednej z najważniejszych firm technologicznych świata. Jeszcze kilka lat temu było to centrum badań non-profit, którego celem miało być zbudowanie „bezpiecznej sztucznej inteligencji ogólnej dla dobra ludzkości”. W jej zarządzie zasiadali etycy i specjaliści od bezpieczeństwa. Tyle że badania kosztują, a w szczególności drogie są moce obliczeniowe do testowania nowych modeli sztucznej inteligencji. W 2019 r. powstało więc w OpenAI ramie komercyjne, które miało przycią-

gać inwestorów i przynosić zysk (ograniczony do tysiąckrotności rocznej inwestycji). Owo ramie miało być jednak nadzorowane przez zarząd organizacji non-profit, by chęć zysku nie przesłoniła misji. I tak było. Do zeszłego miesiąca.

Niemal dokładnie rok temu OpenAI była na szczycie – ChatGPT stał się najbardziej popularną i bardzo dochodową platformą konsumencką sztucznej inteligencji, a jednocześnie wydawało się, że misja związana z bezpieczeństwem nie jest zagrożona. Oczywiście spekulowano, do jakich niecznych celów można wykorzystać program, a użytkownicy prześcigali się w przełamywaniu jego zabezpieczeń (przykładowo, program odmawia wymyślania sposobów na przejęcie kontroli nad komputerem rozmówcy – chyba że się mu zasugeruje, że to tylko zabawa), ale OpenAI deklarowała niezmiennie, że celem jest bezpieczna sztuczna inteligencja. Jej prezes Sam Altman stał się niemal światowym guru od technologii, zapraszany do popularnych talk show i na spotkania z najważniejszymi politykami.

W zeszłym miesiącu niespodziewanie Altman wyleciał z pracy. Rada nadzorcza poinformowała, że „nie był konsekwentnie szczery w swojej komunikacji”. A już kilka dni później to członkowie rady stracili stanowiska, zaś Altman wrócił. Miało się tak stać przede wszystkim wskutek nacisków Microsoftu, który zainwestował w OpenAI łącznie 1,4 mld dol. i ma w niej ponoć 49 proc. udziałów. Natychmiast pojawiły się przypuszczenia, że do pozbycia się Altmana doszło z powodu jego zbytnej uległości wobec domagających się zysków inwestorów. Przy okazji wyszło też na jaw, że choć sam prezes wiele publicznie mówił o bezpieczeństwie, z jego polecenia wysłannicy OpenAI lobbowali w Waszyngtonie i Brukseli za rozwodnieniem przepisów umożliwiających kontrolę systemów sztucznej inteligencji. Wygląda więc na to, że w toczącym się od lat w Dolinie Krzemowej symbolicznym sporze między bezpieczeństwem a wielką kasą właśnie wyłonił się zwycięzca. A teraz może to już być wyścig wyłącznie o to, kto wyłoży większe pieniądze, a później więcej na tym zarobi.

Konkurencja

W tym wyścigu praktycznie nie ma już start-upów, pozostali tylko technologiczni giganci. 6 grudnia Google

ilość, a nie jakość”, „Człowiek przegląda cele przed atakiem, ale nie spędza na tym zbyt wiele czasu” – to tylko niektóre wypowiedzi informatorów brytyjskiego „Guardiana” oraz izraelsko-palestyńskich „+972 Magazine” i „Local Call”, które przeprowadziły dziennikarskie śledztwo w sprawie wykorzystywania sztucznej inteligencji przez izraelską armię.

→ zaprezentowało swoją odpowiedź na GPT – Gemini, model reklamowany jako najlepszy w swojej klasie. Gemini osiąga najlepsze wyniki w 30 z 32 powszechnie stosowanych akademickich testów porównawczych, wykorzystywanych w badaniach dużych modeli językowych. I to bez względu na to, czy dane wejściowe są tekstem, obrazem czy dźwiękiem. Prezes Google Sundar Pichai podczas konferencji prezentującej Gemini podkreślał, że jest to pierwszy w historii model, który przewyższył ludzi w MMLU (*massive multi-task Language Understanding*), czyli zestawie testów do pomiaru wydajności, obejmującym m.in. czytanie ze zrozumieniem, nauki społeczne, matematykę na poziomie uniwersyteckim i quizy wielokrotnego wyboru z fizyki oraz ekonomii. W przypadku pytań tekstowych Gemini uzyskał wynik na poziomie 90 proc., eksperci – około 89 proc. (najmocniejszy model OpenAI, czyli GPT-4 uzyskuje 86 proc.).

W tym wyścigu tak ważny jest aspekt finansowy, bo systemy sztucznej inteligencji są drogie. Nie chodzi tylko o wysokość pensji specjalistów, którzy je budują (nierzadko porównywalne z wynagrodzeniami gwiazd Premier League). Procesor graficzny Nvidia Hopper H100 o pojemności 80 GB, czyli kluczowy element sprzętu do uczenia maszynowego, kosztuje około 15 tys. zł, a do wytrenowania systemu AI potrzebne są tysiące takich urządzeń. Tylko około 20 firm na świecie zdecydowało się na takie inwestycje.

O tym, jak wyścig technologiczny idzie ręką w rękę z wielkimi pieniędzmi, świadczy informacja, która wyszła na jaw kilka dni temu – OpenAI zadeklarowała, że zainwestuje 51 mln dol. w start-up Rain AI, który buduje wzorowane na ludzkim mózgu mikrochipy mające stukrotnie przyspieszyć obliczenia wykorzystywane w systemach sztucznej inteligencji (Sam Altman osobiście miał za inwestować w to 1 mln dol.) Jeśli Rain AI zrealizuje projekt, GTP i inne programy OpenAI dostaną mocne sterydy.

Sedno problemu pozostaje jednak niezmienne. – Absolutnie nie rozumiemy, jak działają takie systemy – mówi prof. Michał Kosiński, psycholog i badacz

W toczącym się
w Dolinie Krzemowej sporze
między bezpieczeństwem
a wielką kasą wyłonił
się zwycięzca.

**To już wyścig głównie
o to, kto wyłoży większe
pieniądze i więcej zarobi.**

sztucznej inteligencji na Uniwersytecie Stanforda. – Jesteśmy w stanie zrozumieć podstawę, czyli działanie pojedynczego neuronu w głowie człowieka czy GPT-4, ale nie jesteśmy w stanie ogarnąć umysłem tej całej złożoności. Co więcej, musimy przyjąć do wiadomości, że nie będzie to dla nas możliwe, dlatego że takie systemy będą stawały się coraz bardziej skomplikowane. Gdy wydajność systemu znacznie przewyższa wydajność człowieka, to człowiek traci możliwość oceny tego, jak dobry jest ten system.

Kontrolki

To, co już wiemy o takich systemach, powinno sprawić, że zapalą się czerwone kontrolki.

Coraz wyraźniej dające się we znaki problemy związane ze sztuczną inteligencją chyba najlepiej skatalogował Barry Cousins, analityk Info-Tech Research Group. Pierwszy z nich, który można uznać za fundamentalny, to „stronniczość próbek”. Każdy system uczenia maszynowego jest szkolony na pakietach danych i na tej podstawie wyszukuje powiązania i tworzy odpowiedzi. Np. system, który ma rozpoznawać obiekty na zdjęciach, nauczy się, jak rozpoznać kota czy krzesło, jeśli dostanie odpowiednio dużą liczbę skatalogowanych uprzednio zdjęć. Podobnie sam może się nauczyć rozpoznawania „bojownika Hamasu”. Problem w tym, że zestaw danych treningowych nie jest – bo nie może być – kompletny, jest dobierany przez człowieka, wreszcie to człowiek nadaje da-

nym etykiety, na podstawie których system się szkoli. Wszędzie tu jest miejsce na błąd.

Drugi problem pojawia się w konsekwencji prób naprawienia problemu numer jeden. Część firm, m.in. OpenAI, wbudowuje w swoje systemy mechanizmy, które mają korygować wypaczenia wynikające ze stronniczości danych szkoleniowych. Skutkiem tego system prezentuje odpowiedzi zgodne z oczekiwaniami jego twórców, bez względu na dane szkoleniowe. W przypadku ChatGPT są to poprawne politycznie odpowiedzi, które mają nie wywoływać kontrowersji.

Trzeci problem to „stronniczość wynikająca z ignorancji” – system może szybko generować odpowiedzi na raczej konwencjonalne pytania, ale nie poradziłby sobie dobrze z problemami czy zagadkami zupełnie nowego typu, z którymi my sami jeszcze się nie mierzyliśmy. Jeszcze bardziej intrygująca jest „stronniczość okna Overtona”. Okno Overtona to politologiczny termin oznaczający tematy dopuszczalne w publicznym dyskursie. W przypadku AI – systemy szkolone są na danych, które często są sprzeczne lub pełne niewiarygodnych wniosków. System trzyma się więc tego, co „dopuszczalne”, a niekoniecznie prawdziwe.

Piąty, ostatni problem związany z uczącymi się systemami i zidentyfikowany przez Cousinsa wynika z tego, jak działamy my sami. To „stronniczość wynikająca z szacunku” – użytkownicy nadmiernie polegają na technologii, własną intelektualną swobodę oddając w gruncie rzeczy eksperymentalnemu wciąż oprogramowaniu.

Model Q*

– Jeśli wszystko jest definiowane przez ChatGPT, jeśli to jest nasz wyznacznik rzeczywistości, tak jak stało się już z (wyszukiwarką) Google, to jak to zmieni naszą świadomość, politykę czy sposób, w jaki pracujemy? – zastanawiał się w rozmowie z nami prof. Aleksander Mądry, badacz z Massachusetts Institute of Technology i specjalista od bezpieczeństwa w OpenAI. – Jeśli wszyscy korzystamy z jednego modelu, to nie ma znaczenia, czy jego twórca stara się nami manipulować, czy nie, bo w system zawsze jest wbudowany jakiś system war-

tości. Nieważne, czy jest dobry, czy zły. Jest jeden, a powinno ich być wiele.

„Nie mieliśmy czasu, by zastanowić się, jak budować te systemy, bo zawsze byliśmy zajęci gaszeniem pożarów” – tak w listopadzie 2021 r. na konferencji RE:WIRED swoją pracę w Google opisywała Timnit Gebru. Etiopska badaczka kierowała w Google zespołem, który zajmował się etyką w stosowaniu sztucznej inteligencji. W 2020 r. zmuszono do odejścia z firmy ją i większość jej współpracowników. Podobne zespoły zniknęły lub zostały zredukowane m.in. w Meta, Twitterze i Microsoftzie.

Podobną funkcję w pewnym sensie pełnił do zeszłego miesiąca też zarząd OpenAI. Oficjalnie do tej pory nie wiadomo, co było impulsem, który sprawił, że zarząd akurat teraz postanowił dokonać przewrotu. Jedną z pojawiających się pogłosek mówi, że obawy miał wzbudzić nowy system opracowywany przez firmę. Model Q* ponoć świetnie radzi sobie z podstawowymi zadaniami matematycznymi. To mogłoby być przełom,

bo istnieje zasadnicza różnica między modelami językowymi sztucznej inteligencji, które wykorzystują metody statystyczne do określenia prawdopodobieństwa wystąpienia danego słowa ciągu wyrazów, a modelami rozwiązującymi działania matematyczne, w których zawsze prawidłowa jest tylko jedna odpowiedź. „Reuters” po wybuchy afery z Altmanem podał, że część naukowców OpenAI miała ostrzegać zarząd, że Q* może stać się zagrożeniem dla ludzkości. Spekulowano, że jednym z powodów zwolnienia prezesa była obawa przed tym, że zbyt szybko będzie go chciał skomercjalizować.

Pozory

– Sądzę, że nawet jeśli nastąpił jakościowy przełom, to nie można mówić jeszcze o sztucznej inteligencji typu ogólnego. Mamy z tym zresztą problem, bo dobrych testów nie ma i raczej nie będzie. Dobrze udawanie, że się jest świadomym, koniec końców jest nieodróżnialne zewnętrznie od bycia świadomym – twierdzi prof. Jemielniak.

„Guardian” przypomniał ostatnio, że 40 lat temu na ekrany kin wszedł film „Gry wojenne”. Jego główny bohater, nastolatek, włamuje się do superinteligentnego komputera amerykańskiego Departamentu Obrony i nieświadomie doprowadza świat na krawędź nuklearnego armagedonu. Uda się mu zapobiec, gdy komputer po grze w kółko i krzyżyk z chłopakiem uczy się, że wojna atomowa nie może mieć zwycięzcy. „Dziwna gra. Jedynym zwycięskim posunięciem jest nie grać” – stwierdza komputer. Ironią jest, że w czasie gdy publiczność zachwycała się tym filmem, prawdziwy armagedon, który mogły wywołać maszyny, powstrzymał człowiek – radziecki oficer, który nie zaufał fałszywym wskazaniom zautomatyzowanego systemu wczesnego ostrzegania i nie wykonał rozkazu odwetowego ataku nuklearnego na USA.

W przypadku „zbuntowanej” sztucznej inteligencji wystarczy ktoś, kto wyłączy wtyczkę.

© AGATA KAŻMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

REKLAMA

LIVE IN CONCERT

ANDREA ^{30TH} BOCELLI
ANNIVERSARY

24 SIERPNIA 2024

PGE NARODOWY, WARSZAWA

BILETY: BILETSERWIS.PL



JACEK

Podsiadło:

O co chodzi z tym rozmarynem



W CZASACH, KIEDY WOJNA SPROWADZONA ZOSTAŁA DO POSTACI HYBRYDY, PIOSENKA „O mój rozmarynie” domaga się zrewidowania i zredefiniowania, gdyż mieści w sobie w całości gabaryty ducha Żołnierza Polskiego i wspaniale oddaje stan tego ducha

w godzinie próby. Zaczyna się inwokacją do przyprawy tylko dla zmylenia wroga, aby skierować go w maliny, podczas gdy zamaskowany rozmarynem Żołnierz Polski dobierze się do jego piwniczki. Piosenka zaraz na wstępie wyjaśnia, że Żołnierz Polski wywodzi się w prostej linii z niespełnionej miłości, gdyż bohaterski narrator zapowiada, że z rozmarynem na wierzchu pójdzie się oświadczyć bliżej nieokreślonej Marynie i dopiero jak ona powie „Nie kocham cie”, to on jej pokaże, na co go stać. Zaciągnie się mianowicie do wojska, gdzie dadzą mu „uniform popielaty”, żeby nie tęsknił „do swej chaty”. Ponieważ jest to Żołnierz Polski, zanim uda się na front, musi się narębać, toteż dadzą mu również „manierkę z gorzałczyną”. Za sprawą gorzałczyny zarówno znajdzie rym do dziewczyny, jak też i przestanie za nią tęsknić. Jasno z tego widać, że chodzi o zalenie się w trupa, gdyż Żołnierz Polski pijany, ale zachowujący choć promil świadomości, tęskni za dziewczyną jeszcze bardziej niż na trzeźwo, ponieważ jest jej wierny.

Zabieg przeniesienia wierności żołnierskiej z obiektu przeciwpłciowego na obiekt patriotyczny nie może się dokonać bez ofiar. Na bezkresnych polach logiki poległ m.in. Piewca Piosenki Polskiej Tomasz M. Lerski. W świętącej stulecie Niepoprawności książce „Sto lat piosenki!” śmiałoymi pociągnięciami pióra zapisał, iż „Rozmaryn miał ongiś wielkie znaczenie w polskiej tradycji ludowej, traktowany jako symbol wierności. Wierności nie tylko w uczuciach, ale też wierności sprawom tak wzniosłym jak ojczyzna, jak jej wolność, honor, godność...”. To by się chłop polski zdziwił, gdyby wiedział, jakim wzniosłościom służy, rżnąc głupa za pomocą pługa lubo młócąc niewiastę!

W dalszej części utworu Żołnierzowi Polskiemu dadzą też „szkaplerzyk z Matką Boską”, żeby go broniła pod

Moskwą, z czego można wnioskować o umiarkowanym zaufaniu, jakim obrońca naszych podmoskiewskich granic darzy oręż właściwy, w który Ojczyzna go wyposaży, tj. ostrą szabelkę. Żołnierz Polski zapowiada, że kiedy „wyjdzie na wiarusa”, tzn. będzie już napity, zuniformizowany i niedozbrojony, to da Marynie szansę opamiętać się, czyli pójdzie do niej jeszcze raz i zapyta, czy na pewno ma zaznaczyć odpowiedź de. Chyba tylko kobieta zdolna jest tak się wyzuć szacunku dla munduru, tak pogardzić życiem ludzkim, żeby w tej dramatycznej sytuacji powiedzieć: „Tak, definitywnie proszę, zaznacz odpowiedź de: nie wydam się”. Wtedy on już musi się „poświęcić”, znaczy się pójść z szabelką tam, gdzie „kule świszczą i bagnety błyszczą”. Następnie nastąpi najbardziej wzruszający moment utworu, bo Żołnierz Polski ogłasza, że skoro Maryna nie chce, to śmierć go pocałuje.

Piosenki bojowe takie jak „O mój rozmarynie” są bardzo potrzebne naszej Kulturze Narodowej ze względu na to, że mają one charakter łabędziego śpiewu. Gdyby ich nie było, pijany Żołnierz Polski musiałby chyba umierać za Ojczyznę z tradycyjnym „Sto lat” na ustach. Na wypadek, gdyby Żołnierz Polski chciał ruszyć na wroga dodając sobie animuszu tą właśnie pieśnią, której jest bohaterem, serwis Wolne Lektury podsuwa mu narzędzie o nazwie „Leśmianator”. Klikając przycisk „miksuj tekst utworu” otrzymuje się od Leśmianatora gotową wersję pijacką, dzięki czemu Żołnierz Polski nie musi bełkotać samodzielnie. Podejrzewam, że sam Leśmianator potężnie daje w dziób w godzinach pracy, gdyż odpaliwszy go u początków niniejszego felietonu, otrzymałem wersję zaledwie podchmieloną „O mój rozmarynie kocham cisawego”, na finiszu zaś było to już z daleka zalatujące denaturatem „Pójdę do jedynej – / kabaciągnę się, / a jak mi ostrzelcy maszerują, strogami / i się”.

Pocałunek śmierci spowoduje, iż Żołnierz Polski stanie się martwy. Nieboszczyka zaniosą Marynie, żeby się przekonała na własne oczy, do czego doprowadziła swoją nieprzeжданą postawą. Wtedy ona, korzystając z okazji, że będzie już za późno, „zaleje się łzami”. Jednak Żołnierz Polski będzie do niej żywił urazę do końca, a nawet jeden dzień dłużej, bo już leżąc w mogile zwróci się do Maryny spod ziemi w krótkich żołnierskich słowach: „Nie chciałaś mnie kochać, nie roń teraz łez”.

Wiedząc, że bohater nasz jest już dogłębnie nieżywy, nie zdziwimy się, iż jego przemowa końcowa i bez pomocy Leśmianatora jest pozbawiona sensu. Chyba że słowa „Za tę naszą ziemię skąpaną we krwi, za nasze kajdany, za wylane łzy” potraktujemy jak toast z za grobu, co może i jest najlepszym wyjściem z tej niezręcznej sytuacji. ©

Serwisy specjalne: patrz szerzej

POLSKA SZKOŁA

Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOŁA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK
SPECJALNY
„TP” 51/2023



SPORTOWCY DLA NIEPODLEGŁEJ. KATYŃ



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE x 3

Polska reprezentacja narodowa w łucznictwie podczas treningu. Szósty od lewej Zygmunt Łotocki. Warszawa, 1934 r.

Byli częścią elit II RP

Wystawa „Sportowcy dla Niepodległej: Katyń” zakończyła objazd po Polsce. Zarówno ekspozycja, jak i książka o tym samym tytule to opowieść o zasłużonych sportowcach, którzy w chwili próby stanęli do walki w obronie naszej wolności i niepodległości.

W 80. rocznicę odkrycia grobów katyńskich nakładem wydawnictwa Instytutu Łukasiewicza ukazała się książka „Sportowcy dla Niepodległej: Katyń”. Zorganizowano też wystawę pod tym samym tytułem (wraz z katalogiem). Jesienią plansze ruszyły w drugi objazd po Polsce (dotarły m.in. do Katowic, Poznania, Piotrkowa Trybunalskiego i Pruszkowa).

Historycy oceniają, że wśród ofiar zbrodni katyńskiej znalazło się kilkuset sportowców i działaczy sportowych. Au-

torzy wystawy i książki prezentują historię kilkunastu, których losy udało się zrekonstruować przy pomocy archiwalnych tekstów prasowych i publikacji naukowych. Są wśród nich pierwsi polscy olimpijczycy, a także prekursorzy wielu dyscyplin, którzy jeszcze przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości przecierali szlaki dla kolejnych pokoleń sportowców. Pierwszy polski zwycięzca w międzynarodowych zawodach lekkoatletycznych, pierwsza kobieta w Europie, która wykonała skok ze spadochronem z wysokości 5000 metrów, jeden z pierwszych

polских metodologów sportu – to między innymi o nich opowiadają książka, katalog i wystawa.

– W czasach przedwojennych wielu sportowców kończyło studia – zwraca uwagę dr hab. Robert Gawkowski, historyk sportu. – To byli dobrze wykształceni ludzie, którzy tworzyli intelektualną kadrę państwa polskiego. Kiedy analizujemy działania zbrodniczych reżimów, takich jak hitlerowska III Rzesza albo ZSRS, to widzimy, że dążyły one do eksterminacji grup społecznych o szczególnym znaczeniu dla rozwoju państwa. Przykład →



Czwórka ze sternikiem podczas igrzysk w Los Angeles.
Od lewej: Edward Kobyliński, Stanisław Urban, sternik Jerzy Skolimowski,
Janusz Ślęzak i Jerzy Braun, 1932 r.

Obok: Julian Gruner podczas zawodów w rzucie oszczepem,
data nieznana.



INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ / ZBIORY EWY GRUNER-ZARNOCH

Trener reprezentacji Polski Marian Spoja demonstruje prawidłowe uderzenie w piłkę, 1939 r.



→ takiego działania ze strony Niemców to Akcja AB, mająca na celu eliminację polskiej elity politycznej i intelektualnej. Zagrożone były osoby biorące czynny udział w budowaniu oraz rozwoju polskiej kultury i państwowości.

W Poznaniu wystawę można było oglądać w Muzeum Martyrologii Wielkopolan – Fort VII, były niemiecki obóz koncentracyjny. Trafiła tam również dodatkowa plansza o związkach piłkarza Mariana Spojdy z tym miastem. Zawodnik z dumą reprezentował barwy Warty od 15. roku życia do końca kariery, zwyciężonej mistrzostwem Polski w 1929 r. Trafił do obozu jenieckiego w Kozielsku. 16 kwietnia 1940 r. wywieziono go do katyńskiego lasu, gdzie został zamordowany.

– Wystawa prezentowana w tym miejscu nabiera jeszcze silniejszej wymowy. Otrzymujemy wiele sygnałów, m.in. od szkół, że jej przesłanie dociera do młodego pokolenia, obserwującego na co dzień wojnę za naszą wschodnią granicą. Historie opowiedziane przez pryzmat konkretnych ludzi, którzy mieli marzenia, ambicje, wolę życia – wywołują emocje. To ważne, aby kolejne pokolenie rozumiało, czym dla naszej wspólnoty jest pamięć o zbrodni katyńskiej – mówi prezes Instytutu Łukasiewicza, Maciej Zdziarski.

Policjant i teoretyk sportu

W Katowicach plansze zaprezentowano w Komendzie Wojewódzkiej Policji. Sie-dzibę ma tam Ogólnopolskie Stowarzyszenie „Rodzina Policyjna 1939 r.”.

– Wystawa to znak narodowej pamięci. Stanowi ważny element dopełniający 80. rocznicę odkrycia grobów katyńskich – mówi prezes stowarzyszenia, Grzegorz Grześkowiak. – Zaprezentowanie na wystawie postaci śp. aspiranta Zygryda Wendego to wyraz hołdu i pamięci o wszystkich śląskich policjantach II RP, którzy wiosną 1940 r. zostali zamordowani przez funkcjonariuszy NKWD – dodaje. Wende wstąpił do Policji Województwa Śląskiego i zasilł sekcję bokser-ską Policyjnego Klubu Sportowego w Katowicach. W kwietniu 1940 r. zginął od strzału w tył głowy, a jego ciało wrzucono do dołu w Miednoje.

Do Trzemeszna (woj. wielkopolskie) trafiła dodatkowa plansza poświęcona Józefowi Baranowi-Bilewskiemu. Jako żołnierz brał on udział w obronie Lwowa



Janina Lewandowska w kombinezonie lotniczym ze spadochronem.
Lotnisko Ławica w Poznaniu, 1936 r.

i wojnie polsko-bolszewickiej, jako sportowiec odnosił sukcesy w kilku konkurencjach lekkoatletycznych, m.in.

pchnięciu kulą i rzucie dyskiem. Sześć razy wywalczył tytuł mistrza Polski, a 14-krotnie bił rekordy kraju. Należał do czołowych teoretyków i organizatorów polskiej lekkoatletyki w międzywojniu. Został zamordowany przez Sowietów w katyńskim lesie. – Szczególne znaczenie ma to, że wystawa pokazywana była w naszej szkole,

a to z uwagi na związki liceum z postacią kapitana Barana-Bilewskiego – zauważa Maciej Adamski, nauczyciel w trzemeszeńskim Zespole Szkół Ogólnokształcą-

cych i Zawodowych oraz Szkole Podstawowej nr 1. – Józef Baran-Bilewski wielokrotnie był w Trzemesznie; na boisku gimnazjalnym zorganizował zawody lekkoatletyczne, w których wystąpił obok innych znanych przedwojennych sportowców. Prezentacja wystawy w miejscu z nim związanym jest zatem jego symbolicznym powrotem do Trzemeszna.

– Mój dziadek miał specjalną teczkę, w której przechowywał pamiątki katyńskie; często je oglądaliśmy,

dzieląc się przy tej okazji różnymi opowieściami – wspomina Artur Bilewski, stryjeczny wnuk Józefa Barana-Bilewskiego. – Mam w zbiorach m.in. trzy wizytówki:



Guzik z polskiego munduru oficerskiego
odnaleziony w katyńskich dołach śmierci.



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Tadeusz Kowalski i Zofia Bilorówna podczas treningu przed Mistrzostwami Świata w Łyżwiarstwie Figurowym, Helsinki, 1934 r.

jedną przedwojenną, podpisaną „Halina i Józef Bilewscy”, z podanym adresem mieszkania na warszawskich Bielanych i odręcznie napisanymi życzeniami świątecznymi na odwrocie; drugą służbową, znaną przy Józefie podczas ekshumacji w dołach katyńskich; trzecią podpisaną „Joseph Baran, Member of the Polish Olympic Committee” – to piękna i radosna pamiątka z igrzysk olimpijskich w Los Angeles, podczas których Józef Baran-Bilewski był kierownikiem reprezentacji lekkoatletycznej. To właśnie wtedy Janusz Kusociński i Stanisław Walasiewicz zdobyli złote medale. Z tego wyjazdu mamy też kilka pięknych fotografii, w tym charakterystyczne zdjęcie wujka stojącego na schodach sterowca. Ważnym świadectwem tego, jaką osobą był mój wujek, są właśnie wspomnienia Kusocińskiego, który podkreśla, jak bardzo jego kierownictwo przyczyniło się do sukcesów Polaków – mówi Artur Bilewski.

Lekcja historii

Bohaterem książki i wystawy jest także Roman Kazimierz Bocheński – pływak, który 17 razy zdobywał mistrzostwo Polski i 18-krotnie pobijał rekordy kraju. Wieść o wybuchu II wojny światowej zastała go w Monte Carlo, gdzie uczestniczył w akademickich mistrzostwach świata. Postanowił niezwłocznie wrócić do Polski. Historycy przyjmują, że znalazł się w grupie jeńców, którzy trafili do Starobielska i zostali rozstrzelani wiosną 1940 r. w Charkowie.

– Dzięki materiałom przygotowanym przez Fundację Instytut Łukasiewicza młodzi ludzie mogli zidentyfikować się nie tylko z konkretną dyscypliną sportu, ale także z jej przedstawicielami – mówi Małgorzata Włodek, wiceprezesa Ogólnopolskiego Stowarzyszenia „Rodzina Policyjna 1939 r.”, która jest także nauczycielką historii i wiedzy o społeczeństwie w Szkole Podstawowej im. Wandy Rutkiewicz w Duchnicach (woj. mazowieckie).

– To lekcja historii, pokazująca, że ważne wartości moralne, takie jak patriotyzm, nie są tylko hasłami, ale postawami nierozdzielnie splecionymi z codziennością.

– Plansze wzbudziły ogromne zainteresowanie, nie tylko wśród uczniów, ale również wśród rodziców, którzy przybyli na wywiadówkę – mówi Magdalena Studzienny, wicedyrektor ds. dydaktycznych w Społecznym Liceum Ogólnokształcącym Mistrzostwa Sportowego w Krakowie. – Ekspozycja jest ogromną skarbnicą wiedzy.

– Wystawa ta to cenny materiał uzupełniający i rozszerzający wiedzę uczniów – mówi Katarzyna Lisek, nauczycielka historii w Zespole Szkół Mistrzostwa Sportowego w Chorzowie. – O Katyniu rozmawiamy na lekcjach historii, jednak spojrzenie na tragedię roku 1940 przez pryzmat sportowców to dla uczniów zupełnie coś nowego. Historie



Wystawa w Zespole Szkół Mistrzostwa Sportowego w Chorzowie



→ sportowców prezentowane na wystawie stały się inspiracją do pogłębiania wiedzy.

Plansze mogli oglądać także uczniowie Powiatowego Zespołu Placówek – Szkoły Mistrzostwa Sportowego Szczyrk im. Polskich Olimpijczyków w Buczkowicach (woj. śląskie). – Uczniowie SMS z wielkim zainteresowaniem zapoznali się z sylwetkami sportowców, którzy tak jak oni chcieli sięgać po najwyższe trofea. Niestety, bohaterowie wystawy musieli zrezygnować ze swoich sportowych marzeń i podjąć walkę w obronie najważniejszych wartości – mówi Anna Setla, pedagog szkolna.

– Treści plansz w bardzo wyrazisty sposób przedstawiają historię sportowców, którym wojna odebrała szansę na realizację życiowych marzeń i możliwość doskonalenia swoich sportowych talentów – mówi Beata Sandak, wicedyrektor Zespołu Szkół Ponadpodstawowych w Bytowie (woj. pomorskie). – Wystawa zachęca do refleksji, stanowi wymowny obraz tego, jakie okrucieństwo niesie ze sobą wojna, jak rujnuje życie wszystkich ludzi, których dotyka. Ekspozycja odegrała w naszej szkole ważną rolę wychowawczą i za to dziękujemy Instytutowi Łukasiewicza.

Strzałem w tył głowy

Wioślarz Stanisław Urban, brązowy medalista z Los Angeles z 1932 r. (czwórka ze sternikiem), karierę sportową zakończył dwa lata po olimpiadzie. Po kursie trenerskim zajął się szkoleniem swoich potencjalnych następców. Gdy w 1939 r.



Leon Wójcik – licealista, pasjonat historii i łucznictwa, zaangażowany w krzewienie pamięci o zbrodni katyńskiej.

środowisko wioślarskie czekało na zbliżające się mistrzostwa Europy, wybuchła wojna. Urban we wrześniu bronił kraju jako podporucznik rezerwy. Następnie trafił do sowieckiej niewoli. Przyjmuje się, że został zamordowany przez NKWD w Katyniu.

Julian Gruner to pierwszy polski lekkoatleta, który odniósł zwycięstwo na zagranicznym mityngu, rekordzista i 20-krotny medalista mistrzostw Polski w rzucie oszczepem i w skoku wzwyż,

pionier stylu nożycowego. Był sportowcem wszechstronnym: biegał, skakał, pływał, wiosłował, jeździł na nartach i motocyklu, grał w koszykówkę oraz hokeja. Jako lekarz mocno angażował się w pracę z pacjentami, równie wielką determinacją wykazywał się jako żołnierz-ochotnik Wojska Polskiego, zasłużony w walce z bolszewicką inwazją. Gdy 17 września 1939 r. Sowieci napadli na Polskę, Gruner sprawował pieczę nad szpitalem wojskowym w Stanisławowie. Dwa dni później, po opanowaniu miasta przez Armię Czerwoną, przed szpitalem rozegrały się dantejskie sceny: sowiecki czołg zaczął rozjeżdżać leżących przed budynkiem rannych. Kiedy doktor Gruner rzucił się im na ratunek, otrzymał cios w głowę. Tego samego dnia wzięto go do niewoli i przetransportowano do obozu w Starobielsku. Został zamordowany przez NKWD w Charkowie.

– Zbrodnia w Katyniu nie była przypadkiem. Sowieci konsekwentnie budowali metodę pozbywania się polskich elit – wyjaśnia prof. dr hab. Tadeusz Wolsza, historyk, członek Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej. Wśród ofiar tej zbrodni jest także Janina Lewandowska, córka generała Wojska Polskiego Józefa Dowbor-Muśnickiego, jednego z dowódców Powstania Wielkopolskiego. W historii zapisała się jako prekursorka żeńskiego spadochroniarstwa w Polsce. Prawdopodobnie jako pierwsza w Europie kobieta wykonała skok z wysokości 5000 metrów. Posiadała również licencję pilota sportowego i motorowego. Po na-



Premiera książki i wystawy odbyła się kilka dni po 80. rocznicy odkrycia grobów katyńskich. W spotkaniu brali udział głównie ludzie młodzi – adresaci projektu.



Wernisaż wystawy w Centrum Olimpijskim w Warszawie

paści ZSRS na Polskę znalazła się wśród żołnierzy 3. Pułku Lotnictwa, którzy udali się w kierunku Węgier. W rejonie Husiatyna Polacy zostali otoczeni przez Sowieców. Lewandowska trafiła do obozu w Ostaszewie, a następnie w Kozielsku. Stamtąd 20 kwietnia 1940 r. ruszył kolejny transport więźniów do Katynia. Dwie doby później, w dniu 32. urodzin, Janina Lewandowska zginęła od strzału w tył głowy.

Tadeusz Kowalski służył najpierw w Legionach, a następnie w kilku formacjach artyleryjskich. Po wojnie z bolszewikami został przeniesiony do Lwowa i po kilku latach awansowany do stopnia kapitana. Przygodę ze sportem zaczął od piłki nożnej. Przez wiele lat (1910-1928) grał w klubie Czarni Lwów na pozycji obrońcy. W historii sportu zapisał się jednak przede wszystkim jako łyżwiarz figurowy. Był nim przez ponad 30 lat. Wybuch II wojny światowej przerwał niezwykle długą i bogatą karierę Kowalskiego. łyżwiarz walczył w obronie Lwowa. Aresztowany przez Sowieców,

trafił do obozu w Starobielsku. Wiosną 1940 r. w Charkowie został brutalnie zamordowany przez NKWD.

Zygmunt Łotocki, nazywany złotym łucznikiem Niepodległej, był nie tylko jednym z najwybitniejszych zawodników II Rzeczypospolitej, lecz także świetnym teoretykiem. W latach 1930-1936 pełnił funkcję trenera reprezentacji Polski.

– Kiedy zaczynałem się uczyć strzelania z łuku, wpadł mi w ręce podręcznik Łotockiego do łucznictwa – mówi Leon Wójcik, licealista, pasjonat historii i łucznictwa, zaangażowany w krzewienie pamięci o zbrodni katyńskiej. – To praca bardzo bogata w treści i pełna praktycznych wskazówek dla początkujących łuczników. Dla mnie najistotniejsze były fragmenty o pracy łucznika z cięgiwą i te opisujące, jak układać plan treningowy. Mimo upływu lat i zmian, które zaszły w tym sporcie, uważam, że praca Łotockiego wciąż jest wartościowa – dodaje.

Po wybuchu II wojny światowej Łotocki przebył na rowerze 300 km z Piotrkowa Trybunalskiego do Bielska Podlaskiego, gdzie dołączył do swojego pułku. Trafił do niewoli sowieckiej i został przewieziony do Kozielska. Stamtąd, między 3 kwietnia a 12 maja 1940 r., przetrans-

portowano go wraz z innymi więźniami w głąb katyńskiego lasu. Sowieci zamordowali Łotockiego strzałem w tył głowy.

– Nasza troska o to, by Katyń był obecny w przestrzeni publicznej, jest uzasadniona. Bibliografia katyńska liczy obecnie 7-8 tys. pozycji. Napisano i wydano dziesiątki książek, artykułów, wspomnień, wyborów dokumentów, powstały spektakle teatralne, filmy fabularne i dokumentalne – zrobiono naprawdę dużo, jednak nie zwalnia nas to z odpowiedzialności za prawdę. Polskie społeczeństwo powinno być świadome, że w Rosji ten temat ma zupełnie inną interpretację, a dziennikarze, publicyści czy naukowcy realizują swoje przedsięwzięcia pod z góry narzuconą tezę. Działania polskich instytucji badawczych, IPN, wyższych uczelni, gdzie wciąż pogłębia się wiedzę o zbrodni katyńskiej, mają dużą wartość – podsumowuje prof. Tadeusz Wolsza. ©

Projekt jest współfinansowany ze środków Ministerstwa Sportu i Turystyki w ramach Programu „Sport dla Wszystkich”. Sylwetki sportowców można znaleźć na stronie: www.sportowcydlaniepodleglej.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 51/2023

OPIEKA REDAKCYJNA: Michał Sowiński

Projekt współfinansowany ze środków Ministerstwa Sportu i Turystyki w ramach Programu „Sport dla Wszystkich”

REALIZACJA: Fundacja Instytut Łukasiewicza | TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn

OKŁADKA: Trening Józefa Barana-Bilewskiego przed igrzyskami olimpijskimi w Amsterdamie, 1928 r. / Archiwum rodzinne Artura Bilewskiego



Ministerstwo
Sportu i Turystyki

SAMO ŻYCIE

Kiedy kończy się rok i nadchodzi pora podsumowań, prześcigamy się w rankingach i klasyfikacjach. Najlepsza książka – pytamy. A gdyby tak zapytać: kto i dlaczego najbardziej jest pisarzem?

MICHAŁ SOWIŃSKI



KIEDY PYTAJĄ JULIANA BARNESA, JAK WYGLĄDA jego dzień pracy, ten grzecznie wylicza: stara się pisać od 10 rano do wczesnego popołudnia, potem zajmuje się sprawami bieżącymi, a przed kolacją, jeśli ma jeszcze siły, znów siada do pisania. Po chwili jednak dodaje: „ale nie ma takiej czynności, którą bym robił jako nie-pisarz”. Znając ironiczno-flegmatyczne poczucie humoru autora, można uznać to za średniej jakości unik przed mało wdzięcznym pytaniem. Biorąc jednak pod uwagę jego biografię i dorobek, deklarację należałoby potraktować całkowicie poważnie.

Barnes całe swoje życie podporządkował pisaniu, przez co w jego biografii nie występują żadne dramatyczne zwroty akcji, trudno nawet o jakąś soczystą anegdotę. Słowem – nuda, ale tylko na pierwszy rzut oka.

Jest nas dwóch

Urodził się w inteligenckiej rodzinie, jego rodzice byli nauczycielami francuskiego (jako nastolatek biegle władał tym językiem). Wychował się na północno-zachodnich przedmieściach Londynu, które potem opisał w debiutanckiej powieści „Metroland” (1980). Studiował nowożytną filologię na Oksfordzie, pracował jako freelancer, m.in. przez trzy lata jako leksykograf Oxford English Dictionary, potem jako dziennikarz i recenzent kulturalny. Jego pierwsza książka, nad którą pracował aż siedem lat, spotkała się ze względnie przychylnym odbiorem. Krytycy pisali, że ten *bildungsroman*, noszący silne znamiona autobiograficzności, pozwala mieć nadzieję, że jego autor wyrośnie kiedyś na „prawdziwego pisarza”.

Równolegle (w tym samym roku!) pod pseudonimem „Dan Kavanagh” (wziętym od nazwiska żony, Pat Kavanagh, agentki literackiej), wydał powieść kryminalną „Duffy”. Jak twierdził później, był to eksperyment – chodziło nie tyle o oddzielenie ścieżek literackiej i dziennikarskiej kariery, co raczej o stworzenie nowego człowieka-autora, z jego osobną, pokręconą biografią. Przez całe lata 80., gdy ukazały się jeszcze trzy książki kryminalne, Barnes nieustannie rozbudowywał życiorys Kavanagha, który szybko zaczął wykraczać poza potrzeby zwykłego wydawniczego aliasu.

Jak sam twierdzi, stworzenie alternatywnej biografii pozwoliło mu pisać w zupełnie

inny sposób. Widać to gołym okiem – przygody tytułowego detektywa Duffiego pełne są seksualnych perwersji i obscenicznego przemocy, a sam bohater pamiętany jest dziś głównie jako jedna z pierwszych postaci o orientacji biseksualnej w brytyjskiej popkulturze. Co ciekawe, pierwszy tom jego przygód powstał zaledwie w kilka tygodni. „Chciałem zobaczyć, co się stanie, jeśli będę pisał tak szybko, jak to tylko możliwe”, mówił po latach Barnes.

Stado papug

Wydana w 1984 r. „Papuga Flauberta” na zawsze zmieniła życie Barnesa. Książka zdobyła ogromne uznanie krytyków i czytelników na całym świecie, znalazła się na krótkiej liście nominacji do Nagrody Bookera, otrzymała też kilka ważnych nagród w Wielkiej Brytanii oraz Francji. Polska również oszalała na jej punkcie.

Sam autor twierdzi, że kompletnie się tego nie spodziewał, bo miała to być jedynie stworzona na boku innych pisarskich zajęć prywatna rozprawa z ulubionym pisarzem. „Papuga” stała się przy okazji podstawowym punktem odniesienia dla każdej próby interpretacji jego prozy. Trudno, żeby było inaczej, wszak to powieść (choć na różne sposoby próbująca rozsadzić granice tego gatunku) o pisarzu, którego obsesja na punkcie innego pisarza popycha do napisania ni to biografii, ni to powieści, gdzie logika fikcji i porządek faktów w jakiś przedziwny i niepowtarzalny sposób łączą się ze sobą, tworząc dzieło, które finalnie trzymamy w rękach. Biorąc pod uwagę sam pomysł, można dojść do wniosku, że mamy do czynienia z eksperymentem, przeznaczonym wyłącznie dla garstki przeintelektualizowanych krytyków (autor bardzo ich nie lubi). Ale jest przeciwnie: pióro Barnes'a kreśli opowieść zadziwiająco lekko i czytelne.

Wszystko utrzymywane jest tu w ruchu – coś się przed nami odsłania, ale w tym samym momencie co innego znika z naszego pola widzenia. Wszystkie fakty z życia francuskiego pisarza zgadzają się, ale jednocześnie jego postać jest wciąż nieustalona. I nie chodzi tu wyłącznie o banalne rozpoznanie, że prawda (o ile w ogóle zakładamy jej istnienie) nigdy nie da się w pełni poznać – że jesteśmy skazani wyłącznie na nieskończoną grę skojarzeń i interpretacji.

Czy Gustaw Flaubert, pisząc „Prostotę serca”, faktycznie miał na biurku klatkę z papugą? Braithwaite, nieco zgorzkniały i wypalony zawodowo akademik, →

→ odkrywa w jednym z muzeów wypchanego ptaka, który rzekomo był dla Flauberta literackim pierwowzorem. Szybko okazuje się jednak, że takich papug jest więcej, a właściciel każdej uważa tę swoją za oryginalną. Prawda więc wymyka się z rąk i to w dość kuriozalny sposób. A może kryje się właśnie w tej mnogości własnych wariantów? I co jest właściwie stawką tego dziwnego śledztwa?

Im mniej mamy pewności, jak to naprawdę było z tą papugą, tym więcej pobocznych wątków pączkuje dookoła. Dowiadujemy się o Flaubercie (ale i o samym narratorze również) coraz to nowych rzeczy. Niektóre z nich wydają się błahe, ale czy są takimi w istocie? Nie sposób, i to nie tylko przecież w przypadku Flauberta, tego określić.

Geoffrey Braithwaite, narrator „Papugi Flauberta”, w pewnym momencie pyta sam siebie (albo nas), jak właściwie należałoby zdefiniować słowo „sieć”, i udziela dwójakiej odpowiedzi. Z jednej strony to zestaw powiązanych ze sobą linek, przy pomocy których łowi się ryby. „Ale równie dobrze można, z niewielkim uszczerbkiem dla logiki, odwrócić ten obraz i zdefiniować sieć tak, jak uczynił to pewien krotochwilny leksykograf, który nazwał ją zestawem dziur połączonych szpagatem”. I następny akapit: „Tak samo można postąpić z biografią”.

Dlatego tworząc postać Braithwaite’a Barnes nie tylko mógł na własnych warunkach opowiedzieć o swoim ukochanym Flaubercie (wielokrotnie twierdził, że pisanie „zwykłej” biografii jest dla niego za nudne), ale jednocześnie dać nam posmak obsesji, która towarzyszy mu od lat.

Detektywy

Biografia, konstruowana na najróżniejsze sposoby i oglądana ze wszystkich stron, jest dla Barnes’a podstawowym literackim budulcem. Ale opowieść o życiu, która nadaje wartość poszczególnym jego elementom, zawsze powstaje *ex-post*. I co gorsza, w każdej chwili może zostać

zakwestionowana przez inną, konkurencyjną opowieść. Nie oznacza to jednak, że wszelkie poszukiwania prawdy należy raz na zawsze zarzucić. „Ta stuprocentowa jest nam niedostępna, ale 67 proc. to więcej niż 63 proc., zawsze należy o tym pamiętać” – mówił w jednym z wywiadów, broniąc się przed zarzutami o relatywizm poznawczy (ale też moralny).

Widać to doskonale w powieści „Arthur & George” (2005), której bohaterami są postaci historyczne – doskonale wszystkim znany sir Artur Conan Doyle oraz George Edalji, syn pastora hinduskiego pochodzenia, skromny prawnik z małego miasteczka, niesłusznie oskarżony o okaleczanie zwierząt gospodarskich. Ta dziwna sprawa szybko została zapomniana, ale na początku XX w., ze względu na rasistowskie uprzedzenia całego systemu sądowego, nazywano Edaljią brytyjskim Dreyfusem.

W tej powieści Barnes w swojej obsesji idzie jeszcze dalej. Fabuła jest z grubsza podzielona na dwie części, skupiając się na drobiazgowej rekonstrukcji wybranych elementów biografii obu postaci. Jednak przewrotność całego pomysłu polega na tym, że w tym duecie logiczny i skrupulatny jest Edalji, z racji praktyki zawodowej przyzwyczajony do myślenia proceduralnego. Z kolei Doyle, uniesiony i nieco zaślepiony popularnością wykreowanego przez siebie Sherlocka Holmesa, sam zaczyna traktować całą rzeczywistość jako zagadkę, którą tylko on jest w stanie rozwiązać.

Bo na czym właściwie polegają niezwykle zdolności superdetektywa? Na tym, że jako jedyny od razu rozumie, co naprawdę zaszło, a potem powoli i zmuśnię tłumaczy swoim mniej rozbartym towarzyszom proces przyczynowo-skutkowy, który do tego doprowadził. Można by powiedzieć, że Holmes od początku zna zakończenie każdej fabuły, może więc spokojnie i ze swadą rekonstruować jej akcję. I w tym sensie znajduje się w podobnej pozycji co autor kryminalnych historii – bo pytanie, czy wie naprawdę, co się stało, czy tylko zakłada, że wie, pozostaje drugorzędne, o ile będzie odpowiednio przekonujący (czytaj: sprawny literacko). Stąd też u Barnes’a postać Doyle’a i Holmes’a zachodzą na siebie nachodzić.

Dlaczego jednak sir Doyle, wiktoriański celebryta, w ogóle zainteresował się dziwną sprawą Edaljiego? Barnes po-

kazuje pisarza jako postać narcystyczną, ale też wyczuloną na krzywdę innych, szczególnie jeżeli krzywdzącym jest rasistowska machina państwowa, wobec której ktoś taki jak Edalji, mimo swojego nieposzlakowanego charakteru i prawniczych kompetencji, pozostaje bezradny. Znowu – przekładając tę sytuację na kategorie literackie można powiedzieć, że śledczy, sędzia i ława przysięgłych, widząc kogoś, kto z ich perspektywy wygląda obco (do tego celowo oczerniony przez właściwego sprawcę), z góry zakłada tę wersję jego biografii, z której wynika, że zapewne jest winny.

Doyle nie może się na to zgodzić. Ostatecznie jego interwencja doprowadza z grubsza do oczyszczenia Edaljiego z zarzutów, co w dużej mierze pozwala tamtemu odzyskać dawne życie. Pod względem etycznym jednak Barnes (ewidentnie sympatyzujący z postacią wielkiego pisarza) zachowuje tu właściwą sobie przewrotność. Fundamentem etycznej postawy Doyle’a, a zarazem kluczem do sukcesu okazała się jego arogancja. Jako pisarz-detektyw przekonany był o swoich dalece ponadprzeciętnych zdolnościach oceny poprawności, spójności i sensowności czyjejś biografii – postanowił zainterweniować, gdyż nie mógł znieść rażącego go w oczy fałszu (albo wręcz partactwa).

Barnes na tym przykładzie udowadnia, że zajmowanie się czyjąś biografią (fikcyjną czy prawdziwą) nigdy nie jest zajęciem niewinnym. Dokonując drobiazgowej inscenizacji procesu Edaljiego, jednocześnie pokazuje, jak wysokie są stawki w tej literacko-faktograficznej grze, jaką jest opowieść o życiu pojedynczego człowieka. I co niezwykle ważne – etyka nie tyle zostaje tu unieważniona, ile rozpisana na potrzeby wielowymiarowej przestrzeni międzyludzkiej, gdzie nie ma miejsca na samooczywiste prawdy.

Magazyn zdarzeń

„Poczucie kresu”, powieść wydana w 2011 r., przyniosła Barnesowi Nagrodę Bookera (wcześniej był nominowany aż trzy razy). Napisana już po śmierci żony, utrzymana jest w zdecydowanie bardziej minorowej tonacji, niemniej obraca się wciąż wokół tego samego, fundamentalnego dla Barnes’a pytania: na jakich zasadach, o ile w ogóle, możliwa jest opowieść o czymś życiu (w tym naszym własnym)?



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY „TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Bohater powieści, Tony Webster, mężczyzna pogrążony w kryzysie wieku średniego, rozczarowany nijakością swojego życia, zatapia się we wspomnieniach z młodości. Jako nastolatek był częścią zgranej paczki przyjaciół – grupy inteligentnych, nieco egzaltowanych nastolatków, z których każdy miał rozległe plany na przyszłość. Najdojrzałym (przynajmniej tak go postrzegał Webster), a przez co odstającym od reszty był Adrian Finn, który jeszcze jako dwudziestolatek popełnił samobójstwo.

Ale opowieść o życiu Adriana, którą przez lata hodzi w samotności, ostatecznie staje się twardą skamieliną, martwą i uwierającą, z którą trudno sobie poradzić. Aby odzyskać dostęp do żywej pamięci o swoim zmarłym przyjacielu (niezbędny warunek rewizji również własnego życia), musi skonfrontować się z innymi ludźmi ze swojej przeszłości – będzie to niezwykle trudne, ale też oczyszczające doświadczenie.

Barnes, wciąż pogrążony w żałobie po stracie żony, zdaje się przestrzegać przed obsesyjnym zamykaniem w sobie opowieści o czyimś życiu. Aby zachować pamięć o zmarłych, należy wciąż na nowo o nich opowiadać, konfrontować własną wersję historii z pamięcią innych ludzi. W tym sensie epitafium, słowa raz na zawsze wyryte w kamieniu, wyznaczają ostateczny kres biografii, która z definicji, nawet po śmierci wciąż pozostaje żywym procesem. W innym przypadku trzeba skonfrontować się z pustką, a ta, w ateistycznym uniwersum Barnes'a, jest nie do zniesienia. Dlatego należy odwlekać jej nadejście tak długo, jak to tylko możliwe, a pomóc w tym może tylko literatura.

Katastrofa i pożoga

W „Wymiarach życia”, niezwykle poruszającym esejem wydanym w 2013 r., będącym przedziwnym splotem historii lotnictwa balonowego i dziennika żałoby, opowieść o sobie i zmarłej żonie zaczyna tak: „Łączymy z sobą dwoje ludzi, którzy nigdy dotąd nie byli połączeni. Czasem przypomina to tę pierwszą próbę sprzężenia balonu na wodór z balonem na ogrzane powietrze: lepsza katastrofa i pożoga czy pożoga i katastrofa? Ale czasem to się sprawdza i powstaje coś nowego, i świat ulega zmianie”.

Dwie historie, którym udało się złączyć ze sobą tak mocno, że aż rzeczywi-

Biografia jest dla Juliana Barnes'a podstawowym literackim budulcem.

Ale zajmowanie się czyimś życiem nigdy nie jest zajęciem niewinnym.

stość dookoła ulega odkształceniu. To nie tylko jedna z najpiękniejszych definicji miłości, jakie powstały w literaturze, to również wyznanie głębokiej wiary, że opowieści – o sobie i innych – są podstawowym budulcem naszego świata. Że historia powszechna to suma historii pojedynczych, które sobie nawzajem opowiadamy. Czasem się co do nich zgadzamy, częściej jednak się o nie kłócimy, a dynamiczną wypadkową tych sporów zbiorczo nazywamy rzeczywistością.

O tym, że różnica między historią jednego człowieka i historią cywilizacji jest jedynie ilościowa, a nie jakościowa, opowiada najnowsza powieść Barnes'a – wydana niedawno w Polsce „Elizabeth Finch”. Tytułowa bohaterka jest akademicką, zajmującą się komparatystyką historyczną. Poznajemy ją, jak to zwykle bywa u Barnes'a, we wspomnieniu narratora, który za młodu uczęszczał na jej wykłady, później nawiązali także relację towarzyską.

Błyskotliwy umysł Finch, a także jej nietuzinkowa erudycja wywarły na nim tak duże wrażenie, że gdy po śmierci akademicka zostawia mu w testamentie swoje notatki, postanawia napisać jej biografię. Problem w tym, że Finch nie zostawiła po swoim życiu zbyt wielu śladów, więc prywatne śledztwo naszego bohatera szybko uryka w martwym punkcie. Jedyne, co zostaje mu po dawnej mentorce, to jej notatki na temat rzymskiego cesarza Juliana Apostaty. Postanawia więc je uporządkować i przygotować do druku.

Wokół ostatniego pogańskiego władcy rzymskiego przez wieki narosło wiele legend, głównie za sprawą chrześcijańskiej historiografii, a większość materiałów źródłowych na jego temat zaginęła albo została celowo zniszczona. Okruchy, które się ostały, nie pozwalają na wiele więcej niż luźne spekulacje, niemniej na ich podstawie Finch (a właściwie narra-

tor powieści o niej) buduje obraz nietuzinkowego człowieka, który próbował iść pod prąd historii, ale poniósł klęskę, co niemalże zakończyło się wymazaniem go z kart historii.

Narrator dostrzega coraz więcej analogii między starożytnym władcą i swoją nauczycielką. Oczywiście nie na poziomie faktów z życia, ale raczej w mechanizmach kształtowania pojedynczej i zbiorowej pamięci, a także strategii w śledzeniu (bądź niszczeniu) biograficznych tropów. Finch, podobnie jak Julian Apostata (przynajmniej w tej wersji) zdecydowali się na radykalny ruch odrzucenia wielu powszechnie obowiązujących konwencji, chcieli żyć i działać zgodnie z własnym, niepopularnym w danej epoce systemem wartości. Oboje też zdawali sobie sprawę, że tym samym ryzykują zniknięciem z powszechnej pamięci. Chyba że pojawi się odpowiednio niekonwencjonalny biograf, który podejmie się trudnego i niewdzięcznego zadania zbudowania opowieści o ich życiu.

Narrator rozumie – w końcu jest uczniem Finch – jak duża odpowiedzialność spoczywa na jego barkach. Choć ich relacja w konwencjonalnym rozumieniu nie weszła nigdy na intymny poziom, w swoim testamencie dawna mentorka obdarzyła go olbrzymim zaufaniem, co jest dla niego zarówno intelektualnym, jak i etycznym wyzwaniem. Dlatego też, tak samo jak 38 lat wcześniej Braithwaite w „Papudze Flauberta”, zastanawia się, czy w tkancej przez niego biograficznej sieci ważniejsze są zaplatające przez niego linki, czy raczej pusta przestrzeń między nimi. Musi więc błędzić po omacku, a za jedyną wskazówkę służą mu rozproszone notatki poświecony rzymskiemu cesarzowi.

Napięcie, które mu towarzyszy (a także innym, podobnym mu narratorom z wcześniejszych powieści), jest również udziałem samego Barnes'a, i to od samego początku jego kariery. Gdy mówi, że nigdy nie bywa „nie-pisarzem”, najprawdopodobniej ma na myśli to, że życia i literatury nie sposób od siebie oddzielić, bo opowieści o sobie i innych to jedyne, co tak naprawdę jest nam dostępne. A na tym, kto umie lepiej od innych spletać je ze sobą, ciąży ogromna odpowiedzialność. Nic więc dziwnego, że prawdziwi pisarze miewają obsesję związaną z byciem pisarzem. © MICHAŁ SOWIŃSKI

Mapy niewiedzy

MACIEJ TOPOLSKI

Podejście, które do chłopskiej fotografii proponuje Agnieszka Pająchkowska, jest nieintuicyjne. Wymaga od badacza nie tyle patrzenia na zdjęcie, ile wsluchania się w nie.

FOTOGRAFIA UKAZUJE TO, CO ZDARZYŁO się naprawdę. Służy za dowód. Jest obrazem, w który potrafimy uwierzyć. Kiedy mamy przed oczami zdjęcie, dysponujemy namacalnym potwierdzeniem, że ktoś taki był, coś robił, zajmował jakąś przestrzeń, wypełniał sobą czas.

Takie przekonanie wspiera się na pewnej niepodważalnej zasadzie: wiedzieć to widzieć. Agnieszka Pająchkowska w doskonałej książce „Nieprzezroczyste. Historie chłopskiej fotografii” przygląda się wydobytych z archiwów prywatnych i instytucjonalnych zdjęciom, żeby ukazać nieznane obszary historii Polski, podać w wątpliwość wiarę w fotografię jako medium transparentne, prawdopodobne i pewne, przede wszystkim jednak stworzyć nową zasadę, według której wiedzieć oznacza widzieć to, czego nie powinniśmy i jak nie powinniśmy.

„Wspólne medialne przeżycie”

„Nieprzezroczyste” to wielowarstwowy esej, w którym splatają się akademickie teorie z opowieściami o fotografiach, fragmenty czysto literackie z historycznym wywodem, socjologiczne refleksje z tekstem, który „jest jak gadanie”. Książka Agnieszki Pająchkowskiej, mieszkającej w Wolimierzu kuratorki, kulturoznawczyni, edukatorki, twórczyni projektów interdyscyplinarnych, jest z założenia nie-spójna, nie stara się wyczerpać tematu, „nie sili się na pewność”, lecz ustala – na ponad 400 stronach! – topografię myślenia o fotografii chłopskiej.

Jaka to fotografia? Codzienna, użytkowa, służebna, chałupnicza, tworzona



Fotografia Teodozji Drobik (z d. Podalak) lub Wincentego Podolaka ze zbiorów Adama Gąsianowskiego, Muzeum Starej Fotografii w Zamościu.

przez chłopów i chłopki, ukazująca „tak zwaną folwarczno-feudalną rzeczywistość ich oczami”, nie zaś przez uprzywilejowanych, patrzących z góry lub dystansu panów. To fotografia gorszej jakości, której walor nie wynika z estetyki czy technicznej sprawności, lecz z tego, w jaki sposób – jako przedmiot – jest używana na co dzień, jak tworzy relacje, jest „konsekwencją emigracji, sposobem na wyrażanie uczuć i swojej tożsamości”. To wreszcie fotografia ignorowana, nieznaną instytucjom, będąca poza kontrolą teoretyków i krytyków. Aż do teraz.

Przykładem takiej fotografii jest obraz Jana Pawła II konselebrującego swoją pierwszą mszę świętą w Watykanie,

mszę również pierwszy raz transmitowaną na żywo w polskiej telewizji. Pająchkowska pokazuje, w jaki sposób obraz papieża zaczął się rozprzestrzeniać w wielkiej społeczności wiejskiej. Oto Stefan Malinowski, fotograf ze wsi Berzniki w województwie podlaskim, wykonał zdjęcie telewizora w trakcie wspomnianej mszy, następnie wywołał kliszę i wykonał odbitki: „Ludzie pod kościołem rozchwytywali, więc kilka razy robiłem, popyt to miało większy niż święte obrazki”. Zdjęcia były słabej jakości, do tego tanie i dostępne, łączyły jednak święty obrazek z osobistą pamiątką doświadczenia mistycznego i technologicznego – wybór Karola Wojtyły na papieża, a następnie

jego pierwsza wizyta w Polsce stanowiły zarówno doświadczenie religijne, jak i asumpt do unowocześnienia polskiej telewizji oraz problem reprezentacji, z którym mierzyła się ówczesna władza.

Badaczka opisując fotografię ekranu telewizora w trakcie mszy w Watykanie nie zwraca uwagi na jej wymiar estetyczny (to rozmyty obraz obrazu), raczej na to, jak została ona wytworzona (Malinowski wykonywał kolejne i kolejne odbitki), jak funkcjonowała (była przekazywana z rąk do rąk), jak żyła między ludźmi (w ich domach jako dokument „wspólnego medialnego przeżycia”).

„Jak podświadomość we śnie”

Podejście do tego typu zdjęć wyjaśnia tytuł książki, która rozpoczyna się od słów historyczki sztuki Marii Poprzęckiej: „Szkło jest przezroczyste. Jednak nałożone na nieprzezroczystą powierzchnię staje się refleksyjne. (...) To, na co powinniśmy patrzeć, zostaje zakłócone przez coś, na co patrzeć nie powinniśmy”.

Poprzęcka opisuje sytuację poznawczego dysonansu – na podstawie fragmentu poematu Tadeusza Różewicza „Francis Bacon czyli Diego Velázquez na fotelu dentystycznym” – sytuację, kiedy stajemy przed obrazem umieszczonym za szybą i widzimy go, ale jednocześnie dostrzegamy odbite przez szkło rzeczy, otoczenie, światło lamp, obrazy zawieszone na innych ścianach, nas samych. W takiej sytuacji staramy się wyeliminować, zignorować, unieważnić, jak pisze Poprzęcka, wszystko to, „co wtargnęło w obszar obrazu”, co obrazem nie jest, co pozostaje poza kontrolą jak „podświadomość we śnie”. Zachowujemy się wówczas jak konserwator, który oczyszcza płótno z „przemalówek i werniksów”, chcąc dotrzeć do „pierwotnej, autentycznej” postaci obrazu.

Praktyka badania, jaką proponuje Agnieszka Pająchkowska, polega na przekierowaniu uwagi właśnie na ten poznawczy dysonans, jaki wywołują chłopskie fotografie, i jako takie – zakłócające określony ład i ustalone hierarchie – były eliminowane z historii fotografii, ignorowane przez archiwa, unieważniane przez krytyków sztuki. Fascynujące są te fragmenty książki „Nieprzezroczyste”, w których fotografie wykonane przez chłopów i chłopki podważają kwestię autorstwa stanowiącego, zdaniem Pająchkowskiej,



MATERIAŁY PRASOWE

Fotografia Franciszka Hubacza ze zbiorów Stowarzyszenia Młody Mołodycz

„rodzaj przywileju, który nie był, powiedzmy sobie, sprawą pierwszej potrzeby w rzeczywistości polskiej wsi połowy XX wieku, nawet jeśli autor fotografią parał się zarobkowo”.

Te fragmenty przypominające Stefanę Gurdową z Dębicy, w której historii najważniejsze jest nie to, że uznaje się ją za artystkę wybitną i całkowicie nieznaną, ale że za sprawą swoich umiejętności fotograficznych była w stanie opuścić męża i „utrzymać siebie i dzieci”, a więc dokonać czegoś, co dla dziewczyny chłopskiego pochodzenia było niemożliwe (pisała o tym Joanna Kuciel-Frydryszak w „Chłopkach. Opowieści o naszych babkach”). Te fragmenty, gdzie opisany jest słynny biały niedźwiedź, który w 1922 r. znalazł się jako popularny motyw fotograficzny w Zakopanem, gdzie nikt „nie pytał o sens fotografowania się z miśkiem ani o to, czemu miś jest biały, skoro w Tatrach występują brunatne”, a następnie przywędrował na wieś jako dziwny, „trochę straszny”, surrealny rekwizyt.

„Milczący człowiek jest nieprzejrzysty”

Książka Agnieszki Pająchkowskiej to jedna z licznych – tak bardzo istotnych dla rozumienia polskiej historii i polskiego społeczeństwa – publikacji poświęconych historii chłopskiej, które ukazały się w ostatnich latach (jak „Chamstwo” Kacpra Pobłockiego, „Ludowa historia Polski” Adama Leszczyń-

skiego czy wspomniane „Chłopki”). Jest również dowodem na to, jak znaczące i odkrywczym mogą być prace nad archiwami fotograficznymi, prace poszerzające refleksję nad fotografią i ukazujące przeszłość z nieznaną dotąd perspektywą (jak „Shifters” Marty Bogdańskiej traktujące o zwierzętach i wojnie, jak „How to Look Natural in Photos” Beaty Barteckiej i Łukasza Rusznicy odnoszące się do polskich służb policyjnych).

Autorka książki „Nieprzezroczyste” zajmuje się tym, w jaki sposób chłopcy i chłopki byli fotografowani, jak sami fotografowali i wywoływali zdjęcia, jak stawali się posiadaczami aparatów fotograficznych, jak posługiwali się zdjęciami i w jaki sposób zdjęcia funkcjonowały w społecznościach wiejskich. W tym celu korzystała z licznych archiwów muzealnych, stanowiących własność osób prywatnych i fundacji, a także tych stworzonych za sprawą konkursu zorganizowanego przez czasopisma (słynny konkurs „Fotografia chłopów polskich” magazynów „Fotografia” i „Nowa Wieś” z 1983 r.). Pająchkowską wyróżnia – spośród badaczy zajmujących się historią chłopów i archiwami wizualnymi – podejście do historii mówionej, która niemal w każdym przypadku stanowi podstawę jej rozważań, przede wszystkim jednak pozwala fotografii ujawnić się w nieoczekiwanym kontekście, nieoczekiwanym dla kogoś, kto traktuje fotografię wyłącznie jako dokument czy świadectwo.

Fotografia Józefa Hyncnara ze zbiorów Muzeum Ziemi Bieckiej w Bieczu (wcześniej w posiadaniu Wojciecha Hyncnara)



MATERIAŁY PRASOWE

→ Takie podejście było już obecne w poprzedniej książce Pająckowskiej, „Wędrowny zakład fotograficzny”, stanowiącej wynik długoletniego projektu, w trakcie którego badaczka jeździła po polskich wsiach „wzdłuż wschodniej i północnej granicy Polski”, wykonując na życzenie spotkanych osób portrety (drukowane na miejscu) i wymieniając je „na opowieści oraz jedzenie (warzywa, owoce z przydomowych ogrodów, jajka, wodę itd.)”. Badaczka przyznaje w posłowiu: „spotykałam się wtedy głównie z mieszkańcami i mieszkankami, historią lokalną, historiami mówionymi i fotografiami z domowych archiwów. Wielokrotnie siadaliśmy razem przy stole w kuchni lub pokoju i oglądaliśmy rodzinne fotografie. Te sytuacje wprawiły mnie każdorazowo w zdumienie. (...) Przy tych kuchennych stołach doświadczyłam, jak bardzo historia chłopskiej fotografii nie została poznana i opisana”.

Podejście Agnieszki Pająckowskiej jest nieintuicyjne. Wymaga od badacza nie tyle patrzenia na fotografię, ile wsłuchania się w nią. Bardzo przypomina propozycję teoretyczną, jaką sformułowała w książce „Listening to Images: An Exercise in Counterintuition” Tina M. Campt, zajmująca się fotografią wernakularną – zwyczajną, użytkową, służebną – czar-

nym społeczności afrykańskich oraz wojennych imigrantów do Europy Zachodniej, których codzienne doświadczenia były kształtowane przez opresję i ciche wykluczenie.

Wsłuchiwanie się w obrazy fotograficzne zdaje sprawę z tego, że praktyka widzenia jest niewystarczająca przy odczytywaniu treści, które nie narzucają się, są nieoczywiste, nie pozwalają się w pełni rozpoznać. „Nie wszystko widać w kadrze, a jednak on to mieści. Albo mi się tak wydaje, bo to jednak niesłychane, aby upchnąć aż tyle w jednej małej dziewczynce i jej ładnej sukieneczce”, zauważa Agnieszka Pająckowska w rozdziale opisyującym wykonane w 1948 r. na Dolnym Śląsku zdjęcie sześciolatniej Bogusławy Maksylewicz, pozującej z koszyczkiem w rękę i ubranej w batystową sukienkę. Zdjęcie, na które, jak pokazuje autorka, z łatwością daje się – niby na szybko – wyprojektować własne „fantazje, wyobrażenia, pragnienia”, niemające wiele wspólnego z historią, którą skrywa fotografia: przesiedlenia i wielkiego głodu, gdy matka Bogusławy dała fasolę Żydówce, a za fasolę dostała batystową sukienkę.

„Innych na razie nie widziałam”

Książkę Agnieszki Pająckowskiej kończy rozdział poświęcony porcelanowemu

zdjęciu z pomnika nagrobnego Jana Kryma urodzonego w 1908 r. w Stoczku Węgrowskim. Zdjęcie nagrobne powstało na bazie monidła, czyli podkolorowanego i upiękzonego portretu ślubnego, na którym Jan „nie jest (...) do siebie podobny”, monidło powstało zaś na bazie niezachowanej fotografii. Powtórzyć: najpierw było zdjęcie, potem monidło, potem fotografia monidła, a następnie na bazie fotografii monidła zdjęcie nagrobne. Z każdym kolejnym obrazem, który miał upamiętniać osobę Jana, on sam coraz mniej siebie przypominał i coraz bardziej stawał się nie wiadomo kim.

Ten krótki, ledwie stronicowy rozdział opisuje tak naprawdę trudność badania historii, istniejącej wyłącznie w kolejnych obrazach – przekazach, wyobrażeniach – które mogą wyłącznie oddalać się od realnych zdarzeń i osób, przestać służyć jako dowód, tracić wiarygodność. Ostatnie słowa książki „Nieprzezroczyście” – „Może nie wszystkie historie chłopskiej fotografii przypominają te opisane przeze mnie, ale innych na razie nie widziałam” – wskazują, że być może nie powinniśmy patrzeć na fotografie, które przekazują tak niewiele informacji na temat tego, co realne. Ale czy zostaje nam coś innego? Czy istnieją jakieś inne, pierwotne, autentyczne obrazy? Inne fotografie ukazujące Jana Kryma jako mężczyznę bez rysów twarzy, z odstającymi uszami i symetrycznie uformowanymi brwiami, pod krawatem, który dawno przestał być krawatem?

Agnieszka Pająckowska napisała książkę ważną i odkrywczą, wskazującą rozległe obszary niewiedzy na temat historii naszego kraju i społeczeństwa, odsłaniającą nieznane widzom obrazy i praktyki społeczne związane z fotografią, wykazującą się szczególną otwartością wobec opowieści skrywanych i wywoływanych przez zdjęcia. To książka, która zmienia myślenie o fotografii, uczy patrzeć na to, co było i wciąż jest ignorowane, uczy słuchać tego, co przemilczane.

© MACIEJ TOPOLSKI



■ Agnieszka Pająckowska
NIEPRZEZROCZYŚCIE
HISTORIE CHŁOPSKEJ
FOTOGRAFII
Wydawnictwo Czarne,
2023

Uporczywość przeszłości

JAKUB MAJMUREK

Serial „Sherwood” nie tylko pokazuje w retrospekcjach konflikty z przeszłości, z czasu wielkich strajków brytyjskich górników w latach 80., ale też rolę, jaką ciągle odgrywają współcześnie.

W ANNESLY, NIEWIELKIEJ MIEJSCOWOŚCI w hrabstwie Nottingham, na ulicy zostaje znaleziony nieżywy starszy mężczyzna. Z jego ciała wystaje belt od kuszy. Morderstwo porusza spokojną lokalną społeczność. Tym bardziej że wydaje się ono związane z wydarzeniem sprzed prawie czterdziestu lat, które do dziś dzieli mieszkańców: wielkim strajkiem brytyjskich górników z lat 1984-85.

Serial „Sherwood”, opowiadający luźno opartą na faktach historię tajemniczej śmierci w Annesly, zaczyna się od montażu archiwalnych nagrań przedstawiających czasy strajku: konfrontacje górników z policją, Margaret Thatcher oskarżając protestujących, że chcą „zastąpić rządy prawa rządami motłochu”, oraz górniczego przywódcę Arthura Scargilla wzywającego do sprzeciwu wobec planów „zabicia branży”. Na przestrzeni sześciu odcinków produkcja płynnie będzie przechodzić między przeszłością a teraźniejszością, tematem społecznym a kryminalną intrygą, wielką i lokalną historią.

Wioska łamistrajków

Lokalny kontekst jest szczególnie istotny w „Sherwood”, nie tylko dla wyjaśnienia współczesnego morderstwa, ale także pamięci wydarzeń z lat 80. Górnicy z hrabstwa Nottingham nie przyłączyli się bowiem w większości do strajku. Przyczyny tej decyzji były różne. W montażu archiwalnych materiałów na początku „Sher-



MATERIAŁY PRASOWE

David Morrissey (jako nadinspektor Ian St Clair), Lesley Manville (Julie Jackson) i Robert Glenister (komisarz Kevin Salisbury) w serialu „Sherwood”, BBC 2022

wood” widzimy górnika, który mówi, że po prostu nie może sobie pozwolić na przerwanie pracy. Badający ten temat historycy wskazują na to, że w kopalniach w regionie Nottingham pracowało sporo ludności napływowej, co osłabiało więzy pracowniczej i lokalnej solidarności. Górnicy ze środkowej Anglii byli też przekonani, że ich kopalnie znajdują się we względnie dobrej sytuacji i jeśli będą zamykane, to jako ostatnie – a celem strajku było przede wszystkim powstrzymanie likwidacji kopalń.

Górników zmierzających do pracy w trakcie strajku musiała eskortować policja, na ich drodze stali pikietujący związkowcy, starający się odwieść kolegów od wejścia na teren kopalni, a czasem fizycznie ich powstrzymać. W hrabstwie Nottingham te konfrontacje przybierały szczególnie brutalny charakter. Część pikietujących przyjeżdżała w okolice Nottingham z północy, część rekrutowała się ze zwolenników strajku z lokalnych społeczności.

„Sherwood” nie tylko pokazuje w retrospekcjach konflikty z przeszłości, ale też rolę, jaką ciągle odgrywają współcześnie. Zastrzelona z kuszy ofiara, Gary Jackson, w latach 80. należał do mniejszości, która przyłączyła się do strajku. Do dziś wspominał tym, którzy czterdzieści lat temu dokonali innego wyboru, ich postępowanie. Tuż przed śmiercią wdał się w kłótnię z sąsiadem, którego publicznie zaczął wyzywać od „łamistrajków”. A jednocześnie w Annesly Gary Jackson był instytu-

cją, irytował sąsiadów, ale też cieszył się ich cichym szacunkiem – jako wyrzut sumienia wspólnoty, która ciągle nie może się pogodzić z tym, że w kluczowym momencie okazała się „wioską łamistrajków”.

Dziedzictwem lat 80. jest też głęboki brak zaufania do policji. Prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa Gary’ego inspektor St Clair – syn górnika z Annesly, który zamiast jak większość jego kolegów podjąć pracę w kopalni, zaciągnął się do policji – wie, że stąpa po niepewnym gruncie, że nie trzeba wiele, by otworzyć dawne rany i wyzwolić tylko pozornie zażegnane antagonizmy.

Lokalna wspólnota sympatią nie darzy również torysów. Gdy młoda, ambitna polityczka Sarah Vincent, ubiegająca się o reelekcję do władz lokalnych jako konserwatystka, puka do drzwi potencjalnego wyborcy z ulotką, ten patrzy na nią jak na osobę szaloną. Sarah jednak się nie zraża: wyjaśnia, że „czerwony mur” – tradycyjnie popierające Partię Pracy okręgi wyborcze w środkowej i północnej Anglii – upadł w wyborach w 2019 roku i to konserwatyści są dziś partią realnie dbającą o interesy klasy pracującej.

Ojciec Sary w czasach górniczego strajku prowadził niewielką firmę transportową, dowożącą do kopalni chcących pracować górników. Sam kierował autobusami, w stronę których leciały jajka i kamienie. Rodzinna pamięć strajku ukształtowała polityczne wybory młodej kobiety.



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Sherwood”, BBC 2022

Szukając agenta

→ Sarah także zostaje znaleziona martwa we własnym domu. Nie zmarła śmiercią naturalną, została uderzona w głowę tępym narzędziem. Policja zastanawia się, czy to nie kolejna ofiara mordercy Gary’ego. Sprawca ukrywa się bowiem w lesie Sherwood i zaczyna terroryzować lokalną społeczność. Strzela z kuszy do prowadzącego pociąg maszynisty – prywatnie zięcia Sary. Rani przypadkową kobietę na polu golfowym. Zabija nawet pawia w ogrodach Newstead Abbey – rodzinnej rezydencji lorda Byrona, dziś muzeum poety znanego z radykalnych sympatii, który w 1984 roku pewnie nie miałby wątpliwości, po której stronie stanąć.

Co łączy wszystkie te cele? Być może znów wydarzenia z lat 80. – a konkretnie obecność w Annesly pracujących pod przybraną tożsamością policyjnych agentów. Rząd Thatcher nie tylko wysłał do górniczych obszarów policyjne siły z innych rejonów kraju w celu utrzymania porządku, ale także infiltrował górnicze społeczności przy pomocy tajnych agentów. St Clair i pomagający mu w śledztwie inspektor z Londynu, Salisbury, odkrywają, że jeden z agentów mógł zostać w Annesly po zakończeniu strajku, że może do dziś żyć w wiosce pod przybraną tożsamością.

„Sherwood” przypomina, że thatcheryzm oprócz strony wolnorynkowej

miał też autorytarną. Thatcher uznała górników za wroga wewnętrznego i odpowiedziała na to zagrożenie w sposób, który dziś nie wydaje się proporcjonalny. W jednej ze scen St Clair i Salisbury spotykają się z prawniczką górniczych związków zawodowych. Kobieta z oburzeniem mówi o tajniakach, którzy w czasie strajku grali na rozbiście i skłócenie związków, a by zyskać dostęp do górniczych społeczności, wchodzili w intymne relacje z kobietami niemającymi pojęcia, z kim tak naprawdę się wiążą. W jednym z wprowadzonych w retrospekcji serialowych wątków zobaczymy, jak policyjna prowokacja działającej pod przykryciem osoby prowadzi do tragedii, której skutki społeczność Annesly odczuwa do dziś.

„Sherwood” bardzo sprawnie prowadzi policyjny wątek oparty na figurze podwójnego śledztwa: w sprawie zabójstw Gary’ego i Sary oraz tożsamości ukrywającego się w społeczności agenta. Z niecierpliwością czekamy na odsłonięcie kolejnych elementów układanki, próbujemy złożyć je na własną rękę, serial do końca potrafi utrzymać naszą ciekawość i uwagę.

A jednocześnie gdy docieramy do końca, uświadamiamy sobie, że kryminalna intryga, odpowiedź na pytanie o sprawcę i jego motywację, a nawet o tożsamość policyjnego agenta nie są tu najbardziej istotne, że naprawdę ważne jest coś innego.

Złamany kręgosłup

Kluczową sceną „Sherwood” nie jest odkrycie prawdy i wyjaśnienie zagadek, ale dokonujące się już w momencie, gdy wiemy wszystko, spotkanie lokalnej społeczności. Rodziny ofiary i rodziny sprawcy, tych, którzy w latach 80. poszli na walkę z rządem, i tych, którzy ignorując protesty i ostracyzm kolegów zdecydowali się pracować. Scena wygląda, jakby pochodziła raczej z filmu Kena Loacha niż policyjnego serialu – i udaje się w niej osiągnąć podobną emocjonalną i społeczną prawdę, jak najlepszym momentom kina reżysera.

Widzimy wspólnotę, która mierzy się ze świadomością tego, jak bardzo i jak głęboko przegrała. Cała, bo poczucie klęski mają zarówno ci, którzy przyłączyli się do strajku, jak i ci, którzy tego nie zrobili. Ci drudzy mogą się przynajmniej pocieszać, że mieli rację, że strajk skazany był na klęskę, a wobec nieuchronnych zmian nie było innego wyboru niż wykorzystać ostatnie lata, gdy kopalnie pracowały i płaciły. Tłumaczący w ten sposób swoje decyzje górnik nie brzmi jednak przekonująco, pieniądze z górniczej odpłaty oddał synowi, jakby ich nie chciał, jakby miał poczucie, że okupione zostały kompromisami kosztującymi zbyt wiele. Ostatecznie także kopalnie w hrabstwie Nottingham zostały zamknięte szybciej, niż liczyli na to pracujący w nich górnicy. Odłączenie się od strajku niewiele pomogło – ci, którzy wybrali inaczej, mogą mieć przynajmniej poczucie, że nie poddali się, że podjęli walkę.

Annesly z serialu nie jest obszarem społecznej zapaści. Emerytowani górnicy nie są może szczególnie zamożni, ale nie żyją też w biedzie. Młodych ludzi zostało w miejscowości niewiele, ale nie żyją oni jako szczególnie źle. Na obrzeżach Annesly działa co prawda rodzina zajmująca się dystrybucją narkotyków i rozmaitymi innymi nielegalnymi działaniami, nie jest jednak tak, by po likwidacji górnictwa jedyną przynoszącą pieniądze aktywnością gospodarczą pozostała działalność przestępcza. Można się zastanawiać, czy miejscowość faktycznie aż tak źle wyszła na likwidacji górnictwa. A jednak im więcej czasu spędzamy z serialem, tym bardziej widzimy, że strajk z połowy lat 80. spowodował pęknięcie w lokalnej społeczności. A pamięć tego pęknięcia trwa

uporczywie, trzymając w swoim uścisku teraźniejszość.

Jak w „London Review of Books” pisał niedawno Ewan Gibbs, strajk z lat 1984-85 jest przełomowy dla najnowszej historii Wielkiej Brytanii jako moment, w którym związki zawodowe przestają być istotnym aktorem społecznym, zdolnym realnie współkształtować politykę kraju – jak robiły to przez pierwsze cztery dekady po wojnie. Stworzone przez Partię Pracy państwo dobrobytu traktowało górników jak „kręgosłup narodu”, grupę, na której pracy opiera się cała, ciągle zależna od węgla gospodarka. Thatcher i sympatyzujące z nią media obsadzili górników w nowej roli: awanturników, przemocą próbujących wymusić na większości rozwiązania korzystne wyłącznie z punktu widzenia ich branżowych interesów, dinozaurów starych porządków, blokujących postęp. I większość społeczeństwa kupiła ten nowy obraz.

Brytyjczy artyści o lewicujących sympatiach próbują od lat przedstawić przegrany strajk w sposób, który zostawiałby jakąś przestrzeń dla nadziei. W filmie „Dumni i wściekli” (2014) Matthew Warchus pokazuje niezwykle epizod z 1984 roku: sojusz strajkujących górników z walijskiej wioski i aktywistów LGBT z Londynu. Strajk kończy się klęską, ale tworzy też nowe sojusze i modele aktywizmu. W ostatniej scenie górniczy związkowcy przyłączają się do manifestacji na rzecz praw mniejszości seksualnych, a z końco-

wych napisów dowiadujemy się o roli górniczych związków w przyjęciu przez Partię Pracy postulatów ruchu LGBT.

„Sherwood” kończy się znacznie mniej optymistyczną nutą. Zostawia „zaledwie” nadzieję na to, że popekana wspólnota być może będzie się mogła uzdrowić, że skłócenie sąsiedzi, siostry, bracia w końcu zaczną ze sobą rozmawiać.

„Sherwood” a sprawa polska

W „Sherwood” udało się zgromadzić na ekranie świetną obsadę nieopatrzonych – zwłaszcza z punktu widzenia polskiego widza – aktorów. Nie tylko tworzą oni przekonujące, indywidualne kreacje, ale też ekranowy obraz gesty, znającej się aż za dobrze wspólnoty obciążonej trudną pamięcią.

Pracują przy tym na doskonałym scenariuszu, napisanym przez Jamesa Grahama, który zaczyna wyrastać na jednego z ciekawszych autorów pracujących dla brytyjskiej telewizji. Graham w swojej pracy dla teatru i telewizji porusza najnowsze wydarzenia polityczne – np. referendum w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, które napisany przez niego scenariusz filmu „Brexit” (2019) przedstawiał z punktu widzenia Dominica Cummingsa, szefa kampanii namawiającej do głosowania za wyjściem z Unii.

Grahama interesuje nie tylko wielka polityka. Napisany przez niego serial „Quiz” (2020), wychodząc od historii pary

oskarżonej o oszustwo w brytyjskiej edycji teleturnieju „Milionerzy”, zmienia się w świetną społeczną diagnozę Wielkiej Brytanii początku wieku: obsesji ówczesnego społeczeństwa na punkcie sławy, klasy społecznej, snobizmu i odwróconego snobizmu oraz roli, jaką w tym wszystkim odgrywa telewizja – przeżywająca jako medium swoje ostatnie dni chwały przed internetową rewolucją.

„Sherwood” było dla Grahama wyjątkową historią. Pisarz sam dorastał w Annesly. Choć jako rocznik ’82 nie może pamiętać strajku, to dorastał w społeczności, która pamiętała. Jak mówił w wywiadzie dla „Daily Telegraph”, pracując nad „Sherwood” po raz pierwszy poczuł się naprawdę wdzięczny, że w Wielkiej Brytanii ciągle są publiczne media – serial wyprodukowało BBC: „Nie musiałem w ogóle przejmować się komercyjnymi względami. Cenię Netfliksa, ale Netfliksa niekoniecznie będzie interesować to, co dzieje się na posiedzeniu władz lokalnych w moich rodzinnych stronach”.

„Sherwood”, poza wszystkimi wymienionymi wyżej powodami, warto więc obejrzeć dziś w Polsce jako głos w toczącej się teraz debacie, „jakich właściwie mediów publicznych chcemy” – bo także w Polsce jest niejedno powiązane w nieoczywisty sposób z wielką historią miejsce takie jak Annesly w hrabstwie Nottingham, czekające na to, by ktoś opowiedział jego historię. © JAKUB MAJMUREK

TP W ŚWIĄTECZNYM, PODWÓJNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

- Dodatek poświęcony kompetencjom przyszłości, przygotowany wraz z Fundacją Uniwersytet Dzieci. W środku m.in. rozmowa o wyzwaniach, z jakimi mierzą się współcześnie nauczyciele, a także przewodnik po kompetencjach, które już dziś powinniśmy rozwijać u dzieci.
- Dodatek o nowym otwarciu w relacjach polsko-niemieckich powstały we współpracy z Niemieckim Instytutem Historycznym w Warszawie (obchodzącym 30-lecie działalności). W środku m.in. wywiad z Miłosem Řežníkiem, dyrektorem Instytutu, rozmowa Olgi Gontarskiej i Ruth Leiserowitz o dzisiejszym eurosceptycyzmie, a także przegląd wydawnictw naukowych NIH-u.
- Rozmowa z dr Beatą Kwiatkowską-Kopką o wawelskiej wystawie Lapidarium, czyli o historii zaklętej w okruchach i kamieniach. „Nie ma jednej, prawdziwej historii Wawelu. Każdy buduje ją sobie z fragmentów” – mówi kuratorka.

Zapraszamy do lektury!



Lawendowa legenda

ANITA PIOTROWSKA

Film „Maestro” ma chronić pamięć o Bernsteinie, konserwować jego wielkość i celować w Oscary. Oraz potwierdzać tezę, że za każdym wielkim mężczyzną stoi kobieta, miłość zaś jest w stanie przezwyciężyć skrywaną naturę seksualną, pułapki sławy i talentu, a nawet śmierć.

JUŻ OTWIERAJĄCE MOTTO Z LEONARDA Bernsteina ustawia optykę filmu: prawdziwe dzieło sztuki daje często sprzeczne odpowiedzi. Akurat w dorobku tytułowego bohatera wcale tak dużych sprzeczności nie było. Bo mimo wielkiego zróżnicowania – niezależnie, czy dyrygował, czy komponował, dla sal koncertowych czy dla świata rozrywki, na zamówienie czy prosto z własnych trzewi – wszystko nosiło znamie niekwestionowanej wirtuozery.

Najwyraźniej reżyser Bradley Cooper za dzieło dużo bardziej wieloznaczne uznał biografię nowojorskiego dyrygenta, a w szczególności jego związek z aktorką teatralną Felicią Montealegre, trwający prawie trzy dekady. Jeśli zawczasu pogodzimy się z faktem, że nie jest to film o meandrach geniuszu na miarę „Amadeusza” i „Tár”, a raczej historia spod znaku „Wiecznej miłości”, czeka nas poruszający, choć mocno oceniany dramat obyczajowy o tym, jak twórca „West Side Story” dyrygował własnym życiem. A robił to bynajmniej nie po mistrzowsku,

choć im bliżej końca, tym bardziej można mieć wrażenie, że to Felicia – bezwarunkowo kochająca, wyrozumiała i cierpliwa – opowiada nam tę postać.

Z początku głos należy bardziej do niego. Po przedwczesnej śmierci żony wywiadowany artysta, zagrany przez samego Coopera, niejako referuje nam ich wspólny czas. Zaczyna opowieścią o duchach, następnie przechodzi we własną *success story* i historię o świętym monstrum, by finalnie skrócić w stronę rozdzierającego melodramatu. Chcąc nie chcąc, Cooper ślizga się po powierzchni zdarzeń, co chwila przeskakuje, dokądś pędzi, przed czymś ucieka i dopiero pod koniec przestaje ukrywać, że w „Maestrze” muzyka i związane z nią perypetie najczęściej bywają ilustracją. Przede wszystkim dla dramatu homoseksualnego mężczyzny, który desperacko poszukiwał absolutnej wolności – i w życiu, i w twórczości. Nazywał ów stan schizofrenią, mając na myśli rozdarcie pomiędzy tym, co jest, a tym, co być mogło.

Świetnie oddaje to jedna z filmowych sekwencji, kiedy Lenny i Felicia przyglądają się próbie scenicznego musicalu „On the Town” jego autorstwa. Choreografia w wykonaniu młodych marynarzy nagle wciąga ich oboje na scenę, stając się metaforą ich skomplikowanego małżeńskiego tańca i zarazem jego podwójnego życia. Chciałoby się więcej takiej wyobraźni inscenizacyjnej, kiedy na przykład cały ten jazz życia codziennego i towarzyskiego

niepostrzeżenie przechodzi w Mahlerowską melancholię. Tymczasem w „Maestrze” muzyka gra rolę raczej drugoplanową. Dużych scen koncertowych mamy raptem trzy, za to z udziałem London Symphony Orchestra pod batutą Yannicka Nézeta-Séguina, który był głównym konsultantem filmu. Największe wrażenie robi oczywiście sześciominutowe wykonanie „Zmartwychwstania” z II Symfonii c-moll Mahlera z 1976 r. w katedrze Ely. Ażeby dyrygować i nagrywać na żywo, Cooper ćwiczył ponoć przez sześć lat. I nawet jeśli ekspresją przypomina Toma i Jerry’ego albo Królika Bugsa, swoich ulubionych dyrygentów z dziecięcych kreskówek, to na dowód, że tak właśnie dyrygował sam Bernstein, umieszcza na końcu archiwalne nagranie z oryginałem.

Zresztą aktorstwo Coopera, wbrew początkowym obawom, naprawdę daje tutaj radę. Jego sztuczny nos, będący skądinąd mistrzostwem charakteryzacji, był krytykowany za stereotypizowanie postaci Żyda i odbieranie chleba aktorom semickiego pochodzenia (podobnie jak w przypadku Helen Mirren w „Goldzie”). Otrzymał jednak „błogosławieństwo” ze strony trójki dzieci Bernsteina i żydowskiej Ligi Przeciw Zniesławieniom. Swoją drogą, tego rodzaju akcje poprawnościowe (oburzenie, a potem afirmacja) świetnie wpisują się w filmowe kampanie reklamowe, zwłaszcza w przypadku ról imitujących znane osoby z grup „wrażliwych”



RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁ PRASOWY

MAESTRO

– reż. Bradley Cooper.
Prod USA 2023.
Dystryb. Netflix.
W kinach pokazy
specjalne,
od 20 grudnia
na Netflixie.

Bradley Cooper
to popularny aktor
amerykański, znany
m.in. z „Kac Vegas”,
„Poradnika
pozytywnego
myślenia” czy
„Snajpera”. W 2018 r.
zadebiutował jako
reżyser nominowanym
do Oscara filmem
„Narodziny gwiazdy”,
gdzie również zagrał
główną rolę. Scenariusz
do „Maestra” napisał
wspólnie z Joshem
Singerem, współtwórcą
„Pierwszego
człowieka”, „Czwartej
władzy” czy
„Spotlight”.

Na zdjęciu od lewej:
Isabel Leonard,
Rosa Feola i Bradley
Cooper (jako Leonard
Bernstein) w filmie
„Maestro”

etnicznie, rasowo bądź seksualnie. Wszelako najbardziej wybijają się na ekranie nie Cooper, a kreacja Carey Mulligan jako muzy, opiekunki i wiernej przyjaciółki geniusza. Jej ciepło i skupienie przed kamerą częściowo zamienia film w osobistą historię Felicii i to jej właśnie oddaje ostatnie spojrzenie, lecz równocześnie bardziej uczłowiecza chimeryczno-wampirycznego artystę. Czym było ich „ławendowe małżeństwo”? Aktem jej poświęcenia, twórczej symbiozy czy toksycznego konformizmu? Trudno jednoznacznie powiedzieć.

Szkopuł w tym, że dzieło Coopera, stosując owo na pół zapośredniczone, rozgrzeszające spojrzenie, nie potrafi złapać jakiegokolwiek ostrości. Chciałoby być mocną biografią, soczystym filmem o muzyce, porywającą *love story* i jedynie w tym ostatnim gatunku może dostarczać satysfakcji. Co więcej, mimo deklarowanego zamiłowania do sprzeczności, unika wszelkich kontrowersji, chociażby natury politycznej (Bernstein słynął z lewicowego aktywizmu na różnych frontach) bądź obyczajowej. Queerowość kompozytora, będąca wówczas tabu na show biznesie, ograniczona została do problemu niewierności małżeńskiej, aczkolwiek jest w filmie zabawny epizod, kiedy Lenny spotyka znajomą parę z niemowlakiem i wita go słowami: „Spałem z dwojgiem twoich rodziców!”. Z kolei żydowska tożsamość artysty manifestuje się jedynie hebrajskim napisem na bluzie, niechęcią do zmiany nazwiska i wzmianką o ukraińskim dzisiaj Równem, mieście jego rodziców, choć przecież wiadomo, że związki z żydowskością były u niego głębokie i nie ograniczały się do romansu z pewnym żołnierzem IDF.

Powstał zatem film, który ma chronić pamięć, konserwować wielkość i celować w Oscary. A przy okazji potwierdzać pocieszycielską tezę, że za każdym wielkim mężczyzną stoi kobieta, miłość zaś jest w stanie przezwyciężyć skrywaną naturę seksualną, pułapki sławy i talentu, a nawet śmierć. Brzmi to pięknie i chwilami całkiem wiarygodnie. Wiele jednak musimy sobie wyobrazić w temacie „życie z geniuszem”, bo scenariusz flirtuje z faktami i je filtruje. Balansuje między hipokryzją a dyskrecją, jakby od czasów Leonarda i Felicii nie minęło kilkadziesiąt lat.

Cooper stworzył swój trącący myszką film ze wspaniałomyślnej miłości i oczywiście miał ku temu pełne prawo. Toteż wszystko, włącznie z muzyką, aktorami i drobnymi skazami w życiorysie, pracuje tutaj na legendę Bernsteina. Efektem jest niespełnione arcydzieło, które przy całej pozorowanej frenezji próbuje zamknąć burzliwe życie osobiste i arcybogie życie muzyczne w nazbyt uładzonej partyturze. ©

Lektor: Z innego świata



■ *Hugo von Hofmannsthal*
KSIĘGA PRZYJACIÓŁ I SZKICE WYBRANE
Wybrał, tłumaczył i notami opatrzył
Paweł Hertz. Posłowie Wojciech
Karpiński. Wydawnictwo Próby,
Warszawa 2023, ss. 312

BYŁ FENOMENEM WCZESNEJ PISARSKIEJ DOJRZAŁOŚCI. Stefan Zweig w „Świecie wczorajszym”, elegii powstałej podczas II wojny na zaoceanicznej emigracji, gdzie żegnał na zawsze (wkrótce popełni samobójstwo) swój Wiedeń, swoją Austrię i swoją Europę, pisał o nastoletnim Hofmannsthalu: „W całej literaturze światowej nie umiałbym wymienić przykładu (z wyjątkiem Keatsa i Rimbauda) podobnej nieomyślności w opanowaniu języka, szerokości lotu ideowego, nasycenia każdej linijki wiersza substancją poetycką, jakie cechowały ten wspaniały talent”. I wspominał osłupienie sławnego krytyka Hermana Bahra, który wyznaczył w kawiarni spotkanie nieznanemu autorowi podpisującemu się „Loris”. Spodziewał się sędziwego mędrca destylującego swoje myśli w samotności, tymczasem pojawił się „wysmukły, bezwąsy gimnazjalista w krótkich spodenkach”, któremu nie do końca jeszcze minęła mutacja; pseudonimu użył, bo uczniom nie wolno było drukować pod nazwiskiem...

Hugo von Hofmannsthal (1874-1929) – poeta, prozaik, krytyk, dramatisarz, autor librett do oper Richarda Straussa („Kawaler Srebrnej Róży”) – był jednym z najważniejszych twórców austriackiego modernizmu. Jego świat skończył się wraz z upadkiem cesarstwa Habsburgów – szukał wtedy ratunku w idei „rewolucji konserwatywnej” – ale jego wrażliwość, myślenie o sztuce, o obowiązkach artysty wobec świata pozostają nadal żywe. „Był artystą ściśle związanym z momentem historycznym, z pewną wizją Europy, literatury i społeczeństwa, a zarazem musiał rozmiąć się ze współczesnością patrząc na nią z dystansu kogoś, kto dostrzega niebezpieczeństwa” – zauważa Wojciech Karpiński.

Wspaniałe przekłady Pawła Hertza pozwalają docenić mistrzostwo stylistyczne Hofmannsthal, tak podziwiane przez współczesnych. I zrozumieć znaczenie, jakie dwa jego teksty miały dla Józefa Czapskiego (a tym samym i dla polskiej kultury). Pierwszy to apokryficzny „List”, w którym Lord Filip Chandos tłumaczy się Franciszkowi Baconowi z powodów zaniechania działalności literackiej. A tekst drugi to jedyny w tym wyborze i zarazem otwierający książkę wiersz – odczytywany przez Czapskiego jako etyczne przesłanie, wyraz nieusuwalnej świadomości grozy istnienia i jakiejś powinności, którą nakłada na nas cudze cierpienie. ©®

OLGA

Drenda:

Strzeż się tych nie-miejsc



„LIMINALNY” TO TAKIE SŁOWO, KTÓRE OD RUCHOWO wywołuje uśmiezek absolwenta etnologii, bo studenci I roku poznają je na zajęciach wprowadzających i oczywiście, typowo dla oczarowanych świeżo zdobytą wiedzą neofitów, lubią się szczycić jego znajomością i stosować nawet tam, gdzie zupełnie nie pasuje. O jego hermetyczności dowcipkował niegdyś Jerzy Pilch i nie dziwię się – to wręcz definicja „trudnego słowa służącego do imponowania innym”. Do czasu. Dziś brzmi zwyczajnie, bo powszechnie zaczęliśmy zauważać jego coraz bardziej wszechobecny desygnat. Za sprawą nowej mitologii, która wykluła się w internecie, słówko to wyszło ze słownika szpanujących studentów do użytku powszechniejszego. A przy okazji celnie trafiło w nowy sposób patrzenia na świat, również ten offline.

Dla porządku: „liminalność” oznacza „stan przejściowy”, „trwanie pomiędzy”. Dlatego może odnosić się – jak w klasycznej etnologii – do momentu zmiany statusu w rytuale przejścia (na przykład: okres między zakończeniem studiów a obroną dyplomu, między złożeniem wniosku o zawarcie małżeństwa a wymianą obrączek). Ale szerzej – do wszystkich stanów, momentów i miejsc, w których coś lub ktoś znajduje się „jeszcze nie tu, ale już nie tam”. Przeprowadzka. Poszukiwanie nowej pracy. Oczekiwanie na odpowiedź. Oczekiwanie na uformowanie się stabilnego rządu. Siedzenie w realnej albo symbolicznej poczekalni.

Ale liminalne są też przestrzenie. Antropolog Marc Augé pisał kiedyś o „nie-miejscach”, czyli zestandaryzowanych przestrzeniach, w których stajemy się anonimowi, które zostały zaprojektowane tak, by nie generować żad-

nych uczuć (nie zawsze z powodzeniem, por. dworzec w Poznaniu). Przestrzeń liminalna, w takim znaczeniu, w jakim zaczęła nawiedzać współczesny folklor, to niezupełnie to samo: jest anonimowa, ale przez to napełniająca się intensywnymi uczuciami, głównie nostalgii, strachu, ciekawości niesamowitego. Patrzymy w pustkę i zaczynamy dostrzegać widma. Dla kogo gra odbijający się echem radiowy hit w opuszczonym centrum handlowym? Co dzieje się nocą w starym sklepie zagospodarowanym na ścianę paczkomatów?

Według internetowego mitu o The Backrooms, rzeczywistość ma swoje straszne zaplecze, do którego można w chwili nieostrożności przeniknąć na zawsze, utykając w niekończących się korytarzach wyłożonych starą wykładziną albo na wielkim parkingu podziemnym, przy wtórze buczonej świetlówki. Co za istoty zamieszkują tę przestrzeń – strach myśleć. Tak przynajmniej głosi creepypasta (internetowy gatunek fikcji z pogranicza legendy miejskiej i horroru), która zainspirowała już kilka dzieł kultury (krótki film Kane’a Parsonsa, gra), ale przede wszystkim zaraziła globalną wyobraźnię konceptem przestrzeni nieco upiornych przez swój brak właściwości. Ich zwyczajność i nijakość osiąga punkt krytyczny, za którym czai się już niesamowite.

Co właściwie sprawia, że anonimowe „antymiejsca” fascynują i straszą jakby nieco bardziej niż dotychczas? Przecież tam, gdzie słychać głównie echo, obawa jest jakby elementem programu. Dzieci wzajemnie stawiają sobie wyzwania, by zajrzeć na strych czy do opuszczonego domu. Lech Janerka przypominał dawno temu, by strzec się „zakamarków, schodów, wind”. Miał co prawda na myśli Wrocław, ale sądzę, że jego przestrogi pasowały i do wielu innych szerokości geograficznych.

Podaję jednak, że coś się zmieniło. Liminalność zaczęła wkradać się poza granice „pomiędzy”, anektując przestrzenie znane i oswojone. Rzędy paczkomatów, szkielety nietrafiionych przedsięwzięć, anonimowe białe-szare hale i korytarze centrów przesiadkowych czy nowoczesnych budynków modułowych, ulice kończące się niczym, wiecznie niedokończone czy nieprzemyślane remonty, inwestycje deweloperskie w środku pola, zaprojektowane czasem po to, by nikt tam nie mieszkał. To dzisiaj nasz krajobraz, nasza – by pożyć sobie termin od grupy fotografów-obrazoburców z lat 70. – „nowa topografia”. W dodatku, w przeciwieństwie do dawniejszych miejsc niczych, które mogły kryć w sobie element paradoksalnej gościnności, te są monitorowane, ogrodzone, strzeżone, doświetlone zimnym LEDem. To przestrzeń obcości, a obcość ta sięga wszędzie. Straszy i ciekawi, bo z zasady wyprasa.

Jeśli wierzyć użytkownikom serwisu Reddit publikującym tam zdjęcia, krainą przestrzeni liminalnych jest Polska. Może to świadczyć po prostu o wyjątkowym zaangażowaniu polskich fotografów pasjonatów. Ale może nie tylko o tym.

Bathophobia
– lęk przed
głębią,
dotyczy
także
korytarzy.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Mięsny sens



PÓŁTORA KILO BRUKSELKI ZDAŻYŁEM STARANNIE oczyścić nożykiem, podczas gdy Mateusz Morawiecki ostatni raz zamęczał moje uszy wyliczanką zasług swoich dwóch poprzednich gabinetów, bo w ten trzeci, zwany dwutygodniowym, nawet on nie wierzył. To naprawdę sporo dłubania, około dwustu małych kapustek, z każdej należało odciąć zeschnięty mini-głębik, po czym zeskrobać podeschle, nieraz lekko podgnięte listki. Nie jestem fanem platońskiej doskonałości warzyw, przerażają mnie ludzie gotowi szatkować marchew w idealną zapalkę z dokładnością do milimetra, ale brukselkę lubię mieć ładną.

To piękny w swej złośliwości przypadek, że rzewne *adieu* pana premiera i jego oda do „polskiej drogi do wielkości” spływały u mnie na taki podkład. Gdyby trochę porządził, może wprowadziliby jeszcze zakaz podawania brukselki lub zmianę nazwy będącej zamachem uniijnej biurokracji na suwerenny polski obiad. Że ta ekipa jest do tego zdolna i chętna, widać po legislacyjnym podrzutku, jaki dwutygodniowy gabinet pozostawia następcom. Anna Gembicka przejdzie do historii nie tylko jako pierwsza ministerka rolnictwa, ale też jako ta, która ustawiła Polskę w pierwszym szeregu krajów walczących z nazewnictwem roślinnych zamienników mięsa. Przygotowała mianowicie rozporządzenie ograniczające stosowanie w handlu nazw „szynka, wędlina, kiełbasa” do produktów czysto zwierzęcych (lub w przypadku kiełbas z dodatkami niemięsnymi, które wynikają z receptury – nawet najzagorzalszy mięsożerca wie, że parówka jest sobą tylko dzięki obecności śmieci niezwiązanych z żadnym kręgowcem).

Aż dziw, żeśmy wcześniej nie zadbali o to, by stać się równi np. Francji i zakazać handlowania sojowym kotletem i wegekiełbaską. Paryż, owszem, ze swojego wprowadzonego z szumem półtora roku temu dość szerokiego zakazu szybko się musiał wycofać na polecenie ichniego trybunału konstytucyjnego, który w typowym akcie nieokiełznanej „sędziokracji” podważył prawomocność rządowych przedłożeń w świetle prawa europejskiego. I dopiero we wrześniu tego roku notyfikował w Brukseli znacznie łagodniejszą wersję przepisów ze skróconą (ale dłuższą od naszej) listą zakazanych słów, głównie typowo rzeźniczych określeń na konkretne części wołu czy wieprza (typu nasza „pierwsza krzyżowa”), choć oczywiście cała bitwa o mięsny sens rozgrywa się wokół trzech-czterech najpopularniejszych typu „stek” czy „szynka”.



Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow

W tej samej Brukseli leży podobne prawo uchwalone przez włoski parlament – z ciekawym dodatkiem: otóż minister rolnictwa, z „suwerennościowej” partii rządzącej (a przy okazji szwagier premierki, bo ławkę to oni mają doprawdy krótką), walczy z wiatrakami „mięsa syntetycznego”, czyli produktu złożonego z komórek mięśniowych wyhodowanych w bioreaktorach. Na Zachodzie można nawet tu i ówdzie skosztować tego mięsa (bo to jest mięso, choć nie z ciała zwierzęcia), ale to jeszcze przymiarki i w żadnym kraju Europy nikt niczego takiego do handlu nie dopuścił. Włosi, bardzo, o bardzo dalecy potomkowie Leonarda i Kolumba, niegdyś kolebka niespokojnych geniuszy i nieustraszonych odkrywców, postanowili zakazać sobie badań w tym kierunku – bo zagrażają ich „tożsamości”.

Murem języka nie otoczysz. Ani rynku. Te zakazy, o ile nawet wejdą w życie, nie dotyczą produktów wyprodukowanych w innych krajach Unii. Brak bowiem unijnych przepisów reglamentujących rzeźnicze słowa – w odróżnieniu od rynku mleczarskiego, który wywalczył sobie już dziesięć lat temu zakaz „mleka sojowego” i podobnych. Kosztem zresztą biurokratycznych koszmarów – lektura aneksów z wyjątkami daje pojęcie o beznziej walce urzędników z żywiołem języka, gdzie np. po francusku *crème* to nie tylko „śmietana” ale i „krem” w rozumieniu zupy warzywnej oraz syrop owocowy (np. sławny *cassis*), co należało ująć w stosownej tabelce zezwoleń. Polski podrozdział zawiera zgodę na tylko jeden lokalny wyjątek: „ser jabłeczny”, czyli kłosek z superzagęszczonej marmolady, oldskulową łąką kojarzoną raczej z Litwą niż Polską.

Świetnie rozumiem, że mortadela bolońska może być poważnym, być może najważniejszym powodem, by ktoś chciał czuć się Włochem. Podobnie z dobrą kiełbasą krakowską. Ale za obroną szynki z mięsa stoją tylko ogromne interesy branżowe, a nie narodowe, a słowa „tożsamość” i „tradycja” okazują się powoli najbardziej zużytymi wytrychami w tym sezonie. Jakby politykom w różnych krajach równocześnie pokończyły się sensowniejsze tematy zastępcze. ©P

*Kiedy się już oskubie brukselkę, to większość pracy za nami, bo ona lubi raczej prostą obróbkę: pieczenie na blasze (po przepołowieniu większych sztuk) lub podgotowanie i dalsze podduszenie na oliwie z wędzoną papryką. Ale na ten poniedziałkowy obiad zrobiłem wersję lekko podrasowaną. Blanszujemy brukselkę przez 10 minut, przetrzucamy na patelnię, gdzie stopiliśmy trochę **masła** wraz z ząbkami **czosnku**. Dusimy pięć minut, obracając. Przekładamy do formy wysmarowanej masłem, tak by brukselka utworzyła jedną, góra dwie warstwy, dodajemy nieco wiórków masła i posypujemy szczyptą **parmezanem**. Zapiiekamy w 190 stopniach ok. kwadrans, aż się ser zacznie ładnie złocić.*



ZIELONE WZGÓRZA NAD NOSTALGIĄ

Dla niepomnych realiów leczniczego turnusu w Polsce Ludowej są osobliwością, kapsułami czasu. Przyciągają też architekturą – jak budynki utrzymane w estetyce brutalizmu, której atrakcyjność tkwi w pozornej brzydocie.

TEKST BEATA CHOMĄTOWSKA | ZDJĘCIA NATALIA BULARZ

KIEDY MARCIN WOJDAK, FOTOGRAF I AUTOR PUBLIKACJI „Ostatni turnus. Pocztówki z wczasów w PRL-u” pokazał w internecie zdjęcia uzdrowiskowych sanatoriów i samych kurortów, był nieco zaskoczony reakcjami odbiorców.

– Młodszy sanatorium kojarzy się z relaksem w stylu retro – mówi Wojdak. – Pewnie dlatego, że wiele uzdrowisk ma dziś aurę miejscowości wypoczynkowych, ale bez atrakcji dla masowego turysty, z niespiesznym tempem życia. Jawią się jako miejsce o dystygowanym uroku, przeznaczone do promenowania po parku, picia wód źródłanych i konsumpcji szarlotki przy kawiarnianym stoliku – a nie codziennych wędrówek na nieprzyjemne zabiegi.

Zdjęcia nadal pojawiają się na prowadzonym przez Wojdaka w mediach społecznościowych profilu cosmodern, gdzie pokazuje architekturę powojennego modernizmu. I nieodmiennie cieszą się dużym zainteresowaniem.

Przybywa też osób, które chcą zobaczyć uzdrowiska w realu. I nie są to tylko kuracjusze w wieku emerytalnym (choć ci wciąż licznie podróżują do zdrojów). Wojdak zaobserwował,

że młode pokolenia traktują uzdrowiska jako atrakcję samą w sobie. – Wypad na weekend do Krynicy-Zdroju czy Szczawnicy jest dla nich pewną konwencją, czymś, czym należy pochwalić się potem wśród znajomych – mówi. Bo nawet po remontach większość uzdrowiskowych obiektów zachowała sporo z dawnej atmosfery.

Nowi odkrywcy uzdrowiskowych lądów z entuzjazmem zaangażowali się w akcję zorganizowaną trzy lata temu przez Narodowy Instytut Architektury i Urbanistyki pod hasłem „Pozdrowienia z powiatów”. Miała popularyzować architekturę modernistyczną w mniejszych miejscowościach. W jej ramach powstały również foldery dotyczące modernizmu sanatoryjnego, a także gra planszowa „Kurort” o przedwojennych uzdrowiskach.

Dla ich miłośników jest jednak zła wiadomość: to najpewniej ostatni moment, by podziwiać miejscową architekturę w kształcie z minionych dekad. Tym bardziej że w wielu przypadkach jej powojenna część powstawała jako duże, jednolite kompleksy sanatoryjne. To, że zachowały się do dziś w całości w pierwotnej formie, można uznać za paradoksalną korzyść



z chronicznego niedofinansowania systemu ochrony zdrowia. A że w związku ze starzeniem się Polaków geriatria wysuwa się na czoło rankingu najszybciej rozwijających się dziedzin medycyny, można spodziewać się, że dysponujące taką bazą dawne uzdrowiska wkrótce staną się łakomym kąskiem dla inwestorów. Również tych kierujących się rachunkiem ekonomicznym, a nie dbałością o istniejącą zabudowę.

Matryca

Początków dzisiejszego kształtu polskich uzdrowisk należy szukać pod koniec XVIII w. Powstały z połączenia sprzeczności: z jednej strony przyczynił się do tego rozwój racjonalistycznej doktryny medycznej, z drugiej – romantyczny naturalizm skłaniający do bezpośredniego obcowania z przyrodą.

Do tego dochodzi czynnik instytucjonalny, czy wręcz polityczny. To powołana w latach 50. XIX w. Komisja Balneologiczna w ramach Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, której przewodniczył najpierw Henryk Skobel, później Józef Dietl, znany szerzej jako prezydent Krakowa. Gremium to zajmuje się poszukiwaniem i badaniem chemicznych źródeł mi-

neralnych, wydając przy okazji zalecenia w zakresie urzędowania zdrojowisk. W pobliżu Krakowa rozwijają się już wtedy dwa – w Krzeszowicach i Swoszowicach. Potem powstaje kilka w Karpatach. A że ówczesna myśl polityczna utożsamia rozwój górskich uzdrowisk z pracą dla dobra narodu, przeciwstawiając je modnym kurortom zagranicznym, wkrótce przy Komisji powstaje też kolejna instytucja: Spółka Zdrójowisk Krajowych, również z udziałem Dietla. Obejmuje działalnością uzdrowiska zachodniej Galicji: Szczawnicę, Krynice, Żegiestów, Iwonicz i Swoszowice, a także – dopiero powstające – w Rabce.

Patriotyczny aspekt XIX-wiecznych kurortów znajdzie wkrótce wyraz w literaturze pięknej, od Wincentego Pola i Adama Asnyka, a także w nazwach willi, z których można ułożyć istną litanię: „Biały Orzeł”, „Witoldówka”, „Kosynier”, „Pogoń”, „Szczerebiec”, „Kościeszko”, „Pod Batorym”, „Pod Sobieskim”, „Pod Królem Kazimierzem”, „Pogoń”, „Warszawianka”, „Litwinka”. Przyczyny tego wzmożenia są co najmniej prozaiczne: Polacy wolą peregrynować do wód niemieckich czy francuskich, bo znajdują tam znacznie lepsze warunki niż w prymitywnie jeszcze urządzonych zdrojowiskach krajowych. Trzeba więc je doścignąć.

Jak na ironię, narodowy program przyjmuje międzynarodowy, uniwersalny kształt. – W rozplanowaniu polskich uzdrowisk widać stałe punkty, rodzaj matrycy wzorowanej na rozwiązaniach z Zachodu – tłumaczy Błażej Ciarkowski, architekt i historyk sztuki zajmujący się modernizmem. – Zwłaszcza z Niemiec i Francji, które w XIX w. musiały wymyśleć sposoby na nowoczesną pod względem urbanistycznym i technologicznym aranżację przestrzeni, pozwalającą pomieścić rzesze przyjezdnych.

Punktem wyjścia jest atrakcyjny krajobraz, zwykle posiadający też dodatkowe walory, jak źródła lecznicze. Na tej bazie powstaje układ przestrzenny zdrojowiska, mieszczący się zwykle na planie kwadratu. Jego centrum wyznaczają źródła. Najważniejsza budowla całego założenia to dom zdrojowy mieszczący salę reutową, kawiarnię, czytelnię. – Pełni rolę centrum życia towarzyskiego, co jest nawiązaniem do znacznie wcześniejszych tradycji, łaźni i term starożytnego Rzymu, przeznaczonych nie tylko dla ciała, ale i ducha. Podobne funkcje miała pełnić też zbudowana znacznie później, bo w latach 70. XX w., Nowa Pijalnia w Krynicy. Zdrowotny aspekt był tylko jednym z wielu, jakim służyło całe założenie – dodaje Ciarkowski.

Obok powstają obiekty z urządzeniami uzdrowiskowymi – pijalnie, altany i muszle koncertowe dla orkiestr, kaplica, restauracje i hotele oraz hale spacerowe, niekiedy kryte, by służyły również podczas niepogody – z tych ostatnich można korzystać i w Vichy, i w Świeradowie. Do tego wille o charakterze pensjonatów, zabudowania gospodarcze i możliwie obszerny park, często utworzony na bazie sąsiedniego lasu. To na jego skraju sytuowano większe grupy budowli zdrojowych.

Pierwsze próby utworzenia uzdrowiska w Krynicy przypadają jeszcze na XVIII w., choć rozkwita ono dopiero w połowie kolejnego stulecia. Inne, jak szczawnickie, rabczańskie, w Iwoniczu czy Truskawcu, rozwijają się na większą skalę w międzywojniu. Niektóre zamieniają się w tzw. kurorty całoroczne (wcześniej wiele z nich przyjmowało gości wyłącznie latem). Choć w praktyce owa całoroczność sprowadzała się do jeszcze jednego sezonu: zimowego.

→ – Wtedy też z czasem ten wyjściowy, kameralny układ rozciąga się, w zależności od tego, jak bardzo umożliwiają to warunki naturalne, i dogęszczanie – mówi Błażej Ciarkowski. – Powstaje coś, co można nazwać pełnoprawną miejscowością uzdrowską. Po II wojnie światowej dochodzą do tego osobne dzielnice sanatoryjne.

Witajcie w entropii

„Dzisiaj, po 84 latach od przecięcia wstęgi, władzę nad budynkiem zaczyna przejmować natura. Rachityczne drzewa samejki walczą z materią nieożywioną: rozpychają korzeniami szczeliny w tarasach i balkonach. Ptaki wiją gniazda w okapie przeciekającego dachu, a ślimaki szukają schronienia między ceglami na elewacji. Do środka niełatwo wejść, gdy nie jest się zukiem”.



To powidoki z Rabki-Zdroju, fragment tekstu z pisma „Autoportret” autorstwa historyczki sztuki Kamili Twardowskiej, która kilka lat temu zajrzała do wnętrza opuszczonego dziecięcego sanatorium Rodziny Kolejowej Lotos na stoku Bani. Budynek był zamknięty na cztery spusty, ale stróż akurat się nudził i wpuścił do środka.

– Zupełnie się nie spodziewałam, że trafię do kapsuły czasu, która powiezie mnie prosto do lat 30. XX w. – przyznaje Twardowska. – Rozglądałam się po wnętrzu, pierwsza myśl: „O, widać, że dzieci już się rozjechały po sezonie, dlatego sprzęty zdążyły przykryć kurz”. Bo poza tym wszystko stoi, jak stało, brakuje tylko specjalistycznej aparatury i łóżek.

Na ostatniej kondygnacji, pod nadbudowanym na początku XX w. dachem – fantastyczny przeszklony pawilon, gdzie chorujące na gruźlicę dzieci odpoczywały w ciszy, przykryte kocami. Obok umilająca im leżakowanie ptaszarnia, teraz pusta, dwa rozłożyste tarasy, zaanektowane przez rośliny. Przy słonecznej pogodzie widać stąd Tatry. Modernistyczne sanatorium miało pijalnię, do której prosto ze źródła płynęła specjalnym rurociągiem solanka, solarium z lampami kwarcowymi, gabinety: stomatologiczny, fizjoterapeutyczny, kąpielowy, własną centralę telefoniczną i system sygnalizacji radiowej w sypialniach, sanatoryjne przedszkole oraz 7-klasową szkołę podstawową, wyposażoną w epidiaskop do urządzania projekcji, kino dźwiękowe, bibliotekę.

– Powiedzenie, że bieda konserwuje, w całości się tutaj sprawdziło – mówi Twardowska. – Widać, że po wojnie ko-

rzystano wciąż z pierwotnego wyposażenia. Najpewniej brakowało środków na kapitalny remont. Dzięki temu w gmachu zachowały się oryginalne klamki, umywalki i krany, stolarka, posadzki z lastriko. W stołówce ciągle można usiąść przy ciężkich ławach w stylu art déco, a w sali teatralnej na tapicerowanych fotelach pod geometrycznymi, metalowymi lampami.

Marcin Wojdak: – Zachowane wyposażenie sanatoryjne, te wszystkie stare, służące do niezrozumiałych dziś zabiegów maszyn, ich często dziwaczna stylistyka, potęguje aurę niesamowitości.

Nie-miejsca

Każdy kurort, uzdrowsko czy nawet letnisko jest zarazem miejscem i nie-miejscem. Ta druga kategoria, wprowadzona do antropologii przez Marca Augégo, oznacza przestrzeń niczyją, tranzytową, w której przebywa się bardziej z konieczności niż z własnej woli, służącą stosunkowo wielu użytkownikom, niekoniecznie ze sobą powiązanym. Specyfika uzdrowska sprawia, że w jego krajobrazie dominują instytucje powiązane z zasadniczym profilem, czyli szpitale, sanatoria, prewentoria, do tego sporo infrastruktury związanej ze spędzaniem wolnego czasu, jak kina, kawiarnie, pensjonaty. Obok właściwej miejscowości, żyjącej własnym życiem, kurort mający ją w nazwie pulsuje w rytmie dwóch pór roku, odmierzanych leczniczymi turnusami. To warunkuje odbiór danej miejscowości i relacji z nią. Miejsce przepływu, nawiedzane raczej niż zamieszkiwane, podporządkowane przyjezdnym, którzy doświadczają go inaczej niż miejscowi, lecz intensywnie – zwłaszcza poprzez częste krążenie po jego obrębie, dryfowanie.

Wielu spośród dzisiejszych eksploratorów uzdrowsk, przedstawicieli roczników z lat 70. i 80. XX w., którym zdarzyło się przebywać albo odwiedzać takie miejsca w dzieciństwie, niemal kompletnie nie pamięta ich topografii. Nie potrafią rozpoznać na zdjęciach budynków, w których mieszkali, ani umiejscowić ich na mapie. Jest tak, jakby poznawali je na nowo. Być może czas – niczym w „Czarodziejskiej górze” – płynie dla przybyszów odrębnym, uzdrowskim trybem, wpływając też na odbiór otoczenia.

Mariusz Majewski, pasjonat i fotograf modernizmu, znany z popularnego konta na Instagramie jako funkyspion, stara się planować wakacje w taki sposób, żeby móc przy okazji zobaczyć nieznane jeszcze budynki z okresu międzywojnia. – Naturalnym wyborem, zwłaszcza zimą, stają się właśnie uzdrowska – mówi. – Takich budynków jest tam mnóstwo, i to niekoniecznie ulokowanych przy głównych ulicach. Czasem oddalenie się od centrum owocuje znaleziskami. Kiedy dzielę się nimi potem w internecie, wiele osób jest zdziwionych, bo odwiedzając Krynice-Zdrój, Wisłę, Iwonicz-Zdrój, Zakopane czy Żegiestów-Zdrój, koncentrują się na głównej ulicy handlowej i atrakcjach w jej sąsiedztwie.

Wśród swoich odkryć Majewski wymienia pensjonat „Patria” zaprojektowany dla Jana Kiepurę przez Bohdana Pniewskiego w Krynicy, szpital uzdrowski „Excelsior” w Iwoniczu-Zdroju projektu innego znanego warszawskiego architekta Juliusza Putermana-Sadłowskiego czy hotel „Wiktor”, zacumowany jak statek na wzgórzach Żegiestowa – dzieło lwowiaków Jana Bagińskiego i Zbigniewa Wardały. – Czasami są to prawdziwe perełki, wewnątrz których czas się zatrzymał z korzyścią

*Żegiestów-Zdrój, pijalnia „Anna”.
Sierpień, 2018 r.*

*Na sąsiedniej stronie:
Żegiestów-Zdrój, wnętrze restauracji
w Domu Źdrojowym projektu
prof. Adolfa Szyszko-Bohusza.
Stan ze stycznia 2018 r.*

*Na poprzednich stronach:
Widok ze ścieżki rowerowej na pensjonaty
„Światowid” i „Prometeusz”, rzekę Poprad
oraz słowacką „Łopatę”. Luty, 2020 r.*

*Zdjęcia pochodzą z książki fotograficznej
„Martwy sezon” Natalii Bularz, powstałej
w ramach projektu „Uczelnia najwyższej
jakości – UP to the TOP”, 2022 r.*



dla nich – mówi, przywołując jako przykład „Patrię”. – Budynek rządowy, obecnie pełniący funkcję schroniska dla uchodźców, ale być może w tym tkwi właśnie sekret tak dobrego stanu zachowania wnętrz. Brak funduszy i zapal pracowników – dyrekcja jest bardzo otwarta na pasjonatów modernizmu i świadoma materialnego dziedzictwa, z jakim ma do czynienia – sprawia, że budynek, choć technicznie wymagałby renowacji, nadal zachwyca.

Dziedzictwo kłopotliwe

Polskie państwo długo nie miało pomysłu, co zrobić z odziedziczonymi po PRL-u uzdrowiskami. Jeszcze dekadę temu należały do niego w pełni aż 24 kurorty. Kolejne rządy zgadzały się, że część z nich należałoby sprzedać, nie mogły jednak zdecydować się, które. W kilku uzdrowiskach, jak Rabka-Zdrój, Konstancin czy Iwonicz, sprawę komplikowały roszczenia reprivatyzacyjne. Początkowo udało się tylko w Nałęczowie, gdzie uzdrowisko sprzedano holenderskiemu inwestorowi – powstało tu m.in. centrum spa i nowoczesne, specjalistyczne ośrodki medyczne. Ale chętnych do zakupu innych kurortów nie brakowało – nawet wśród firm z krajów Zatoki Perskiej. W miarę jak w ówczesnym resorcie skarbu guzdrano się z podejmowaniem decyzji, dzieląc po raz kolejny uzdrowiska na grupy (przeznaczone do prywatyzacji i takie, które miały docelowo zostać państwowe, by rozwijać się dzięki środkom ze sprzedaży pozostałych) inwestorzy wykruśzali się. Na placu boju zostało trochę polskich firm medycznych i turystycznych.

Właśnie w tych dwóch branżach upatrywano nadziei na drugie życie kurortów. Paradoksalnie bowiem, postęp medycyny, który zrodził samą ideę uzdrowisk, teraz dołożył się do ich dezintegracji: możliwość leczenia wielu chorób w domu i dostępność leków nowej generacji sprawiła, że długie pobyty w sanatoriach straciły sens.

– Koncepcja osobnych dzielnic sanatoryjnych na obrzeżach uzdrowiskowych miejscowości, święcąca triumfy od końca lat 50., zaowocowała istnieniem całych zespołów monofunkcyjnej zabudowy, takich jak liczne domy wczasowe należące do różnych zakładów pracy w dzielnicy wypoczynkowej Ustronia. To dziedzictwo architektury socmodernistycznej czasów PRL-u, z którym dziś nie do końca wiadomo, co zrobić – mówi Błażej Ciarkowski.

Utrzymująca się latami niepewność co do dalszych losów kurortów odbiła się niekorzystnie na stanie wielu uzdrowiskowych budynków. Mimo że w międzyczasie państwowy właściciel zasiliał uzdrowiska środkami na modernizację bazy leczniczej i hotelowej, kilka z nich dostało też pomoc publiczną. Nie zawsze jednak problem tkwi w braku środków, czasem wręcz przeciwnie.

– Niestety, spora grupa osób nie potrafi docenić jakości nawet międzywojennej architektury i nie wyczuwa różnicy między indywidualnie projektowanymi detalami z wysokiej jakości materiałów a ogólnodostępnymi masowymi produktami. Jak coś nowe, to czyste i lepsze, stąd wiele budynków, z zewnątrz wyglądających całkiem nieźle, wewnątrz jest „masakrowanych” – przyznaje Mariusz Majewski. – Inną bolączką jest przebudowa. Nadzwyczaj często kończy się zrujnowaniem oryginalnych elementów wystroju lub zaburzeniem proporcji budynku. Uzdrowisko w górach musi wyglądać jak alpejski kurort, więc otrzymuje drewniane wieżyczki, a spadziste dachy zastępują płaskie. I tylko wchodząc do środka i podziwiając przedwojenną balustradę, schody z lastryko czy gorseciki na podłodze możemy zorientować się, że to budynek przedwojenny.

Można więc zżymać się, że dzisiejsze zainteresowanie polskimi uzdrowiskami wśród młodych wypływa z powierzchownych pobudek – to bardziej wyobrażenie niż wiedza o tym, jak wyglądała w nich codzienność. Naskórkowe, głównie estetyczne zachwyty, podobnie jak u młodych kolekcjonerów PRL-owskiego designu.

A jednak jeśli ktoś może pomóc w uchronieniu tych miejsc przed nieubłaganą dewastacją, to właśnie przybysze z zewnątrz, którzy ściągają do nich zafascynowani architekturą. – Wraz ze wzrostem popularności modernizmu rośnie świadomość jego znaczenia i presja na rewitalizację tych budynków w zgodzie ze sztuką – mówi Majewski. Ma nadzieję, że ta tendencja się utrzyma. Młodzi mogą bić na alarm, nagłaśniać zawczasu wątpliwe plany inwestorów, angażować w protesty mieszkańców. Ale do pełni szczęścia przydałyby się jeszcze systemowe rozwiązania w zakresie ochrony krajobrazu – inaczej nawet najbardziej spektakularne przykłady zabudowy dawnych źródeł trudno będzie dostrzec zza reklamowych ekranów.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz: *Jedyni na świecie*



PO LATACH PRZEMYŚLIWAŃ I MOZOLNEGO sumowania udało nam się ongiś ustalić, że Polska Rzeczpospolita Ludowa była krajem absurdu bynajmniej nie z powodu obcej, opresyjnej fizycznie i metafizycznie ideologii, nie przez nacisk na pomysłunek narodu, głupotę systemu, ale po prostu z powodu wrodzonej, niejako tutejszej skłonności do absurdalnych kreacji. Tym samym – to logiczne – absurd życia codziennego nie mógł zniknąć po zburzeniu muru w Berlinie, zerwaniu tzw. żelaznej kurtyny i odsunięciu od władzy kilku gruntownie zdezaktualizowanych mężczyzn. Zdarzenia te nie miały żadnego znaczenia albo znaczenie miały niewielkie, bo absurd sprzed 1989 roku płynnie zaadaptował się do rzeczywistości późniejszej. Ewoluuował i ewoluuje, zmienia swój nurt jak ciekąca woda, która zawsze znajdzie dziurkę, do której wpłynie, i z której tak czy owak wypłynie, by kapnąć kap, kap.

Mówiąc szczerze, nie trzeba się było nadmiernie wysilać i boleśnie główkować, by to wymyślić, wystarczyło po prostu na sekundę wytrzeźwieć, a mamy tu na myśli oczywiście trzeźwość jako parabolę, a nie stan po odstawieniu – dajmy na to – alkoholu. Co to, to nie. Potrzebna do tego była także spostrzegawczość i uwolnienie się od ciężaru schematu i stereotypów. A jest to od lat nasze ulubione zajęcie. Uwalnianie się. A więc absurd jest naszym najskromniejszym zdaniem – mocą czysto polską, tutejszego ludu życiowym sposobem zarówno przyrodzonym i nadprzyrodzonym w budowaniu i burzeniu czegokolwiek. Jak okiem sięgnąć, od zlewni Odry po nadbużańskie mokradła. A zatem boleśnie zsumujmy: to nie system wartości bądź antywartości wymyślony przez kogoś z zachodu czy też ze wschodu, nie ustrój o korzeniach

w głębokim antyku, nie nowoczesność bądź globalizacja, ale tutejsza rdzenna naszość była, jest i będzie motorem działania się w Polsce. Wszystkiego.

Zwalanie winy na obcych jest także klasyką polskiego oderwania. Popatrzmy na żywy przykład: nikt nigdzie nie uprawia formy rządzenia sporym krajem ani nawet małą firmą na kształt owego gabinetu premiera M. Morawieckiego, wykreowanego pospołu przez J. Kaczyńskiego z A. Dudą. Nie ma takiego kraju ani przedsiębiorstwa, w którym na serio prowadzono by dyskusje na tym poziomie absurdu na temat dodawania, a mamy tu na myśli oczywiście działania na liczbach. Nikt nigdzie nie okłamuje siebie i innych twierdząc, że rządzi, bowiem ma większość, bowiem wygrał, choć przegrał. Jest to sztuka śmieszności – każdy to przyzna – niespotykana w kabaletach uprawiających skrajnie abstrakcyjne żarty.

Ktoś tu powie, że Brytyjczycy, rezolutnie zwani w Polsce Wyspiarzami, mają naturalną i odwieczną zdolność w kreacji tego gatunku dowcipu. Że to oni są w tym niedościgłymi mistrzami. Trudno się sprzeciwić, ale jednego owym dzielnym Wyspiarzom brakuje, a jest to wyprowadzenie absurdu ze świata sztuki, z teatru, z kina, telewizji, z kart literatury i wniesienie go triumfalnie do życia codziennego. Do realu. Do parlamentaryzmu, do nauk politycznych, do instytucji państwa i jego urzędów. Do wyznaczania na najwyższe funkcje w państwie ludzi, których jedyną kompetencją jest absurdalna pomysłowość. Jest to naprawdę szokująca osobność na tle państw nie tylko europejskich, ale wszystkich ludów tak licznie zamieszkujących trzecią planetę Układu Słonecznego.

Ktoś powie, że narzekamy, marudzimy, że uprawiamy klasyczną ojkofobie na kolanach, ale to – z ręką na sercu – nieprawda. Wręcz odwrotnie. Jesteśmy dumni, że przyszło nam być tu, na ziemi po wielokroć doświadczonej, będącej zawsze poza nudziarstwem i przewidywalnością świata tego, w drgającym absurdem powietrzu tutejszym, pracowicie mielonym przez niemieckie wiatraki znalezione na złomowiskach. Ktoś teraz nie wie, o co chodzi? Ktoś się zgubił? Zbaraniał? Trzeba było uważnie słuchać premiera (?) M. Morawieckiego, a nie myśleć o niebieskich migdałkach. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy **S-NET Data Center**

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszą generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**

Włącz Święta
z **RMF Classic**



Od 1 grudnia gramy
tylko świąteczne przeboje